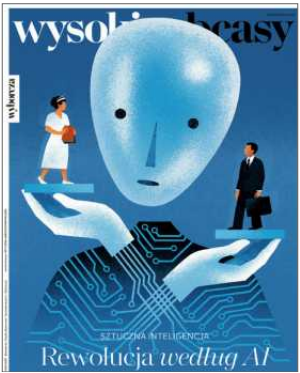




JERZY HOFFMAN

W Hollywood
miałbym pieniądze,
ale nie miałbym
przyjaciół



FOT. JACEK DOMINSKI/REPORTER



FOT. ALICJA KOCUREK

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X



17>

9 770860 908167

Kod dostępu do **Wyborcza.pl** na weekend ➤₂

Po prawdzie

Rodzina na swoim, rodzina Morawieckich

Gdzie jest moralna granica, do której próbuje dobić premier Morawiecki? Ciągle nie wiadomo

Kublik



Dziennikarze „Gazety Wyborczej” i „Nowej Gazety Trzebnickiej” ujawnili, że Anna Morawiecka, siostra premiera, miała pracować w Urzędzie Miejskim w Trzebnicy, w referacie, który – według NIK – nie istniał. Morawiecka oświadczyła, że to oszczerstwo. Morawiecki, choć „artykułu nie czytał”, zapewnił, że „praca była wykonywana rzetelnie, realnie”, i zagroził sądem. To karkołomna groźba, bo sąd już dwa razy nakazał mu zamieszczać oświadczenia o treści: „Nieprawdziwe są informacje podane przeze mnie w dniu...”, z dopiskiem: Mateusz Morawiecki, Prezes Rady Ministrów.

Ale co tam, premier naszego rządu, jak pokazuje praktyka, ma taki rozmach w fantazjowaniu, że gdyby go podłączyć do wariografu, to wykres szalałby po ścianach i sufitach.

Bo weźmy sprawę majątku jego i żony. Tu nawet trudno powiedzieć, gdzie kończą się fantazje, bo przedsiębiorcze małżeństwo sprawnie temat ukrywa.

Morawieccy dokonali podziału majątku w 2013 r., dzięki czemu pre-

mier po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r., gdy został najpierw wicepremierem, a potem szefem rządu, nie musiał tego majątku pokazywać. No choćby takiej działki na wrocławskim Oporowie kupionej za 700 tysięcy złotych, choć warta była – zdaniem rzeczoznawców – 4 miliony. A numerzy działek miał mu podać... książdz kardynał Henryk Gulbinowicz.

Trzeba przyznać, że gdy patrzy się na majątek Morawieckich, także ten zapisany na żonę, to można ich posądzić o fantazje kolekcjonerskie, albo wręcz rolnicze, bo niechętnie chwala się jeszcze dwuhektarową działką rolną w Dziektarzewie, niespełna półhektarową w Konarach-Łęgach, hektarową rolną w Żernikach Wrocławskich. Dorzućmy do tego jeszcze trzy mieszkania i dwa lokale użytkowe we Wrocławiu, i może jeszcze willę w Warszawie żony premiera, na którą dostała kredyt z BZ WBK, gdy Morawiecki kierował tym bankiem.

Ale uwaga, kompas moralny premiera zawiruje szybciej, bo wchodzimy na portal Poufna Rozmowa, czyli kronikę twórczości zebranej z poczty Michała Dworczyka. Tu premier przesiada się z zarządzania nieruchomościami na zarządzania medialnymi nagonkami, oczywiście na tych, których nie lubi. Mariusz Chłopik, nieformalny doradca od wizerunku Morawieckiego i zięć ministra Radziwiłła, mailował do prezesa TVP Jacka Kurskiego i szefa Telewizyj-

Gdy patrzy się na majątek Morawieckich, to można ich posądzić o fantazje kolekcjonerskie

nej Agencji Informacyjnej Jarosława Olechowskiego tak: „Podsylam poniżej efekt narady kilku znamienitych osób łapiących pewne linki w sądownictwie i powiązań między sędziami a różnymi sprawami. Po rozmowach mamy prośbę by jutro TVP bardzo ładnie zaatakowało te osoby, które taki wyrok wydały i generalnie warszawski sąd apelacyjny według topowych kancelarii w Warszawie to stajnia Augiasza”.

TVP, rzecz jasna, bardzo ładnie zaatakowała. I to nieraz, podobnie jak Polska Agencja Prasowa.

Raz Morawiecki poprosił prezesa PAP Wojciecha Surmacza o wytypowanie „sprytnego dziennikarza, aby przeprowadził bardzo pilnie wywiad z panem prezydentem” na temat Funduszu Medycznego. Chodziło oczywiście nie o to, by dziennikarz mógł zadać prezydentowi pytania, choćby nawet tylko na temat funduszu. Morawiecki zwraca bowiem uwagę, że „narracja jest gotowa, tylko trzeba ładnie to wszystko ująć i poprzecinać pytaniami”.

Prezes PAP błyskiem odpisał: „Działamy. Pytania są już gotowe”. Jeszcze tego samego dnia wieczorem na stronie internetowej PAP ukazała się „rozmowa” z prezydentem.

Morawiecki pisał: „Pan Surmacz zaczyna mi się podobać”.

Niedawno Morawiecki, już w kilka dni po tym, jak Paweł Kukiz narzekał, że nie ma pieniędzy na prowadzenie działalności politycznej, przyznał związanej z nim fundacji Potrafisz Polsko! 4,3 mln zł dotacji! Tyle dziś kosztuje – wedle szefa rządu – głos posła.

Można zatem pogratulować panu premierowi nie tylko fantazji, ale też stworzenia pod te fantazje osobnego systemu norm moralnych i wartości dla powiększania materialnego zaplecza, ku chwale rodziny oczywiście. Socjologowie mają na to nawet nazwę, to amoralny familizm, czyli ostry podział na sferę publiczną i prywatną, dominację sfery prywatnej i więzi nieformalnych, podział na swoich i obcych.

Jedno nas tylko ciekawi – gdzie jest granica tych swoistych norm? No i podejrzewamy, że ta granica mający daleko jeszcze na horyzoncie, że jeszcze premier Morawiecki się do niej nie zbliżył, że ta podróż ku materialnym zasobom rodziny i znajomych potrwa, ku chwale rodziny. I ojczyzny oczywiście. ●

Agnieszka Kublik

Bolek i Lolek kończą 60 lat Dobranocka wszech czasów

Kreskówka ze Studia Filmów Rysunkowych to symbol dzieciństwa dzisiejszych 50- i 60-latków. Scenariusz powstał w 1962 roku, wyprodukowano 160 odcinków kreskówki. Władysław Nehrebecki, twórca serii, za pierwowzór dwóch rysunkowych urwisów wzięł swoich kilkuletnich wtedy synów.

Postacie narysowali Alfred Ledwig, Leszek Lorek oraz Władysław Nehrebecki. Przygody chłopców wyświetlane były na całym świecie, sprzedano je do 80 krajów. W latach 90. w plebiscycie ogłoszonym przez „Gazetę Wyborczą” przygody urwisów zostały uznane za dobranockę wszech czasów.

Z okazji rocznicy zobaczymy ich w serii książeczek autorstwa Justyny Bednarek, Liliany Fabisińskiej i Joanny Olech.



FOT: EAST NEWS/INPLUS

Rysunki to dzieło Zofii Brzeskiej, są wierne kresce użytej przez twórców kultowych postaci.

Przez jakiś czas Bolkowi i Lolkowi towarzyszyła sympatyczna dziewczynka Tola. Dołączyła do nich w 1972 roku, bo do twórców z całej Polski przychodziły listy od proszących o to dziewczynkę.

– Mój tata od dawna zakładał, że Bolkowi i Lolkowi potrzebna jest towarzysząca, i wprowadził do filmu Tolę. Była to z jednej strony odpowiedź na prośby, z drugiej potrzeba urozmaicenia se-

rii, wprowadzenie do niej pierwiastka żeńskiego. Tola miała być współczesną Królewną Śnieżką i miała mieć bardzo silny charakter – mówi Marzena Nehrebecka, córka Władysława Nehrebeckiego. A w nowej serii do Bolka i Lolka dołączy Tosia.

Studio Filmów Rysunkowych w Białymstoku, w którym powstawały filmy o przygodach chłopków, rozpoczęło działalność w 1947 roku. Obecnie na bazie SFR powstaje Interaktywne Centrum Bajki i Animacji. ●

Ewa Furtak

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Polski coraz mniej

Mniej małżeństw, więcej rozwodów. Polska się wydłuża. A obietnic polityków przybywa
Czytaj ► Wyborcza.pl

2 maja w „Wyborczej”

Gdzie dolary za „Dziewczyny z Dubaju”

Producent Emil S. siedzi w areszcie, Doda na plaży, a inwestorzy płaczą i nie wierzą. – Wydawało mi się, że wchodzę w bezpieczny biznes, mając za gwaranta Dodę i jej wpływ – żali się Michał, który na produkcję filmów dał pół miliona Emilowi S., byłemu mężowi Dody. Pieniądze chce odzyskać ponad 200 inwestorów. **Reportaż Marcina Wójcika**



FOT: GRZEGORZ CELEJEWSKI

Andrzej rysuje





PATEK PHILIPPE

GENEVE

DAJ POCZĄTEK NOWEJ TRADYCJI

ZEGAREK PATEK PHILIPPE NIE NALEŻY TYLKO DO CIEBIE.
DBASZ O NIEGO DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ.



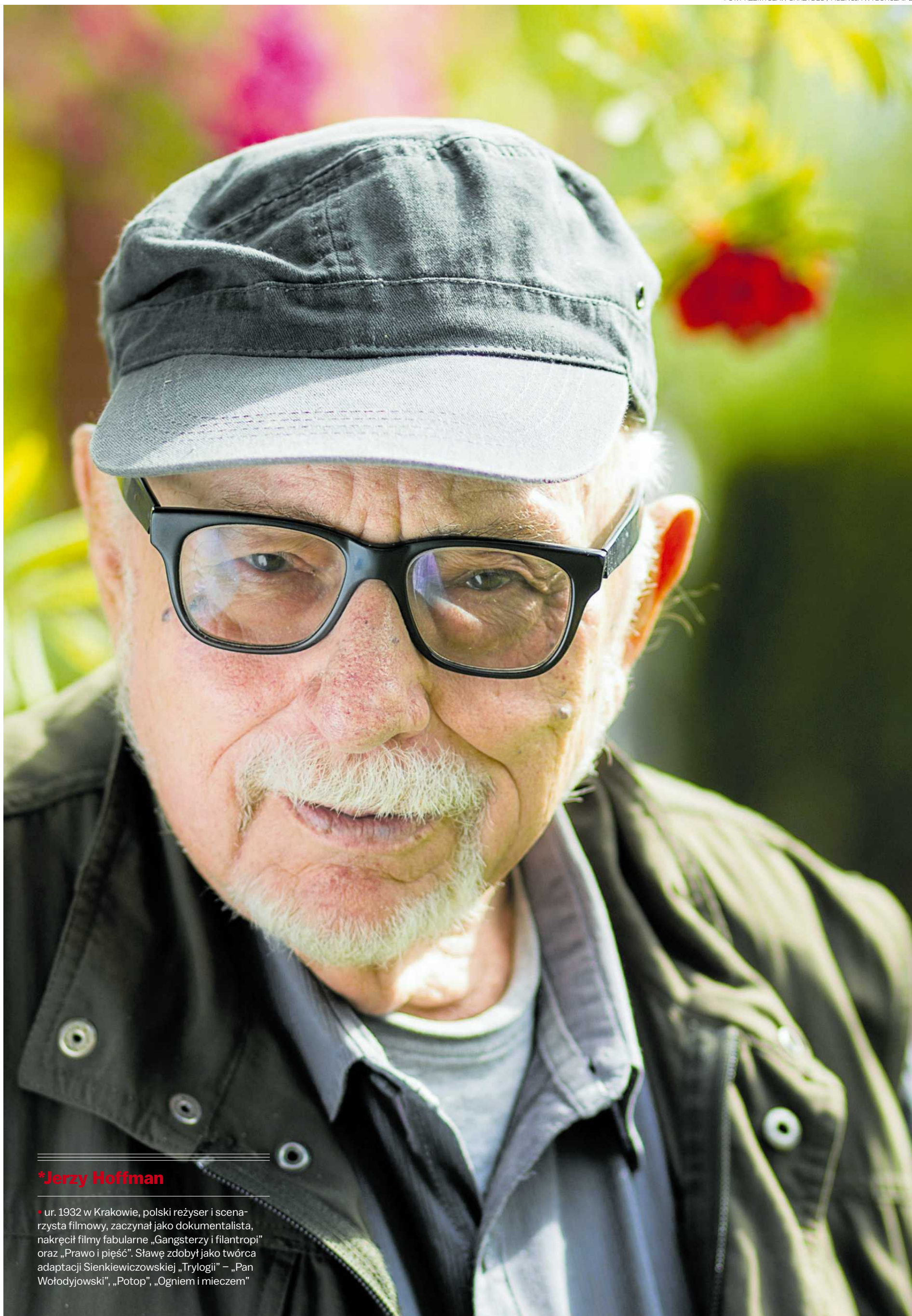
PATEK PHILIPPE DIAMOND RIBBON
JOAILLERIE REF. 4978/400G

W.KRUK

1 8 4 0

Europejski Boutiques · Hotel Raffles Europejski Warsaw
Krakowskie Przedmieście 13 · 00-071 Warszawa
Tel. +48 783 458 150 · wkruk.pl

FOT. PRZEMYSŁAW SKRZYDŁO / AGENCJA WYBORCZA.PL



***Jerzy Hoffman**

• ur. 1932 w Krakowie, polski reżyser i scenarzysta filmowy, zaczynał jako dokumentalista, nakręcił filmy fabularne „Gangsterzy i filantropi” oraz „Prawo i pięść”. Sławę zdobył jako twórca adaptacji Sienkiewiczowskiej „Trylogii” – „Pan Wołodyjowski”, „Potop”, „Ogniem i mieczem”

TRZEBAMIEĆFARTA

Gdybym został w Hollywood, to miałbym więcej dolarów,
piękniejszy dom i nie miałbym przyjaciół

Z JERZYM HOFFMANEM*, REŻYSEREM, ROZMAWIA AGATA CAŁKOWSKA

Kolejką podmiejską do podwarszawskiej Zielonki, 20-minutowy spacer i stoję pod wysokim, godnym budynkiem z czerwonej cegły. To trzygwiazdkowy hotel Trylogia. Przy wejściu napis: „Hotel-Galeria w hołdzie twórcom epopei narodowej”. W środku pamiątki z planów filmowych Jerzego Hoffmana.

Na pierwszym piętrze muzeum poświęcone reżyserowi, jego reżyserskie krzesło, pamiątki rodzinne, plakaty, manekiny, a na nich stroje z „Trylogii”. Stoi Zagłoba, obok Helena.

Wśród artefaktów uwagę przykuwa ściana z pamiątkami po zamordowanym w latach dziewięćdziesiątych komendancie głównym policji – Marku Papale. „Pani Papalowa jest moją dobrą znajomą” – powie mi Jerzy Hoffman, który stawia się o umówionej porze.

– I o czym pani chce rozmawiać?

Może zaczniemy od współczesnej Polski?

– Ale ja postanowiłem się nie interesować polityką.

Dlaczego?

– Pomyślałem, że skoro nie mam na nią wpływu, to po co mam sobie skracać życie?

I nadal tak?

– No, nie. Z tego błędnego snu wyrwała mnie napaść Rosji na Ukrainę. Je-

stem w stałym kontakcie z przyjaciółmi stamtąd. Na moje 91-lecie batalion ochotniczy armii ukraińskiej odśpiewał mi i przesłał życzenia.

No żyjemy w trudnych czasach, świat płonie i wrze. Śledząc przebieg historii, patrząc, jak każda z cywilizacji miała swój początek, wzlot, apogeum i upadek, myślę, że jesteśmy też świadkami jakiegoś mocnego upadku naszej cywilizacji.

Świat jest podzielony, partykularne interesy biorą górę nad interesami ogólnoludzkimi. Czy uda się tej planecie przetrwać, czy czeka ją los Atlantyny? Dzisiaj to już na pewno nie jest w rękach natury, ale ludzi.

A nadal ma pan serce po lewej stronie?

– Oczywiście, jestem lewicowcem, ale nie oznacza to komunizmu. Mój zapal, ten lewy, przy zetknięciu z rzeczywistością na studiach w Moskwie został mocno ostudzony, choć lewicowość to nadal dla mnie sprawiedliwa idea. Ale czy sprawiedliwość jest możliwa?

Ogląda pan programy informacyjne? Śledzi pan te wszystkie rewolucje wokół nas?

– Ale już nie reaguję.

Zacznem każdej rewolucji jest inteligencja, ale rewolucja zawsze budzi chłama. Cham jest malutki, gdzieś tam jest i nikt nie zwraca na niego uwagi, ale on rośnie bardzo szybko, przeraża inteligencję i patrzy, że ona się mu

gdzieś pod nogami płacze. Więc ją kopie w dupę i inteligencja krzyczy „aj-waj!”.

I to się regularnie powtarza, w każdej rewolucji. Być może jestem z innej epoki, ale boli mnie, że przestało istnieć słowo honoru, bo przecież jak kiedyś ktoś coś ukradł, zdefraudował, to strzelał sobie w łeb. Jeżeli ktoś złamał słowo, to się go wskazywało palcami, a dzisiaj słowo nic nie znaczy. Nic. Można na białe powiedzieć czarne, a na czarne białe i to jest normalne. Nie ma żadnych oporów etycznych.

A na całym świecie do łask wraca skrajna prawica.

– Bo jest również związana z populizmem. W każdej trudnej sytuacji kryzysowej dochodziły do głosu ruchy ekstremalne, mieliśmy to w Niemczech, Rosji, świat podążał w takim kierunku. A przyczyna także leży w inteligencji, która skora jest do dywagacji, dzielenia włosa na czworo, a gdy trzeba konkretnie działać, to niestety nie. Patrzę na naszą opozycję, no i ci dżentelmeni nie są w stanie się dogadać w niczym. Każdy walczy o stołki. To czym się różnią od drugiej strony? Dlaczego mam ich kochać?

Słyszał pan o „piątce Konfederacji”: „Nie chcemy: Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej”? Jakiś komentarz?

– Uważam, że powinno istnieć prawo, które każdy ruch ekstremalny wsa-

dza do więzienia natychmiast i likwiduje w zarodku. Bo to hasła nieludzkie i powinny być traktowane jako podżeganie do zbrodni przeciwko ludzkości. Każdy fanatyzm, jakkolwiek by on był, lewy czy prawy, powinien być eliminowany, by ludzkość przetrwała i nie musiała uczyć się na nowo tego, cośmy już przeżyli. Przecież wszystko widzieliśmy. Jak Hitler rozpoczął od militaryzacji Ruhry, świat milczał, potem Austria, Czechosłowacja, świat milczał, a potem było już za późno. To samo się powtórzyło przy Putinie, najpierw było zajęcie Krymu, potem dywersja w Donbasie, świat milczał. A wyobraża sobie pani losy tej wojny, gdyby Trump był prezydentem Stanów Zjednoczonych? Co się dzieje we Francji? Marine Le Pen na drugim miejscu, Anglicy sobie pluą w brodę, bo wyszli z Unii Europejskiej. A Węgry?

No i Polska.

– My jesteśmy krajem w pewnym sensie specyficznym, bo gdy powstawały nowoczesne formy rządów i państwa w wieku XIX, to nas nie było na mapie. Jedyną tradycją, którą przenieśliśmy, to była ta szlachecka, z XVIII wieku, a to był jeden wielki burdel, który spowodował upadek i zniszczenie kraju. Wielką zasługą dwudziestolecia, przy wszystkich mankamentach, było to, że naród się scementował z trzech różnych zaborów i różnych tradycji. Możemy śmiać się dzisiaj z romantyzmu,

Wielki rejs po Karaibach

Niezapomniany rejs po Karaibach statkiem Norwegian Jade, w trakcie którego odwiedzimy Tampę i 10 karaibskich wysp oraz zapewnimy pełne wyżywienie i atrakcje.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa - Orlando - Tampa, USA. Przylot i zakwaterowanie w hotelu. Dz. 2 Tampa. Zwiedzanie miasta a następnie wejście na pokład statku. Dz. 3 Key West na południowym krańcu Florydy. Zwiedzanie miasta z przewodnikiem. Dz. 4 Dzień na morzu w kierunku Grand Turk. Czas wolny na pokładzie. Dz. 5 Grand Turk, wyspy Turks & Caicos. Dzień w raju. Dz. 6 Puerto Plata, Dominikana. Spacer po mieście z pilotem. Dz. 7 St. Thomas, Wyspy Dziewicze. Możliwość zwiedzania wyspy i miasta Charlotte Amalie z pilotem wycieczki (opcjonalnie). Dz. 8 St. John's, Antigua. Zwiedzanie miasta St. John'sz pilotem. Dz. 9 Bridgetown, Barbados. Dzień na plaży. Dz. 10 St. George's, Grenada. Możliwość zwiedzania wyspy, w tym Park Narodowy Grand Etang, plantacja przypraw, wodospad i relaks na plaży (opcjonalnie). Dz. 11 Willemstad, Curaçao. Antyle holenderskie, pastelowe kolorowe domy i spacer po mieście. Dz. 12 Oranjestad, Aruba. Czas do własnej dyspozycji, spacer po mieście lub dzień na plaży. Dz. 13 Dzień na morzu w kierunku Kajmanów. Czas wolny na pokładzie. Dz. 14 George Town, Kajmany. Zwiedzanie stolicy z polskim pilotem. Dz. 15 Dzień na morzu w kierunku Tampy. Czas wolny na pokładzie. Dz. 16 Tampa, przejazd na lotnisko w Orlando, powrót do domu. Dz. 17 Przylot do Warszawy.

17 dni | Wylot z Warszawy 24/02 2024



Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!



Albatros travel



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: GW27

mówić o niepotrzebnych ofiarach, ale przecież gdyby nie powstania, gdyby nie te tradycje niesione przez pokolenia, to Polska by się w dwudziestym roku nie wybroniła.

To naiwne wracać myślami do tego, jaka mogła być Polska, gdyby nie zabójstwo Narutowicza?

– Tylko czy ten prezydent byłby w stanie opanować ulice? Tłumy różnych partii pałkami, kamieniami i rewolwerami dowodziły swojej słusznosci. Czy nie widzi pani analogii między śmiercią Narutowicza a prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza? Przecież to też fanatyzm, nienawiść.

A późniejsze podziały?

– Myślę o stanie wojennym, o tym, że to była jego największa szkoda – podzielił ludzi, nawet w rodzinach. Ta wrogość absolutna, uzależniona od tego, czy jesteś z lewa, prawą, swój czy nie swój. Ponieważ byłem nie swój, to mi Izabela Cywińska odebrała dotację na realizację „Ogniem i mieczem”... No koleżanka, reżyserka... Ale to jest drobiazg wobec podziałów w rodzinach, to był chyba początek tego rozłamu. Wcześniej nikt nikogo nie pytał, czy wyznajesz to, czy tamto? Jesteś w porządku, jest dla ciebie kieliszek wódki, miejsce przy stole, kawałek chleba. Nie jesteś w porządku – to won. Ale potem to przestało mieć znaczenie, zacierzwienie rosło i zobaczmy, do jakich podziałów doszliśmy dzisiaj.

Jak patrzę na to, że przeciwnicy polityczni w parlamencie angielskim potrafią grać w golfa, spotykają się towarzysko, rozmawiają, a u nas? Każda ze stron woła „Gott mit uns” i w imię tego Boga wyrzyna drugą. Bo każda ma rację, świętą rację, jedyną rację.

A gdyby nie stan wojenny, to byłby pokój w tych rodzinach? Jak pan ocenia dzisiaj Wojciecha Jaruzelskiego?

– Nie jestem do końca pewny, czy należy go potępiać. Do dzisiaj trwają spory: weszliby, nie weszliby? Sądzę, że byliśmy zbyt ważnym ogniwem, aby nam to odpuszczono, bo przecież upadek Związku Radzieckiego był zaskoczeniem dla wszystkich. Jak są ludzie, którzy mówią, że to przewidzieli, to ja odpowiadam: bzdura. Najwybitniejsi politycy, wywiady, kontrwywiady – nikt się tego nie spodziewał.

No to mamy tę Polskę, wolną, ale raczej brak nam tych najwybitniejszych...

– A ja już nawet nie wierzę w ideowość jakiegokolwiek ze stron. Nie wierzę. Jestem przekonany, że dziś robi się już tylko to, co się oplaca. Czy będę miał te dudki i to stanowisko, czy nie będę miał? Ale Polskę na ustach mają wszyscy. Wszystko się robi dla Polski, tylko tak się składa, że ci, co mieli Polskę w sercach, to leżą na cmentarzu, a ci, co ją mieli na ustach, składają tam tym wieńce. Choć zawsze tak było... Ale powiem pani, że nie ma u nas nawet rozgraniczeń i pojęć. Bo co to znaczy „żołnierze wyklęci”? Wśród „żołnierzy wyklętych” byli bohaterowie? Byli. Trzeba przywrócić im nazwiska, godność i czcić te nazwiska, ale byli też mordercy, którzy wyrzynali wsie, białoruskie, ukraińskie, a nawet polskie. Mordowali Żydów, którym udało się przeżyć Holocaust. Myślę, że do rozliczenia tego kiedyś dojdzie, tego, kto był kim, komu się należy, a komu nie.

Powiedział pan, że byłem „nie swój”.

A czuł się pan reżyserem osobnym?

– Aż tak to nie. Proszę pamiętać, że my z Edkiem Skórzewskim, scenarzystą, kończyliśmy studia w Moskwie, a męskie przyjaźnie nawiązują się albo w szkole, albo na studiach, albo – jak to kiedyś mówiono – w wojsku. Ci, co ukończyli Łódzką Szkołę Filmową, przyjaźnili się ze sobą, chociaż tam też bywało różnie, bo jak to w świecie artystycznym – jednym pan Bóg daje talent, innym nie. A poza talentem: jedni mają odporność psychofizyczną, inni mają mniejszą. Wiktor Zborowski, jak podnosi kieliszek, to zawsze mówi: „Nie ży-

czę wam pieniędzy, bo na »Titanicu« wszyscy byli bogaci. Nie życzę wam zdrowia, bo na »Titanicu« wszyscy byli zdrowi. Życzę wam farta”. I tego farta się ma albo nie ma. Istnieje takie ludowe przysłowie, może nie najpiękniejsze, ale jeśli ktoś ma pecha, to i się w kościele zesra. Ten, co ma tego pecha, nie może nie zazdrościć temu, który ma farta, prawda?

Jest taki żydowski kawał o tym, jak to pewien Żyd czegośkolwiek się nie dotknął,

Nigdy potem nie uderzyłem kobiety, a może gdybym uderzył pierwszą żonę, to bylibyśmy się nie rozstali. Ona kaukaska natura – jak mi urządziła awanturę, a ja nie zareagowałem, to straciłem u niej cały autorytet jako mężczyzna.

Dlaczego było w panu pragnienie, żeby w 1968 jednak zostać w Polsce, kiedy otoczenie dawało do zrozumienia, że pana nie chce?

FOT. MARZENA HMIELEWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL



Najważniejsze w życiu? Patrzeć w lustro bez mówienia sobie: – k..., jaka ty jesteś świnią!

wszystko zamieniało się w ruinę. „Panie, za co mnie każesz”, wołał do Boga, „jestem dobrym Żydem, modłę się, pomagam biednym, chodzę do synagogi, no za co?”. Wyjrzał Pan Bóg zza chmur, przyjrzał mu się i powiedział: „Wiesz, Icek, ja cię chyba trochę nie lubię”. Na to nie ma siły.

Przyjaźnie przetrwały?

– Choć żyję na uboczu, to na samotność nie mogę narzekać, przyjaciele nie zapominają o mnie, chodź wielu już nie ma. Takie jest prawo natury. Bo zrządzeniem losu żyję długo.

Choć wraz z rodziną wiele pan doświadczył.

– Rodzice poznali się na studiach medycznych w Pradze, bo uciekli przed naszym gettem ławkowym. Wie pani, nieprzypadkowo w pewnym okresie XIX i XX wieku wśród lekarzy było tak wielu pisarzy: Czechow, Cronin, Boy – bo medycyna tamtych czasów była niesłychanie związana z humanizmem. Nie było tego podziału, że jestem specjalistą od lewego palca.

Ojciec mi zawsze powtarzał, że jeśli przeżyliśmy Syberię, to tylko dzięki matce. Ona miała żelazny charakter.

Po niej ma pan tę siłę?

– Niewykluczone. Chociaż to ojciec odgrywał ogromną rolę w moim życiu. Nie bił, ale trzy razy dostałem. Raz, bo przyszedłem do domu zaryczany, że mnie pobił kolega, no to ojciec wyjął oficerski pas i dostałem po dupie tak, że nigdy później nie skarżyłem. A jak wezwano ojca do szkoły, bo wybiłem koledze piórnikiem zęb, to ojciec mnie tylko spytał: „dlaczego piórnikiem?”. „Bo jest wyższy i bym nie sięgnął”. Odpowiedział: „rozumieć”. Drugi raz dostałem, jak przegrałem pieniądze, i od tego czasu nigdy nie grałem za cudze. I trzeci raz, jak dziewczyna na Syberii roznosiła plotkę po wsi, że sypiam z siostrą kolegi. I gdy ją spotkałem, to ją uderzyłem. Matka napisała o tym ojcu i ojciec przez rok nie wspominał o mnie w listach.

– Nie otoczenie, tylko władza. A dlaczego Tuwim wrócił do Polski? Dlaczego Słonimski wrócił? Przecież całe pokolenie pisarzy, Leśmian, Brzechwa mieli takie same problemy. Wychowałem się w języku polskim, tradycji polskiej, historii. Jestem polskim twórcą. Nie wyrzekam się pochodzenia, boby się moi przodkowie w grobach poprzewracali, ale ze strony matki rodzina rabinacka przywędrowała z Hiszpanii z początkiem XVII wieku i aż do wojny przechowywane były w rodzinie listy Jana III Sobieskiego z podziękowaniami za udział w walkach z Turkami. Istnieje chyba takie prawo zwane „zasiedzeniem”. Myślę, że prawie 400 lat wystarczy, aby w Polsce uzyskać prawa obywatelskie i poczucie bycia Polakiem.

Po sukcesie „Pana Wołodyjowskiego” proponowano mi we Włoszech realizację „Carskiego kuriera” Juliusza Verne’a albo „Córki kapitana” Puszkina za – na owe czasy – niewyobrażalną stawkę w dolarach. Ale ja chciałem zrobić „Potop”, bo tę książkę mi ojciec przysłał na Syberię.

To dlatego tak bardzo ukochał pan Sienkiewicza?

– Jak tylko nasze wojska wkroczyły na terytorium Polski, to ojciec od razu mi wysłał „Pana Wołodyjowskiego” i „Potop”. „Ogniem i mieczem” cenzura nie przepuściła i mogłem przeczytać dopiero po powrocie do Polski. Znałem „Trylogię” na pamięć. Dzisiaj można mówić to czy owo, ale gdy już tak rozmawiamy, to czy za czasów PO nie pomyłono niestety nacjonalizmu z patriotyzmem? Nie walczone z tradycją sienkiewiczowską? Oceniano mnie jako apologetę szlacheckiej kultury, a przecież imiona Kmicica, Wołodyjowskiego, Skrzetuskiego przybierali młodzi chłopcy, którzy szli walczyć o Polskę. Dzięki tej literaturze powstało to wspaniałe pokolenie, które niestety zginęło w walce. Najlepsza młodzież. Niestety, dziś mamy do czynienia z odwrotnością, patriotyzmem nazywa się nacjonalizm. Ekstremalne ugrupowania cieszą się popłażaniem graniczącym z poparciem.

A nominacja do Oscara dla „Potopu”? Co panu dała?

– Proponowano mi zostanie w Hollywood. Tylko co to wtedy znaczyło? Że nie zobaczę więcej Polski, rodziców, przyjaciół, bo spotkałbym się z ostracyzmem, byłbym uznany za zdrajcę, który porzucił i wyjechał. Miałbym więcej dolarów, dom w Santa Barbara, a nie na Mazurach. No może nadal robiłbym filmy, które chcieliby oglądać ludzie, bo nie robiłem ich dla krytyki, bo to za droga zabawa, by dla niej robić. Dla mnie pusta sala kinowa była zawsze klęską.

Dzisiejsi twórcy nie zawsze robią dla szerokiego widza.

– No brawo. Tylko kto będzie o nich pamiętał? Wczoraj naszkicowałem swój nagrobek. Powiedziałem w testamentcie, że nie chcę leżeć w żadnej alei zasłużonych, tylko w grobie rodzinnym.

Co pan naszkicował?

– Będzie metalowa taśma z tytułami kilku filmów i taki mały napis: „Nie wszysstek umarłem”. Może to megalomania, ale póki ludzie chcą oglądać moje filmy, tak długo będę żył.

A taki film jak „Ida” Pawlikowskiego?

– Nie podobala mi się. Zimny i wykalkulowany pod nagrody, wiem, bo znam te kryteria. Ale bardzo mnie chwyciła „Zimna wojna”, byłem wzruszony.

Są zdolni ludzie w Polsce, jak młody Holoubek, choć zawsze się podejrzliwie odnoszę do dzieci genialnych ludzi, bo talent się odradza w co drugim pokoleniu. Ale tu naprawdę szacunek, nie tylko świetny operator, ale też reżyser.

No to uwaga, Patryk Vega...

– No nie, takich filmów nie kupię nigdy. I nie lubię też epatowania wulgaryzmem. Gdy robiliśmy pierwsze filmy ze Skórzewskim...

Dokumentalne...

– ...to umieliśmy patrzeć, podglądać ulicę, także tę wulgarną, ale problem chuli-gaństwa oficjalnie nie istniał, bo nie było filmów krytycznych. O prostytutce już nie zrobiliśmy, bo po „Dzieci oskarżają” zrozumielismy, że powstałby trzeci podobny film. Alkoholizm też zresztą oficjalnie nie istniał, no i jeżeli się o czymś nie mówi i nie pisze, to nie istnieje. Koniec.

Ale dokumenty nauczyły nas kilku rzeczy: potrzeby poznania tematu, posiadania dużej wiedzy i lakoniczności. Trzeba było temat zmieścić w kilkunastu minutach, bo filmy te były dodatkami w kinach do filmów fabularnych. Paradoksalnie stało się tak, że ludzie często chodzili na dodatek, a nie na film.

W pana pracy filmowej ważna była literatura, obecnie filmowcy od niej często odchodzą na rzecz prywatnych historii. Jakie kino jest panu dziś bliższe jako widzowi. Autorskie?

– Jeśli kino autorskie robi człowiek pokroju Konwickiego, to jest to kino autorskie, ale jeżeli jest 20 podkonwickich, to co oni mają do powiedzenia? Czym jest ich życie? Czy oni wiedzą, co to jest głód? O czym oni mogą opowiadać? Rozterki Wertera. Patrę na tych ludzi, często o bardzo wąskiej wiedzy, a ciągle im się wydaje, że odkrywają jakąś Amerykę. Jak w opowieści o człowieku, który w głębokiej Rosji rower konstruował, bo nie wiedział, że już dawno został wynaleziony. Można, ale żeby robić kino autorskie, trzeba przeżyć jakieś życie. Nie musi być długie, ale intensywne i ciekawe. Czasami przeżycie 15 minut daje nam więcej niż trzy lata, ale to musi być. Kogo obchodzi, czy temu panu staje, czy nie staje, czy on może, czy nie może i jakie ma problemy?

Czym się pan ostatnio zachwycił?

– Bardzo mi się podobał „Kamerdyner” Filipa Bajona, ale muszę dodać, że byłem półtora roku unieruchomiony, a poza tym od

3 lat nie prowadzę auta, bo nie chcę być zagrożeniem na drodze, więc do kina nie jeżdżę. Oglądam to, co jest w telewizji albo na tych platformach.

Najbardziej dochodowym filmem po 1989 roku jest „Kler” Wojtki Smarzowskiego. Zarobił 105 milionów złotych. Wcześniejszy rekord należał do pana. – To bardzo odważny i ciekawy film. Mamy zdolnych ludzi, ale uważam też, że, niestety, mamy dwa rodzaje producentów. Tych, którzy chcą zarobić „na” filmie, dbają o jakość, promocję, dystrybucję, i tych, którzy chcą zarobić „przy” filmie. Tych nie obchodzi wynik ani losy filmu, bo swoje nachapali się w trakcie produkcji. Chroni przed takimi, Panie Boże, reżysera, zwłaszcza młodego. Może problem tkwi też w likwidacji studiów filmowych, bo miały swoje mankamenty, ale to odebrało środowisku jakikolwiek wpływ na pieniądze państwowe. Dziś wszystko zależy od decydentów, urzędników, i to już zawsze będzie się wiązało z polityką albo z osobistymi koneksjami.

Z aktorstwem też bywa różnie, mamy wielu wspaniałych aktorów, ale jak w każdym zawodzie również średniactwo, a każdy, kto zagrał w serialu, jest już gwiazdą, no przynajmniej gwiazdką. A w serialach czuje się pośpiech i biedę. Proszę porównać nasze seriale historyczne choćby z angielskimi. Ogląda pani angielski i wierzy w to, co się dzieje, widzi detale, aktorzy potrafią nosić kostiumy, a ktoś biedny duchem niestety nie zagra wielkiego króla.

Czyli powstanie PiS-u nie poprawiło sytuacji polskiego rynku filmowego? – Nie podejmę się tu dyskusji. Pamiętajmy, że to zależy od tego, kto stoi na czele tego instytutu.

Wróć do aktorów. Czytałam wywiady z panem i rozumiałam, że to pana żona, Wala, prowadziła castingi. Czy prawdą jest, że przekonała pana do tego, by Magda Zawadzka zagrała Baśkę, i zwróciła uwagę na Domagarowa oraz Olbrychskiego? – Prawda, Wala zarekomendowała Wajdzie Olbrychskiego, gdy szukał młodego bohatera do swego filmu. Powiedziała mu, żeby zerknął na pierwszy rok szkoły teatralnej, na pewnego chłopaka, no i stało się. To ona zobaczyła w Magdzie Zawadzkiej Basię.

Skoro opozycja nie jest w stanie się dogadać i już walczy o stołki, to dlaczego mam ich kochać?

Znalazła też Domagarowa. Walę nazywano czarownicą. Miała niesłychaną intuicję do ludzi. Wyczuwała błyskawicznie, kto jest skurwysyn, a kto w porządku.

Za sukcesem mężczyzny zawsze stoi kobieta? – Nie zawsze, bo na przykład za sukcesami Aleksandra Macedońskiego nie mogła stać kobieta, bo był homoseksualistą. Są kobiety piękne, próżne i puste i są kobiety, które po prostu emanują intelektem. Kobieta jest człowiekiem, a ludzie są różni.

A bywają też przyczyną nieszczęść, choćby przypadek Lady Makbet, który przecież wziął się z życia. Dzisiaj świat się zmienia, bo kobiety stały się niezależne i samodzielne. W moim życiu kobiety odgrywały zawsze wielką rolę. Jestem trzeci raz żonaty, a największą moją dumą jest moja córka Joanna.

A ten podział na kobiece i męskie kino? – Jezus Maria...! A co to znaczy? Kino to jest kino. Rozumiem, że równouprawnie-

nie kobiet nastąpiło późno, ale też mieliśmy całe okresy matriarchatu w historii ludzkości. Przecież patriarchat jako taki usankcjonował Kościół, który zrobił z Marii Magdaleny kobietę upadłą, a ona najprawdopodobniej była żoną Jezusa, bo przecież Chrystus był rabinem, a skoro nim był, to nie mógł być nieżonaty. Do dzisiaj pop, pastor musi mieć żonę. Bo co może o życiu rodzinnym powiedzieć człowiek, który sam tej rodziny nie ma? Rozumiem, że jest przewaga mężczyzn na stanowiskach, że są różnice w zarobkach, z tym trzeba walczyć. Rozumiem kobiecy sport, bo kobiety są słabsze fizycznie, ale w sztuce talent nie ma płci.

Jak myślę o pana kinie, to określam je jako spajające rodziny, bo sama siadałam z tatą i w każde święta oglądaliśmy „Znachora”. – Wprawdzie Zygmunt Kałużyński rozdzielał szaty, że jedną „Trędowatą” można było znieść, ale drugą? Abstrahując od tego, że jest to historia prawdopodobna, to sam Jerzy Bińczycki miał w sobie tyle szlachetności, poza wielkim aktorstwem emanowała z niego ta szlachetność, dobroć, że pod każdą szerokością geograficzną, gdzie pokazywany jest „Znachor”, ludzie idą za bohaterem. Wszędzie. Teraz słyszałem, że będą kręcić nowego „Znachora”, w Rosji już to zrobiono, ale wszystko się dzieje współcześnie.

Myśli pan, że jakiś Netflix to udźwignie? – Daj im Boże, tylko gdzie oni znajdą drugiego Bińczyckiego? I nie wiem, czy dzisiaj wyczują tę kresową Polskę, ten świat, którego już nie ma.

Prawda, że nigdy się pan z aktorami nie zaprzyjaźniał w pracy? – Nie, nieprawda. Ale przyjaźni nie mogła oznaczać taryfy ulgowej. Mam wśród aktorów i aktorów prawdziwych przyjaciół, choć potrafią mieć potężne ego.

To jak pan dawał radę? Bo na planie musiał pan ogarniać, oprócz ludzi i ich ego, na przykład konie. – Nigdy mnie to nie blokowało, wręcz przeciwnie. Potrzebowałem szerokości, powietrza. Nie mieliśmy wtedy walkie-talkie, dzieliło się te grupy statystów na grupy, po 20 osób, każdy miał swoją tablicę z numerem i się tych ludzi wywoływało, żeby da-

wać uwagi. Nauczono mnie, że jak robisz zdjęcia masowe, to najpierw trzeba nakręcić plany ogólne, a potem bawić się bliższymi planami z aktorem. Byłem świadkiem niejednokrotnie, jak setki ludzi czekały i patrzyły, jak reżyser kręcił zbliżenia aktorów. Nie ma co ich podnosić wcześniej na zdjęcia, mogą przyjechać później, bo aktorom na planie trzeba stworzyć optymalne warunki. W teatrze można coś poprawić ze spektaklu na spektakl, a w kinie nie. Zostanie to, co w danej chwili zarejestruje kamera.

Kilka lat temu nakręcił pan dokument „Ukraina. Narodziny narodu”, który dla wielu jest filmem kultowym. Mówił pan wtedy, w 2015 roku, że niezależna Ukraina oznacza niezależność Polski. Mają szansę wygrać wojnę z Rosją? – Jeżeli Zachód wreszcie zrozumie, że nie trzeba pomagać Ukrainie na przetrwanie, tylko trzeba pomóc jej na wygranie, to znaczy przeznaczyć taką ilość amunicji i broni, która pozwoli im zrobić jeden wielki Sta-

lingrad, to tak, wtedy może upaść Putin. Ale nie znaczy to, że ten, kto będzie potem, będzie mniejszym Wielkorusem.

A Polska już pogodziła się z Ukrainą, zniknęły te wspólne demony? – Problem w tym, że im dłużej to będzie trwać, tym będzie trudniej, bo inflacja, bo zboże ukraińskie, i nikt nie będzie pamiętał, że to wina cwaniaczków, którzy na tym zarobili ogromne pieniądze, tylko że to

Nie ma co życzyć ludziom pieniędzy, bo na „Titanicu” wszyscy byli bogaci

„ukraińskie zboże”. Niestety. Dlatego Putinowi zależy, żeby to trwało i trwało. Dla niego jednostka się nie liczy. Zginie jeszcze sto tysięcy, dwieście, no i co z tego?

A dla Kaczyńskiego człowiek się liczy? – Wie pani, to jest tak... Ja mogę należeć do innej mentalnie formacji, ale niestety ta partia została wybrana w wyborach. To nie był zamach stanu jak u Piłsudskiego, to nie była junta. Tak samo został wybrany prezydent. I teraz co? Dopóki ta władza jest wybrana legalnie przez większość społeczeństwa, to jest władzą. Mogę to powiedzieć ze smutkiem czy z przykrością, ale to jest władza. I dla mnie może być taka, a dla kogoś zupełnie inna, a przecież ten ktoś ma powody, żeby oddać swój głos. A niech to będzie nawet 500 plus czy dodatkowa emerytura. Zobaczymy, co przyniesie jutro.

A co przyniesie? – Jak obserwuję te tańce opozycji, tego Holownię... No Tusk też, niestety, charyzmy nie ma i często zniża się do poziomu argumentacji przeciwnika... No musi po prostu wyrosnąć nowe pokolenie, które zdecyduje o swoim losie. I już.

Próbuje decydować, ale władza rzuca kłody, na przykład w sprawie aborcji. – Powiem tak: gdy jadę do Izraela i widzę tych ortodoksów, to mi ręce opadają. Rozumie pani? Jestem przeciwny jakimkolwiek rządowi Kościoła, jakiegokolwiek by one były, w jakimkolwiek kraju. Czy to islam, czy to Kościół katolicki, czy zawzięci rabinaci. Są sprawy, o których może decydować tylko człowiek, sam wobec siebie. Jeśli jestem z przekonania katolikiem, to odmawiam sobie aborcji, każdy człowiek ma prawo do dysponowania własnym ciałem. Mamy zakaz aborcji, ale czy państwo rozwiązało problemy dzieci z niepełnosprawnościami? A problem opieki nad tymi dziećmi, które się urodzą? Ktoś powie, Hoffman to Żyd, to wygląda sobie takie tezy. Wiara jest rzeczą świętą i ja ją szanuję, ale jest osobistą sprawą każdego człowieka. Pamiętajmy, ile osób spłonęło na stosach tylko dlatego, że mieli trochę inne zdanie.

A zamieszanie wokół Jana Pawła II? – Podniesienie tego problemu teraz to był strzał w kolano. „Chcieliście Polski? No to

ją macie”. A z drugiej strony, na ile JP II był władny? Trzeba pamiętać, że on nie miał w Watykanie żadnego swojego zaplecza, nie wywodził się z kardynałów włoskich, de facto był sam, dlatego nie sądziłbym go tak surowo. Ale sądzę, że jego o pedofilię oskarżyć nie można. Był kochany i rozumiany przez młodzież, odegrał ogromną rolę w podniesieniu ducha, wiary oporu i zwycięstwa. Jego zasługi wobec Polski są nie do przecenienia.

A co będzie jutro? Jest pan pesymistą? – Mimo wszystko optymistą. Półtora roku byłem przykuty do wózka inwalidzkiego, w potwornym bólu, nie pomagały żadne środki przeciwbólowe. Diagnozy były takie, że muszę przejść trzy operacje, ale było też jasne, że ich nie przeżyję. Ten wyrok potwierdziła medycyna w Kanadzie, Stanach i prof. Torbicki znalazł chirurga, prof. Jerzego Białeckiego, który zrobił mi to wszystko w jednej operacji. Sześciogodzinnej, gdzie nie można mnie było uśpić. Prawie trzy miesiące brałem śmiertelne nie-mal dawki antybiotyków, żeby ten stan zapalny pokonać. Mordercze ćwiczenia przez kolejne miesiące, no i chodzę, nic mnie nie boli. Budzę się rano, patrzę na swoje jezioro, słucham ptaków, karmię łabędzie, które podpływają, piękny jest dzień, piękna jest przyroda, piękne jest życie.

Wie pani, myślę, że ktoś, kto poświęcił swoje życie zajadłości, walce bez przerwy, nietolerancji, nienawiści, nie zazna piękna tego świata ani tego, co dała mu natura i Pan Bóg. I dlatego przy tym wszystkim żał mi tych nienawistnych ludzi, bo to jest żałosne. Dostali szansę przeżycia swoich lat i nie wykorzystali jej.

Bo co jest najważniejsze? – Mieć farta i mieć poczucie, patrząc w lustro, że nie da się o sobie powiedzieć: kurwa, jaka ty jesteś świnią. Proszę pani, po całym swoim nie najkrótszym życiu nauczyłem się być bardzo ostrożny w ocenach. Nie powiem, że to jest dobre, a to jest złe. Zawsze powiem: to mnie się podoba, a to nie. Bo mnie się może podobać, a innym nie. Nie będę potępiał ludzi, którzy gdzieś wobec bezpieki napisali jakieś zobowiązania, jeśli sami nie zaczęli przynosić krzywdy innym. Bo sam nie wiem, jak bym się zachował, gdyby mi zaczęli wyrwać paznokcie albo zagrozili śmiercią najbliższych. Życie nauczyło mnie, że należy darować wszystko poza dobrowolnym skurwysynstwem. Najważniejsze jest dla mnie cieszyć się każdym wschodem i zachodem słońca. Każdym przeżytym dniem.

Ale to wcale nietatwe. – No nie, ale do tego się dojrzewa. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iodi@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Staśkiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipiek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Sylwia Tukendorf

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

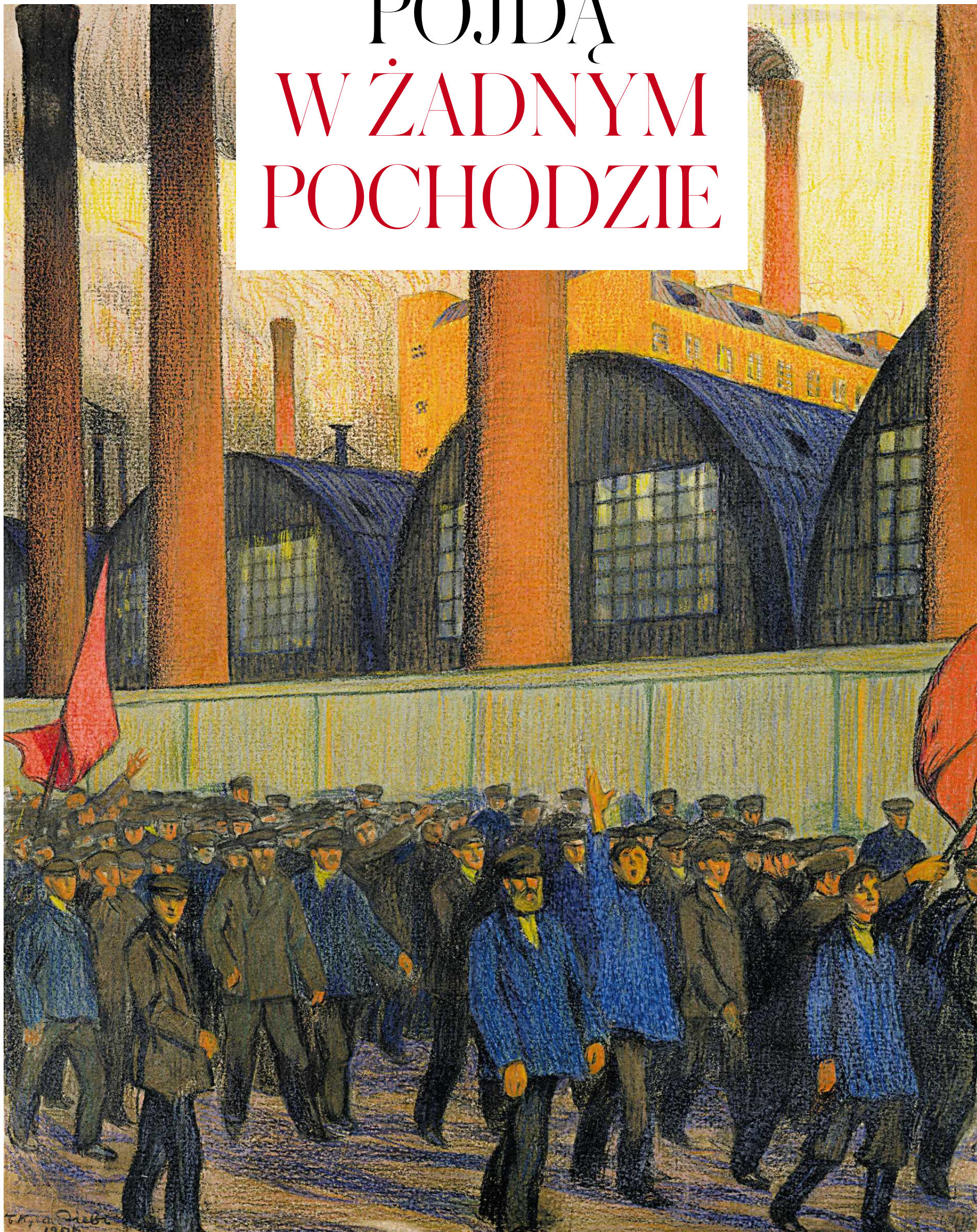
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



1 maja

ONI NIE PÓJDA W ŻADNYM POCHODZIE

FOT. EAST NEWS



Walka klas to starcie dwóch wizji człowieka, które zamiast walczyć, mogą się uzupełniać

Marcin Matczak

Święto pracy to oksymoron – albo święto, albo praca! Nie o logikę jednak tu chodzi, ale o spór na linii starzy – młodzi. Walka pokoleń, mówią, zastąpiła walkę klas. A praca jest areną tej walki.

Walkę klas widzę jako zmaganie homo oeconomicus i homo sovieticus, przy czym pojęcia te widzę nieortodoksyjnie i odzieraam z negatywnych elementów. Oeconomicus to dla mnie indywidualista, typ zaradny i przedsiębiorczy w dobrym sensie tego słowa. Ma pomysł i umiejętności, chce mu się zmieniać świat na lepsze. Odsuwam na bok to, co typowi temu się nieraz przypisuje: że jest zachlanny, egoistyczny, że to kapitalista wyzyskiwacz, taki pan Areczek, który wszystkich uważa za leni i po januszowemu herbatę Lipton ma tylko dla zarządu. I że umrze w tej pracy, a nie da się, taki jest zawzięty.

Także sovieticus ma cechy niekoniecznie złe. Jest nastawiony bardziej na wspólnotę niż indywidualizm, nie chce mu się chodzić w kieracie czy startować w wyścigu. Zamiast konkurencyjności ceni sobie równość – lepiej, żebyśmy wszyscy mieli trochę mniej, niż aby w środku społeczeństwa zionęła przepaść pomiędzy tymi, których stać na wszystko, i tymi, których nie stać na prawie nic. No i czas wolny – pracuje się, żeby żyć, nie żyje, żeby pracować. Odrzucam stereotypy sovieticusa: wyuczona bezradność, apatie i brak inicjatywy, a także oczekiwanie, że wszystkie problemy rozwiąże państwo.

Walka klas to starcie dwóch wizji człowieka, które zamiast walczyć, mogą się uzupełniać. Historia jednak pokazuje, że o skrajności łatwiej niż o uzupełnianie. Jako nieuleczalny liberał (bo i z czego tu się leczyć) uważam, że oeconomicus jest bardziej skłonny do kompromisu niż sovieticus. Historia XX wieku pokazuje, że oeconomicus ewolucyjnie absorbuje niektóre tezy sovieticusa – większość społeczeństw leczy ekscesy kapitalizmu elementami welfare state. W drugą stronę działa to słabiej. Dwudziestowieczny „socjalizm w praktyce” był rewolucyjny, nie ewolucyjny, i balansowania elementów kapitalistycznych z socjalistycznymi nie miał w menu. Czym się skończyło, wiadomo – płaczem i zgrzytaniem zębów. Nową wizję balansowania socjalizmu i kapitalizmu ćwiczą dzisiaj Chiny. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

Walka oeconomicusa z sovieticusem właśnie się nam przedawnia. To kwestia generacyjna (stare typy umierają), doświadczeniowa (uczymy się na błędach) i środowiskowa (zmienia się świat i dawne kategorie tracą sens). Walkę klas zastępuje walka pokoleń, ale nie w układzie „starzy nie rozumieją młodych i vice versa”. Świat zmienia się tak szybko, że różnice między generacjami są nieporównywalnie większe niż kiedyś. Stąd nie tyle jedna walka zastąpiła drugą, ile stary typ ludzki został zastąpiony przez nowy. Już nie oeconomicus walczy z sovieticusem, ale homo faber z homo ludens. Dużo tej łaciny, ale jak radzi autor serii „Jak blefować z głową. Filozofia” (są jeszcze „Wino”, „Golf” oraz „Jazz”), jeśli chcesz udawać, że się znasz na filozofowaniu, zapamiętaj jedną zasadę: o ile tylko da się coś powiedzieć w obcym języku, zrób to. A najlepiej, jeśli będzie to niemiecki.

Homo faber to rzemieślnik, ktoś, kto czyni sobie ziemię poddaną. Może łączyć cechy homo oeconomicus i sovieticus, bo jest

zaradny, ale niekoniecznie musi być jednoosobowym przedsiębiorcą. Sprawny budowlaniec, artystka żyjąca w Bieszczadach czy ekoaktywistka pracująca na farmie mogą wpadać w tę kategorię. Faber to kreatywny twórca, ale niekoniecznie artysta malarz. Rozwiązywanie problemów technicznych czy prawnych też wymaga kreatywności. Nie trzeba od razu być Picassem.

Homo ludens tłumaczony jako „człowiek bawiący się” może mylić. Nie o tańce i swawole tu chodzi, nie o bycie utracjuszem, nie o sojową latte w Starbusiu. Homo ludens to ktoś, kto jest w trybie gry albo symulacji. Nie ma kontaktu z twardą rzeczywistością, bo się z niej wyalienował albo go wyalienowano. Może nim być człowiek zatopiony w świecie technologicznych wysysaczy mózgu, ale także makler czy prezes wielkiej firmy, dla którego życie to gra.

Choć, jak pisze Huizinga, gra to część naszego życia, jest ona wykrojona z normalnego czasu wyraźną ramą i obowiązują w niej inne zasady niż normalnie. Mecz piłki nożnej rozgrywamy od pierwszego gwizdka do ostatniego, kończymy i wracamy do rzeczywistości. Homo ludens nigdy nie wraca, bo nie ma do czego. Rzeczywistość realna jest coraz bardziej nieosiągalna. Sam podział na rzeczywistość realną i wirtualną się zaciera. Wszystko staje się symulacją.

Osią sporu między pokoleniami jest relacja do rzeczywistości: faber jeszcze z nią kontakt ma i się z nią zмага, ludens oddalił się od niej na tyle, że nie wie, jak się z nią zмагаć. I nie jest to jego wina. Podstawowym narzędziem zmagania się z rzeczywistością jest praca: działanie, które tę rzeczywistość zmienia, więc to o nią młodzi i starzy się spierają.

między dziecko a świat wkładamy sterylną folię nadmilości. A ono, owinięte nią, zamiast na świecie skupia się na sobie i swoich emocjach.

I tak dzieci zaczynają wierzyć w dwa kłamstwa: „co cię nie zabije, to cię osłabi (a nie wzmocni)” oraz „ufaj zawsze swoim emocjom” (a nie rozumowi). Bez kontaktu z realnym światem, zmienne emocjonalnie, lepiej odnajdują się w świecie sztucznie wytworzonym. Ten przynajmniej da się kontrolować: można się w nim wystawić wyłącznie na emocje znane i lubiane, o których dostarczanie dba odpowiedni algorytm.

I tak, jak piszą socjologzy Bradley Campbell i Jason Manning, rodzi się kultura bycia ofiarą. Po wrażliwej i agresywnej kulturze honoru („ta zniewaga krwi wymaga”), po kulturze godności („nie jesteś w stanie mnie obrazić”) przychodzi człowiek przewrażliwiony, ale za słaby, by oddać. Rządziej ucieka się do agresji, częściej szuka ochrony u wyższych instancji – najpierw rodziców, potem administracji szkolnej, wreszcie u rządu. Chłopaki z bloków zwykli pytać: „masz jakiś problem?”. Dzieci ze strzeżonych osiedli pytają: „masz jakąś mikroagresję?”. A ponieważ zawsze jakąś mają, zamiast spuścić bęcki, składają skargę.

Druga przyczyna: filozofia. Nie lekceważcie jej, bo ona rozprzestrzenia się przez osmozę. Nie zauważamy, jak wielkie idee nas przenikają. Myśląc o idealnej miłości, nie wiemy, że myślimy Platonem, stawiając racjonalność ponad emocje, nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że myślimy oświeceniem.

Średni czas zabawy dzieci bez nadzoru rodziców, pozwalającej na eksplorację świata i zderzenie się z nim, dramatycznie spadł między latami 80. a współczesnością

Są trzy powody tego, że homo ludens oddala się od rzeczywistości i zapada w symulację: wychowawczy (wpływa na młodego człowieka przed szkołą), filozoficzny (przenika do edukacji i kształtuje go w szkole) oraz technologiczny, który kształtuje go i przed szkołą, i po szkole.

To, jak zmienia się wychowanie dzieci, pokazują we wkrótce wychodzącej po polsku książce „Rozpieszczony umysł” Greg Lukianoff i Jonathan Haidt. Średni czas zabawy dzieci bez nadzoru rodziców, pozwalającej na eksplorację świata i zderzenie się z nim, dramatycznie spadł między latami 80. a współczesnością. Powodem jest nadopiekuńczość i rodzicielstwo helikopterowe. Dzieci rządziej mają okazję zadrapać sobie kolano, pobrudzić się czy spocić, bo zawsze jest obok ktoś, kto powie: „nie dotykaj, nie włącz tam, nie biegaj”. Po-

Nasze życie przenika obecnie duch postmodernizmu, wiodącej filozofii intelektualnych elit. Sprzeciwia się on oświeceniu, bo zamiast w siłę racjonalności wierzy bardziej emocji i intuicji. Nie uznaje języka za cenne narzędzie komunikacji, podchodzi do niego podejrzliwie jak do narzędzia propagandy. Sprzeciwia się obiektywizmowi i doprowadza do ekstremum kartezyjski lęk – obawę, że jeżeli stracimy podstawy do obiektywnego oglądu rzeczywistości, nic nie będzie miało sensu. Tak staje się kartezyjskim koszmarem.

Postmodernizm na tyle odchodzi od pojęcia obiektywnej rzeczywistości, że słowami Baudrillarda przekonuje nas, że żyjemy w symulacji. Jak u Kanta – rzeczywistość sama w sobie jest nam niedostępna – o wszystkim decyduje interfejs, jaki między nami a rzeczywistością tworzy nasz

umysł. Czy maki na Monte Cassino są rzeczywiście czerwone? To zależy od tego, kto patrzy. Czy stół jest rzeczywiście twardy? To zależy, jakiej wielkości jest to, co chcemy między jego atomy włożyć.

Nasz język nie ma do czego się odnosić, mówią postmoderniści. Znaki odnoszą się do innych znaków, nie ma na koncu nic, co mogłoby zakończyć ten taniec słów. Nie ma twardych faktów, są tylko wyobrażenia. A jeśli tak, nie ma obiektywnych prawd – każda interpretacja jest tak samo dobra, bo nie ma kryterium, przez które da się ją ocenić.

Postmodernizm spełnia przepowiednię „Matrixu” – wszystko, co widzimy, jest oszustwem, okularami zniekształcającymi świat, które musisz zdjąć, a przynajmniej przeczyścić, żeby być wolnym. Ale wolność, zbudowana na podejrzliwości, jest obietnicą, która się nie spełnia. Postmodernizm to liberalizm na sterydach, liberalizm, który przedawkował indywidualną wolność. Ponieważ każda wizja świata przychodząca z zewnątrz jest opresją, musisz wytworzyć sobie własną, w której ty jesteś miarą wszystkiego – nie zewnętrzne normy, hołubione przez religię, tradycję, rodziców.

Ta wizja płynnego, pełnego relatywizmu świata przenika do naszej edukacji. Norma staje się opresją, a indywidualne odczucie normą. Matematyka, wymagająca, by dwa plus dwa było zawsze cztery, staje się niemal faszystowska. Każda anomalia może stać się standardem, bo w grze zwanym życiem ty decydujesz o każdym ruchu. Prowadzi to do absurdu. Przykładem są tezy formułowane w ramach postmodernistycznych studiów nad otyłością. Sensowny sprzeciw wobec opresji bycia szczupłym jak model z żurnala, ochrona ludzi zmagających się z nadwagą przed bodyshamingiem, staje się karykaturą – bo odrzuca wszystkie normy.

W książce „Cyniczne teorie” krytykującej wojujący postmodernizm czytamy, że nauka o racjonalnym żywieniu jest przedstawiana przez aktywistów jako forma Foucaultowskiej „biowładzy”, która ogranicza i dyscyplinuje ludzi, a nauki medyczne zajmujące się otyłością narzucają ludziom „opresyjną, dyscyplinującą narrację”. Kathleen LeBesco porównuje otyłość do homoseksualizmu i argumentuje, że może zostać ona uznana za naturalne zjawisko, które nie potrzebuje lekarstwa. Twierdzi, że osoby otyłe cierpią na syndrom sztokholmski: wmówiono im, że ich ciało jest patologiczne. Jedną z odpowiedzi na ten „ucisk” ma być akceptacja lub zwiększenie swojej otyłości.

To tylko jeden przykład zwalczania norm, które wydają się obiektywne. Homo ludens wybiera sobie postać, którą chce być, i lekceważy rzeczywistość, jak gdyby miał trzy życia. Traci kontakt z rzeczywistością biologiczną, jak gdyby miażdżycy i cukrzyca nie istniały, i odrzuca rzeczywistość społeczną – wymogi i ograniczenia. Jak ma wykonywać pracę, która jest kwintesencją podporządkowania się normom i dyscyplinie?

Oprócz wychowania, które chroni przed światem, i edukacji, która wmawia, że rzeczywistość każdy może sobie według własnego widzimisię ułożyć, młodzi są w środku technologicznej rewolucji.

Ta rewolucja to przejście od słowa do obrazu, które według Dukaja powoduje, że cofamy się z ery pisemności, dzięki której staliśmy się analityczni i wysoce racjonalni,

do ery oralnej, w której przeżywamy świat emocjonalnie i rozumiemy go nie w kategoriach systemowych, ale indywidualnych. Jacques Ellul, polihistor i chrześcijański anarchista, pisze, że obrazy dostarczane najpierw przez telewizję, a teraz przez komputer utrudniają krytyczną refleksję nad światem i oddalają od niego. „Dostarczają mi one z chwili na chwilę dokładnie tyle bodźców, ile potrzebuję. Dają mi poziom emocjonalny (gniew, czule uczucia, stopień zainteresowania), który mogę tolerować i który uważam za niezbędny w tym szarym świecie. Obrazy błyszczą nieustannie wokół mnie, pozwalając mi żyć w pewnego rodzaju fantazji”.

Ta rewolucja zastępuje namacalne rzeczy nieuchwytną informacją. Filozof Byung-Chul Han za uważa, że to oddala nas od świata: „Informacja reprezentuje rzeczywistość. Jej dominacja utrudnia doświadczenie obecności, redukuje dotykliwość. Nasza percepcja traci głębię i intensywność, fizyczność i objętość”. Kontakt ze światem i innym człowiekiem jest konieczny dla psychicznego dobrostanu. Zanurzeni w wirtualności jesteśmy podatni na depresję: „mnogość obiektów cyfrowych prowadzi do utraty świata. Ekran jest bardzo ubogi w świat i rzeczywistość. Bez żadnego odpowiednika, bez żadnego »Ty« jesteśmy uwikłani w siebie. Depresja to nic innego jak patologicznie nasilone ubóstwo świata. Infosfery potęgują nasze odnośnienie się do siebie samych. Wszystko podporządkowujemy swoim potrzebom”.

Badanie „Młode głowy” fundacji UNAWEZA pokazuje, jak wiele dzieci poniżej 13. roku życia ma konto w mediach społecznościowych i że najważniejsze ich problemy psychiczne to brak motywacji do życia w szarej rzeczywistości, samotność oraz poczucie braku sprawczości (cecha, którą ma homo faber). Wychowujemy człowieka o cechach homo ludens, wmawiamy mu, że jego emocje są kompasem na życie i wrzucamy go w hiperpłynną rzeczywistość, w której zamiast świata widzi jego wirtualny obraz. A potem chcemy, żeby poszedł do pracy i został lekarzem albo inżynierką.

Wymarzona praca ludensa związana jest z rzeczywistością wirtualną: typowy uczeń chce zostać youtuberem, graficzką komputerową lub influencerem. Ludens nie chce

pracą zmieniać rzeczywistości realnej. Chce zwiększać przestrzeń gry – nic w tym dziwnego, to jego naturalne środowisko.

Starsi mogą sobie z odrealnienia żartować. Śmiać się z memu, na którym brodaty młodzieniec wyznaje, że chciałby zapolować na jedzenie, ale nie wie, gdzie zerują bezglutenowe pierożki. Sami nie zauważają, że pozostają pod wpływem rzeczywistości kreowanej. Jedni widzą świat przez plastikowe ideały Instagrama, inni przez paski w TVP.

Co z tym zrobić? Można wysłać dziecko na agroturystykę, żeby wydoiło raz w życiu krowę i przynajmniej wiedziało, skąd się bierze mleko w kartonie. Można, jak typowy wujek na imieninach, wysłać młodych do wojska. Albo jak Jordan Peterson – odsadzany od czci i wiary, bo wzięli go sobie na sztandar alt-rightowcy i incele – zachęcać, żeby zderzenie z chaosem rzeczywistości rozpoczęli od codziennego ścielenia łóżka. Nie są to jednak systemowe środki.

Ludens postrzega pracę jako problem, wymaga ona bowiem czegoś, od czego odwykl: zderzenia z rzeczywistością. A już szczególnie nie ufa, gdy ktoś zachęca go do pracowitości. Tu z pomocą przychodzi zawsze podlizujący się emocjom postmodernizm i idea metanarracji Lyotarda. „Bądź nieufny wobec propagandowych opowieści! Mają cię zmylić i uczynić niewolnikiem, jak opowieść o patriotyzmie ma cię przygotować do roli mięsa armatniego!”. Zachęta do pracowitości zostaje zdekonstruowana jako kult zapierdolu. Nikt nie zauważa, że – jak często bywa w postmodernizmie – zastępuje ją inna metanarracja: twoje emocje zawsze mają rację, więc jeśli czegoś nie chcesz, nie zmuszaj się i wtedy (to największe kłamstwo) będziesz szczęśliwy.

Ludens ma problem z pracą, ponieważ podchodzi zupełnie inaczej do realnego zadania niż faber. Pozwólcie na żart – mam nadzieję, że ludensów on nie obrazi, ale mówimy o typach, nie konkretnych osobach. Faber podchodzi do zadania jak klasyczny majster. Ten, jak wiadomo, wykonuje pracę w trzech fazach. Pierwsza: „kto panu to tak spierdolił?”, druga: „zobaczmy, co da się zrobić”, czyli skupienie na problemie, i trzecia: „ile się należy?”.

Podjęcie ludensa jest odwrotne: faza pierwsza: „ile się należy?”, druga to ewentualnie skupienie na problemie (którego zazwyczaj „nie

Praca dla każdego

Czyli książki o tyranii bez sensu i z sensem, zaangażowaniu, za które kiepsko płacą, wypaleniu, za które świetnie płacą, wartościowej pracy za nędzne pieniądze i bezwartościowej pracy za duże pieniądze, o złamanych obietnicach, rozwinanych nadziejach oraz o dobrej robocie niezależnie od okoliczności.

„Społeczeństwo zmęczenia i inne eseje” Byung-Chul Hana, „Praca bez sensu” Davida Graebera, „Praca i inne grzechy” Charliego LeDuffa, „Urobieni. Reportaże o pracy” Marka Szymaniaka i „Biedni w bogatym kraju” Nicholasa D. Kristofa i Sheryl WuDunn dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl.



da się” rozwiązać), a faza trzecia to: „kto mi tak życie spierdolił?”. Przykładem podejścia „najpierw kasa” jest bojkot ogłoszeń o pracę, w których nie ma informacji o proponowanym wynagrodzeniu. Nie wiadomo jeszcze dokładnie, co będzie się robić, kto będzie to robił (jakie ma kompetencje), ale już ma być wiadomo za ile.

Jeśli praca jest tylko wygnaniem z wygodnej symulacji, nie da się jej wykonać z sensem. A sensowna, nawet ciężka praca daje to, czego, jak pokazują badania, Młodym Głowom brakuje: poczucie sprawczości i – zamiast samotności – relacje, a wraz z nimi być może więcej sensu życia. I nie przekonuje mnie argument z wyalienowanego kasjera w markecie. Każdy z nas spotkał w życiu takich kasjerów, ale i takie pielęgniarki, którzy w najzwyklejszych (na zakupach) albo w najgorszych (w szpitalu) chwilach życia umieli zarazić otoczenie dobrą energią i uczynić życie trochę mniej bezsensownym.

Praca, którą postrzega się jak zesłanie do piekła realności z nieba wirtualności, nie może dawać dobrej energii i musi wypalać. A po niej następuje odpoczynek technologiczny: można dać upust potrzebie symulacji, znów oddalić się od świata i ludzi. Zapaść się w czas bez struktury, z coraz mniejszą liczbą namacalnych rzeczy i relacji. I tak w kółko: znienawidzona praca, która wypala, i niby-odpoczynek, który wypala jeszcze bardziej.

Dlatego drapię się w głowę, gdy słyszę, że cudownym lekarstwem na dobrostan młodego pokolenia jest skrócenie czasu pracy. A co z relacją do tej pracy i z czasem po pracy? Co z wypaleniem przez odpoczynek technologiczny? Oczywiście można się od tego czasu wolnego odwalić. Każdy robi, co lubi. Ale

efekty są porażające – vide badanie „Młode głowy”.

Co można zrobić? Można inaczej wychowywać dzieci. Rady: daj się dziecku pobrudzić, włącz komputer, idź z nim na rower, nie są bez znaczenia. Każdy opór przed odrealnieniem jest ważny. Można wprowadzić więcej higieny technologicznej – cykliczne wychodzenie z jaskini symulacji na świat to ważna rekomendacja. To jakieś sposoby na problem wychowawczy i technologiczny, ale nie filozoficzny.

Wpływa on nie tylko na pracę, ale też na całe życie, bo wszędzie trzeba się dostosować do norm. Prawica, w tym ta rządząca Polską, rozumie i eksploatuje problem, o którym piszę, ale proponuje rozwiązania nieakceptowalne: opresyjną religijność, ślepe posłuszeństwo, edukację militarną (strzelnice, przysposobienie obronne). To ekstremalne przegięcie wajchy w drugą stronę. Ich boomerskie „do wojska byś poszedł” to prostackie wyrażenie tezy, że potrzebujemy zewnętrznych czynników nadających strukturę osobowości i życiu (musztry, dyscypliny). Czy nawet jeśli wyśmiewamy takich wujków dobra rada, mamy pomysł, jak zapewnić nowemu pokoleniu kontakt z rzeczywistością i nawyk radzenia sobie z nią? Postmodernizm – proponowany przez lewicową edukację – tego na pewno nie załatwi.

Wielu z nas, liberalów, problemu postmodernizmu nie dostrzega. Cieszymy się, że walkę z nim toczą pravicowi oszołomi, bo to pozwala problem zlekceważyć. Ten argumentum ad oszołomum nas gubi, staje się alibi naszej beczynności. Czy między szkołą Czarnką a szkołą postmodernistyczną jest miejsce na wychowanie, które nie popadnie w żadną skrajność? Czy jakiegokolwiek próby ukształtowania homo faber będą domeną tych, którzy chcą z dzieci uczynić myśliwych albo żołnierzy?

Wychowany w oderwaniu od rzeczywistości, wykształcony do nadwrażliwości i przekonywany, że indywidualne emocje są najlepszym przewodnikiem, homo ludens gorzej niż homo faber radzi sobie z realnym światem. Nie naprawimy tego etykietą „pokolenia płatków śniegu”. Nawet jeśli to pokolenie cierpi z powodu problemów pierwszego świata, one nie są błahе. I te problemy i wywołane przez nie cierpienie są całkiem realne. I to jest nasz wspólny problem. ●

OGŁOSZENIE

WE WTOREK W „WYBORCZEJ”



OGŁOSZENIE 34243576

WYBORCZA.PL/JEDNAPLANETAJEDNOZYCIE

Czy można wyprodukować ekologiczną folię?

#jednaplaneta
jednożycie
energia

ORGANIZATOR:

wyborcza.biz

PARTNER:



Technokracja

PiS spowodował, że nasze państwo stało się państwem technicznym i panuje w nim techniczna demokracja.

Michał Rusinek



Do słownika „dobrej zmiany” bez wątpienia należy dopisać przymiotnik „techniczny”. Jest to określenie niebywale pojemne i wieloznaczne, a przyjrzenie się mu pozwala, jak sądzić, dostrzec różne, nomen omen, techniki działania tej władzy.

Słowniki języka polskiego podają pięć znaczeń tego słowa. Po pierwsze, „techniczny” to „odnoszący się do techniki, czyli praktycznego wykorzystania osiągnięć nauki”. Po drugie, „używany przy kreśleniu projektów, np. maszyn, planów czy map”. Po trzecie, „dotyczący spraw związanych ze sposobem wykonania lub przeprowadzenia czegoś”. Po czwarte, „dotyczący umiejętności potrzebnych np. w pracy aktora lub w uprawianiu sportu”. I wreszcie po piąte, „dotyczący czegoś, czego znaczenie mówiący chce pomniejszyć”. Wygląda na to, że słowniki trzeba będzie jednak poprawić.

Dziesięć lat temu ówczesny kandydat PiS na premiera profesor Piotr Gliński ogłosił powołanie „rządu technicznego”. W polityce istnieje takie pojęcie i oznacza rząd powoływany na krótki okres, mający za zadanie jedynie administrować państwem, bez podejmowania decyzji dotyczących przyszłości kraju. „Techniczny” oznacza tu więc mniej więcej to samo, co „przejściowy”. Gliński nadał jednak temu pojęciu inne znaczenie: rząd techniczny miał być rządem technokratycznym: rządem ekspertów, „ludzi kompetentnych i odważnych, którzy są gotowi wziąć odpowiedzialność za Polskę”. A także ludzie niezależnych od bliżej nieokreślonych

„grup interesów”, które, jego zdaniem, uniemożliwiały wówczas dobre rządzenie i wyniszczały państwo. Prawnicy zwracali wtedy uwagę, że istnienie tak rozumianej władzy nie jest przewidziane przez konstytucję, więc ogłoszenie go było raczej zabiegami PR-owym. W gruncie rzeczy Głiński powinien się posłużyć się określeniem „gabinet cieni”. Czemu tego nie zrobił? Albo nie chciał nawiązywać do anglosaskiej tradycji, z której to pojęcie się wywodzi, albo wiedział, że przedstawienie takiego gabinetu będzie się wiązało z obietnicą, iż właśnie ci eksperci utworzą rząd po przejściu władzy przez PiS, a taką obietnicę mógłby złożyć jedynie prezes PiS a nie „premier techniczny”. Jak wiemy, dwa lata później z 24 przedstawionych przez Głińskiego ekspertów do rządu weszły tylko dwie osoby: Anna Streżyńska i sam Piotr Głiński. Był to więc gabinet dwojga cieni.

Przymiotnik „techniczny” w nazwie tego niby-rządu miał mieć zatem znaczenie pozytywne: miał oznaczać mniej więcej tyle, co „eksperscki”. Okazało się, że ostatecznie nie oznaczał technokratycznego, lecz teoretyczny, czyli oderwany od realiów – bo konieczność dziejowa, czyli polityczna, spowodowała, że rząd PiS nie mógł się składać z ekspertów; a jeśli już, to takich, których ekspertyzy są zbieżne z linią partii. Niedawno okazało się, że istnieje także „konieczność techniczna”, czyli rzekomo niepolityczna. We wrześniu zeszłego roku Jarosław Kaczyński ogłosił, że przesunięcie kolidujących z parlamentarnymi wyborów samorządowych wypadających na jesień tego roku to „techniczna konieczność”. Prezydent Andrzej Duda zapewniał, że chodzi o „transparentność polityczną”, „wyrównanie szans” i „zmniejszenie ciśnienia, jakie będzie wytwarzała kampania wielkich ugrupowań”. Poniekąd słusznie, ale czy nie wystarczyłoby nazwać tej konieczności po prostu koniecznością? Użycie przymiotnika „techniczna”, zamiast rozwiewać wątpliwości co do polityczności tej decyzji, tylko je wzbudza.

W styczniu tego roku wicereczniczka PiS Urszula Rusecka, komentując zmiany w kodeksie wyborczym, powiedziała, że są one „czysto techniczne”: „nie zmienia my przecież ordynacji wyborczej, bo wtedy byśmy mówili o zmianach istotnych”. „Techniczne” oznacza tu „mało istotne” lub „nieistotne”, a w każdym razie tak po winniśmy owe zmiany traktować. Albo inaczej: nie powinniśmy się nadmiernie zastanawiać, na czym one polegają, bo to wiedza czysto techniczna, dostępna spe-

cialistom. Nic nam do niej. Uwierzymy po prostu, że zmiany są słuszne.

Żeby zboże z Ukrainy mogło wjechać do Polski, musiało stać się „zbożem technicznym”. Tu widać magiczną funkcję języka: zboże bezprzymiotnikowe stanowiło zagrożenie dla naszego rolnictwa, gdy otrzymało stosowny przymiotnik – ruszyło w Polskę! Owszem, istnieje pojęcie „zboża technicznego”, ale oznacza ono „grupę roślin, które są uprawiane w celu wykorzystania ich do produkcji produktów przemysłowych, a nie do spożycia przez ludzi czy zwierzęta”. Magiczna funkcja języka nie pozwala wprowadzić zmienić żyta w jutę, a pszenicy w len, ale pozwala nazywać to, co jadalne – niejadalnym. Czyli niegroźnym. Wkrótce do Polski wlał się „miód techniczny” (może przecież służyć jako klej), a Władysław Kosiniak-Kamysz ostrzegał, że pojawi się u nas także „drób techniczny” (tylko miłośnicy science fiction potrafią sobie wyobrazić, do czego mógłby być zdolny). Znow jednak przymiotnik „techniczny” ma za zadanie upić naszą czujność. I obejść prawo.

Najbardziej spektakularnym użyciem tego przymiotnika popisał się jednak premier Mateusz Morawiecki. Ale po kolei: rok temu Adam Glapiński ogłosił tryumfalnie, że Narodowy Bank Polski osiągnął w 2021 roku zysk w wysokości około 10 miliardów złotych. W tym roku poinformował zaś, że w roku 2022 NBP poniósł stratę około 17 miliardów. Każdego, kto umie wykonywać podstawowe działania arytmetyczne, taka informacja może poważnie zaniepokoić. Premier oświadczył jednak, że „strata Narodowego Banku Polskiego jest stratą czysto techniczną” i wynika z „przeszacowania wartości rezerw”. Użył więc uspokajającego przymiotnika i bardzo specjalistycznego, niewiele mówiącego osobom nieznającym się na ekonomii uzasadnienia. Tak czy owak, nie przypominam sobie, żeby zeszłoroczny zysk był zyskiem technicznym. To był zysk realny.

Bo techniczny oznacza w języku „dobrej zmiany” to samo, co nieprawdziwy, bezprawny, niekonstytucyjny. PiS spowodował, że nasze państwo stało się państwem technicznym i panuje w nim techniczna demokracja. Jeśli tak w języku PiS-u rozumie się technokrację, to wygląda na to, że wizja Piotra Glińskiego sprzed dziesięciu lat – już się spełniła. ●

**WIERSZ POLECA
ANDRZEJ ZAGOZDA**

Krzysztof Lisowski*

Indeks ksiąg zakazanych

Pamięci Jurka Kronholda

Były czasy gdy jako młody człowiek
Niewinny ciekawy wiedzy
Dostałem od kogoś
Pozwolenie

*Chodziłem do czytelni profesorskiej
W swoim mieście
I wypożyczano mi tomy wierszy
Wroga władzy (dawnej i obecnej)
Czesława Miłosza*

Przepisywałem wers za wersem
Do swego kajetu i z tą zakazaną
Wiedzą liryczną
Zbiegałem po marmurowych schodach
Starej biblioteki do
Prawdziwego życia
Całowania się z dziewczętami
Które chciały tego samego
Między kwitnące szybko wiosną
Gałązki forsycji

25 marca 2023



***Krzysztof Lisowski** – poeta, krytyk literacki, redaktor. Ostatnio opublikował tom wierszy „Wieści dobre i złe” (wydawnictwo Universitas, 2021) i tom esejów „Jakiś Odys i inne pisaniny” (SPP, 2022). Urodzony dziewięć lat po wojnie w Krakowie, gdzie dotąd mieszka

FOT. MARTA MAZURKIEWICZ-STEFANČZYK

NOC
kultury

FESTIWAL SZTUKI W PRZESTRZENI ULICZNEJ

3/4.06.2023 | LUBLIN, STARE MIASTO

WSTĘP WOLNY

NOCKULTURY.PL

WARSZTATY KULTURY

INSTYTUCJA KULTURY MIASTA LUBLIN

Lublin MIASTO INSPIRACJI

LUBLIN 2023
EUROPEJSKA
STOLICA
MŁODZIEŻY

Czy polski himalaizm się skończył

LEKKI STYL
Z BARDZO
CIĘŻKIM
PLECAKIEMDobry alpinista powinien
być jak dobry humanistaZ HIMALAISTAMI **ADAMEM BIELECKIM***
I WADIMEM JABŁOŃSKIM** ROZMAWIA
BARTOSZ WRZEŚNIEWSKI

W powszechnej opinii Himalaje to crème de la crème alpinizmu, a tymczasem celem Polskiego Himalaizmu Sportowego staje się „mało znaczące” pasmo w Ameryce Południowej. Po co w ogóle jeździć taki kawał na trzytysięczniki, skoro można zdobywać góry najwyższe?

WADIM JABŁOŃSKI: Góry to nie tylko wysokość, o czym można się przekonać chociażby w Tatrach. Ludzie jeżdżący na niekoniecznie najwyższe, ale ambitne szczyty napotykają tam trudności techniczne, czyli miejsca wymagające rozmaitych wyrafinowanych technik wspinaczkowych. My tych trudności właśnie szukamy. Góry najwyższe to tylko mały ułamek wszystkich gór na całym świecie, a niemal w każdym paśmie można znaleźć wyzwania.

ADAM BIELECKI: Wysokość jest po prostu jednym z czynników wpływających na trudność danego celu, wcale nie najważniejszym. Alpinizm można realizować na wiele sposobów, na dużych i mniejszych ścianach, w górach najwyższych, ale także w Alpach czy w Patagonii.

Adam, wróciłeś niedawno z Norwegii, gdzie wspinałeś się na lodospadach. Tego typu wyjazdy to trening przed Himalajami?

A.B.: U mnie trudno jest odróżnić, co jest treningiem, a co wyprawą. Wspinam się cały czas i żyję wspinaniem we wszystkich jego wymiarach. Staram się być wspinaczem wszechstronnym, stąd czasem idę na ściankę, czasem na lodospady, innym razem jadę w skały. Oczywiście tłumaczę sobie, że aby działać na większych wysokościach, potrzebuję dużych rezerw, więc to forma przygotowania, ale przy okazji świetna zabawa i sposób na realizację siebie jako wspina-

cza. Czy to trening, czy nie? Nie wiem – to po prostu moje życie.

W.J.: Postrzegam alpinizm tak, jak powinno się postrzegać humanizm, który został spłycony do prostej dychotomii: albo masz umysł ścisły, więc zajmujesz się fizyką, albo jesteś humanistą i zaczytujesz się w literaturze. Kiedyś humanizm miał szerszą definicję, a humaniści zajmowali się także naukami, które dziś nazywamy ścisłymi. Tak samo jest z alpinizmem: dobry alpinista powinien być wszechstronny i najlepiej, aby zgłębił wszystkie dyscypliny wspinania, bo każda z nich składa się na pulę doświadczeń, która sprawia, że jesteśmy lepsi w tym, co robimy. Gdy w górach wysokich napotykamy mniejsze trudności techniczne, ale musimy mierzyć się z wyzwaniem wydolnościowymi, tracimy mniej energii, nie dopada nas ekstremalne zmęczenie również dzięki umiejętnościom technicznym z tych mało emocjonujących dla laika gór niższych.

Na ile można być wszechstronnym wspinaczem i jednocześnie dobrym himalaistą? Mówi się, że jak coś jest do wszystkiego, to jest do niczego...

A.B.: Każdy ma swój pomysł na wspinanie i ja ci nie powiem, co jest lepsze, a co gorsze. Mogę ci powiedzieć, jak mam ja, ale nie ma tu uniwersalnych rozwiązań.

No to słucham.

A.B.: Obecnie przygotowuję się do realizacji celu ścianowego w Himalajach, więc w moim treningu jest więcej wysiłku w tlenie i nawet jak idę na ściankę, to wspinam się na wytrzymałość, a nie na trudność. Na rowerze robię dłuższe trasy w tlenie. Jeśli ktoś mnie pyta, ile się przygotowuję do takiej wyprawy, odpowiadam: przez ostatnie 25 lat wspinania. Nie mam problemu z tym, że się rozpraszam na inne dyscypliny. Bawię się nimi, to wszystko się ze sobą sumuje i czyni mnie lepszym alpinistą.

W.J.: Trochę jest w tym racji, że jak coś jest do wszystkiego, to jest do niczego. To prawda, że bardzo trudno dojść do choćby ułamka poziomu ludzi specjalizujących się w da-



nej dyscyplinie wspinania. Alpiniecie ciężko konkurować z topowymi wspinaczami sportowymi, ale są wybitni sportowcy, którym to się udaje.

No to niech padnie w końcu to pytanie: co jest dla was bardziej wartościowe – długa i trudna droga wspinaczkowa w Alpach z biwakami w ścianie czy zdobywanie ośmiotysięczników? Słowem: gdzie znajduje się crème de la crème alpinizmu?

A.B.: Piękno tego sportu tkwi w jego różnorodności i dla każdego ten crème de la crème będzie wyglądał inaczej. Dla mnie wytyczanie trudnych dróg na dużych wysokościach w lekkim stylu jest ukoronowaniem mojej drogi jako alpinisty. Jednocześnie nie mam wątpliwości, że wchodzenie drogami normalnymi na ośmiotysięczniki ma niewiele wspólnego z prawdziwym alpinizmem. Zamiast samodziel-

ności i umiejętności wspinania mamy umiejętność przesuwania jumara po poręczówkach. Dużo bardziej imponują mi ambitne przejścia w dobrym stylu w niższych górach.

W.J.: Pójdę na łatwiznę: Złote Czekany. Crème de la crème będą przejścia aspirujące do tej najbardziej prestiżowej nagrody lub chociaż zgodne z jej filozofią.

A jaka jest ta filozofia?

W.J.: Robienie trudnych technicznie rzeczy na znacznych wysokościach. Niekoniecznie to musi być wysokość obiektywna. Chodzi bardziej o długość i powagę drogi. To może być wejście nową linią na ośmiotysięcznik i wtedy trudności techniczne zazwyczaj będą mniejsze, a może być trudna i innowacyjna droga w niższych górach. W tym roku Złotym Czekanem został nagrodzony samotny trawers grani Fitz Roy w Patagonii,

*Adam Bielecki

• ur. w 1983 r., jeden z najbardziej znanych polskich himalaistów, pierwszy zimowy zdobywca dwóch ośmiotysięczników – Broad Peak i Gaszerbrumu I. Z wykształcenia psycholog



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ostatnia w pełni samodzielna
nowa polska droga w Himalajach
powstała na Annapurnie w 1996 r.
Trzeba coś z tym zrobić

FOT. WADIM JABŁOŃSKI



na trzech tysiącach metrów nad poziomem morza, więc czynnik wysokości w ogóle nie odegrał tam roli.

Medialny obraz jest nieco inny. Techniczny alpinizm słabo się sprzedaje, liczą się tylko ośmiotysięczniki.

A.B.: Ludzkość zawsze miała fiksjację na punkcie „naj” i świat alpinizmu nie jest od tego wolny. Ale czasem myślę, że to dobrze, bo 90 procent ruchu koncentruje się na tych najwyższych punktach, a cała reszta zostaje wolna dla tych, dla których to, że szczyt jest najwyższy w danym paśmie, nie jest istotne.

W.J.: Ludzie uwielbiają rekordy i konfrontacje. Dla nich ośmiotysięcznik jest czymś wyimernym – najwyższa góra na świecie!, jedna z 14 najwyższych! Nie zdają sobie sprawy, że na taką górę mogą prowadzić różne drogi o różnych trudnościach. Wiedza na temat wspinania jest szczątkowa, więc nie ma co się dziwić, że promuje się tylko łatwe wejścia na ośmiotysięczniki. Dopóki w Polsce nie wzrośnie kultura górską, tak jak w krajach alpejskich, nie będziemy mogli promować technicznego alpinizmu.

Odkąd Nepalczycy zdobyli zimą K2, himalaizm, jaki znaliśmy do tej pory, wyczerpał swoją formułę. Co dalej?

A.B.: Himalaizm nie wyczerpał swojej formuły, nadal odbywają się zimowe wyprawy. Zgadzam się z Simonem Moro [słynny włoski wspinacz, jako pierwszy zdobył zi-

mą cztery ośmiotysięczniki], że to zamknięcie pierwszego rozdziału zimowej eksploatacji gór najwyższych. Jeśli chodzi o nasze podwórko, to nam to wydarzenie pozwoliło wyrwać się z kręgu himalaizmu zimowego i pójść dalej.

Czemu chcieliście wyrwać się z tego kręgu?

W.J.: Głównym celem górskim w powszechnej świadomości Polaków było zdobycie K2 zimą i poza tym nic. Tak jakby zapomniano, że Polacy mają świetne dokonania na wielu niższych górach na całym świecie. Dla mnie są one równie ważne jak pierwsze wejścia na ośmiotysięczniki. To zorientowanie na zimowe K2 krępowało nam ręce i utrudniało pozyskanie zainteresowania medialnego oraz funduszy dla naszych relatywnie najlepszych wspinaczy.

Chyba jest wam bliskie podejście Wojciecha Kurtyki do himalaizmu. Dla którego wspinaczka to nie wyczyn i statystyki, tylko samorozwój, introspekcja, przyroda. Bliżej filozofii niż sportu.

A.B.: Wydaje mi się, że program zmierza w taką stronę, która mogłaby się Kurtyce podobać, ale o to trzeba by spytać Kurtykę, nie mnie.

W.J.: Dla mnie to niesamowicie ważna postać. Mam wrażenie, że znajdujemy nic porozumienia, a to, co robimy, jest zbieżne z tym, co Wojtek robił w górach kilkadziesiąt lat temu.

**Wadim Jabłoński

• alpinista, himalaista, pierwszy zdobywca kilku trudnych himalajskich szczytów, kierownik programu Polski Himalaizm Sportowy

No więc co dalej?

A.B.: Dalej jest Polski Himalaizm Sportowy. Chcemy budować szeroką kadrę ludzi, którzy będą mogli realizować fajne sportowe cele w górach o różnej wysokości.

W.J.: Widzę taką niszę, którą Polacy powoli zaczynają wypełniać: zimowy big wall w najwyższych bądź trudno dostępnych górach. Rok temu Michał Król, Maciek Kimmel i Janusz Gołąb próbowali zdobyć Great Trango Tower. Chwilę wcześniej za sprawą Damiana Bieleckiego i Marcina Tomaszewskiego powstała nowa droga na Uli Biaho Gallery. Również zimą i również w Karakorum. Teraz mamy pierwszą w historii zimową drogę tego typu na Grenlandii – dzięki Marcinowi Tomaszewskiemu i Pawłowi Haldasiowi. Rozmawiam dużo ze wspinaczami z zagranicy i dla nich jest jasne, że jest to dziedzina, w której Polacy się wybijają, w pewnym sensie kontynuując zimowe dokonania starszego pokolenia.

Czyli w tę stronę będzie szedł polski himalaizm?

A.B.: Nie. Formuła programu jest szeroka. Mnie osobiście cieszy, że ta zimowa fiksjacja Polaków ma kontynuację, ale to tylko jeden wymiar alpinizmu.

W.J.: Zdecydowanie nie chcemy się skupiać wyłącznie na zimie! Chcemy dać możliwości rozwoju alpinistom, którzy robią ciekawe przejścia na wysokim poziomie lub są nowatorscy w jakiejś dziedzinie. Nie ma jednego celu, na który bylibyśmy zapatrzeni.

Od pewnego czasu mówi się o młodym pokoleniu polskiego himalaizmu. Podobno żądacie zmian i chcecie działać na własnych zasadach?

W.J.: Wydaje mi się, że trudno jeszcze mówić o młodym pokoleniu himalaizmu, bo młodzi członkowie PHS dopiero stawiają pierwsze kroki w górach najwyższych. To świetni technicznie wspinacze, którzy mają już pewne doświadczenia z wysokością i logistyką wyprawową, a co ważniejsze, także bardzo mocne przejścia w Alpach, Yosemite i Patagonii, których jeszcze w historii polskiego wspinania nie było. Niestety, media w ogóle się tym nie interesują, bo kogo obchodzi Patagonia? Nie wiem, czy oni będą sięgać po ośmiotysięczniki, ale staramy się promować taką możliwość. Z pewnością to ludzie świadomi, którzy wiedzą, czego chcą, i nie będą podążać z prądem tylko dlatego, że jakiś cel jest bardziej medialny.

A.B.: Od początku koncepcja była taka, że program ma działać długofalowo, i mam nadzieję, że będziemy nadal dostawać wsparcie od Ministerstwa Sportu. To jest praca u podstaw. Żeby dojść w góry najwyższe, trzeba przejść poszczególne szczebelki górskiej edukacji. Ale widzę, jak program się rozwija, jak poziom uczestników się podnosi, i jestem pewny, że w najbliższych latach posypią się polskie klasowe przejścia w górach całego świata.

O jakie zmiany chodzi?

W.J.: Wydaje mi się, że wracamy do korzeni. Patrząc pod kątem historycznym, nazwiska takie jak Kurtyka, Kukuczka nie wzięły się znikąd. Ci ludzie pierw wspinali się w Tatrach na wysokim poziomie, a dopiero potem jechali w Himalaje, mając doskonale przygotowanie techniczne. Liczymy, że gdy stworzymy świetną kadrę, ci ludzie z czasem przeniosą swoje umiejętności w góry wysokie, aby podnosić poprzeczkę technicznego alpinizmu, a nie tylko odtwarzać to, czego dokonaliśmy 20 lat temu.

Kadra naszych himalaistów znacząco się zmieniła w stosunku do tej z Polskiego Himalaizmu Zimowego.

W.J.: Jest jedno konkretne wymaganie w PHS: jest się w zespole za bieżące osiągnięcia, a nie za zasługi. Wymagamy od uczestników, aby byli aktywni wspinaczkowo. To znaczy, że w programie nie można znaleźć się, jeżdżąc raz w roku na ośmiotysięcznik. Trzeba się aktywnie wspinąć w Tatrach, w Alpach. To wszystko buduje kompletnego wspinacza. Nie chcemy wysyłać w góry ludzi, którzy pielęgnują mit Himalajów.

Adama znają chyba wszyscy Polacy, nawet jeśli nie interesują się alpinizmem. Wadim, ty jesteś rozpoznawany głównie w kręgach wspinaczkowych. Jak zostałeś kierownikiem PHS?

A.B.: Może ja odpowiem, bo koledze może być trochę niezręcznie. Oprócz tego, że Wadim jest świetnym wspinaczem, to także bardzo sprawnym, zdolnym i zaangażowanym społecznikiem oraz organizatorem. Od lat działa na rzecz integracji środowiska. Robi dużo, chce mu się, a przy okazji jest skuteczny, dlatego mieliśmy przekonanie, że będzie odpowiednią osobą.

Adam, jak odnajdujesz się w nowym programie?

A.B.: Fenomenalnie! Byłem członkiem PHZ niemal od początku i na ile znałem Artura Hajzera [wybitny himalaista pokolenia Kukuczki, pierwszy zimowy zdobywca Annapurny, reaktywował polski wyczynowy hi-

malaizm po zapaści lat 90., współzałożyciel firmy Alpinus], mam wrażenie, że byłby zadowolony z tego, w jakim kierunku wszystko zmierza. Dla mnie to naturalne, że dzisiaj współtworzę program, któremu sam wiele zawdzięcza.

To na koniec uporządkujmy trochę pojęcia z myślą o mniej wtajemniczonych. Gdzie leży granica między wyczynem sportowym a wejściem turystycznym?

A.B.: Styl to nie jest system zero-jedynkowy. To jest kontinuum, które zawiera wiele aspektów: czy jesteś wspinaczem samodzielnym, czy wspomagasz się tlenem, czy korzystasz z lin poręczowych, a jeśli tak, czy sam je sobie wieszasz. Te punkty mogą się mikсовать i niekoniecznie złamanie któregoś kategoryzuje przejście jako turystyczne. Granica jest płynna i nieostra. Dla mnie – ale to jest tylko mój punkt widzenia i nikomu go nie narzucam – ta granica przebiega w miejscu używania tleny i bycia samodzielnym w górach. Mnie też się oczywiście zdarzyło korzystać z zastanych na drodze poręczówek, ale myślę, że nie tu znajduje się prawdziwy himalaizm.

Czy himalaizm sportowy wyklucza pomoc tragarzy wysokościowych?

W.J.: Nowoczesny himalaizm korzysta z ich pomocy wyłącznie podczas zakładania base campu. Moim zdaniem przejścia sportowe, które powinny być zauważone, wyróżnia niekorzystanie z jakiegokolwiek pomocy powyżej niego. Wyjątkiem może być sytuacja, w której baza wysunięta (ABC) jest zlokalizowana daleko, ale dostępna łatwym terenem i prosimy porterów o pomoc w transporcie sprzętu. Jeżeli ktoś korzysta z lin poręczowych lub Szerpów powyżej BC, to moim zdaniem takie wejście nie nosi walorów sportowych. Niestety, w mediach głównego nurtu to nie jest rozróżniane i często stawiamy na piedestale przejścia hobbystyczne. To mogą być dobre przejścia, ale nie wyczyny sportowe.

A.B.: Sprawa jest prosta: jeśli płacimy komuś za to, aby ułatwić nam wejście na szczyt, to musimy uwzględnić zasługi tej osoby w naszym ewentualnym sukcesie. Tutaj kończy się sport.

A czym jest styl alpejski?

A.B.: Pochodzi od sposobu działania w Alpach, gdzie możliwe jest wejście na szczyt w ciągu, dźwigając na plecach wszystkie potrzebne nam rzeczy. Oczywiście w górach wysokich potrzebujemy wcześniej się zaaklimatyzować. Styl alpejski, zwany stylem lekkim, nierozdzielnie łączy się z bardzo ciężkim plecakiem (*śmiech*). Wejścia są szybsze, ale i bardziej ryzykowne. To odwrotność stylu wyprawowego, gdzie najczęściej jest większy zespół, duża baza, dużo sprzętu, kursujemy góra-dół, aklimatyzując się w ten sposób, a także zakładając i wyposażając kolejne obozy. Tutaj jest strategia niemal wojskowa, tam dwóch wspinaczy związanych jedną liną z jednym małym namiotem. Uważam, że nie ma nic bardziej estetycznego niż właśnie taki obrazek. Dla mnie z biegiem czasu ten styl stał się obsesją. Nie chcę powiedzieć, że jest ważniejszy od góry, na którą wchodzę, ale chyba równie ważny. **W.J.:** Według mnie to najuczciwszy sposób zdobycia góry. Wymaga od wspinacza bardzo dużej kondycji fizycznej, ale też doświadczenia i zdolności oceny ryzyka. Gra toczy się o to, jak spakować plecak. Jeśli zabierzemy za dużo rzeczy, będziemy się wolniej poruszać i możemy nie osiągnąć celu. Z drugiej strony, gdy z czegoś zrezygnujemy, ryzykujemy mroźny biwak bez jedzenia, który czasami może zakończyć się nieprzyjemnymi konsekwencjami.

Czy ten styl ma jakieś ograniczenia? Czy widzicie możliwość zimowego zdobywania szczytów korony Himalajów i Karakorum w zespołach dwuosobowych?

A.B.: Byłby to masochizm do potęgi czternastej, ale myślę, że każdy, kto postuluje istnienie barier w sporcie, nie ma racji. A z innej beczki: do niedawna wspinanie zimą w Alpach uchodziło za dziwactwo nawet w samym środowisku wspinaczkowym, a dziś, ze względu na zmiany klimatyczne, takie klasyki jak północna ściana Eigeru czy Matterhornu są celami atakowanymi wyłącznie zimą. Latem te ściany są zbyt niebezpieczne. Nie zdziwiłbym się, gdyby taka sytuacja zaistniała także w Himalajach.

Czy można powiedzieć, że styl obłętny odchodzi powoli do lamusa? Przyszłością himalaizmu

sportowego będą szybkie przejścia w małych zespołach?

A.B.: To jest teraz na topie, ale jaka będzie przyszłość, nikt nie wie. Nie mam wątpliwości, że istnieją ściany himalajskie, na których można dokonać bardzo wartościowych przejść nawet w stylu obłętnym. Jeśli ktoś sam sobie wiesz poręczówki, to niekoniecznie degraduje styl. Próba zważenia, co jest bardziej wartościowe: trudna droga w stylu obłętnym czy łatwiejsza w stylu alpejskim, nie ma najmniejszego sensu.

Planujecie przejścia w stylu alpejskim na ośmiotysięcznikach?

W.J.: Tak, akurat teraz Adam ma w planach takie przejście. To ważny cel sportowy i kolejny krok naprzód.

Adam, zdradzisz, o jaki szczyt chodzi, czy to tajemnica?

A.B.: Co prawda życie mnie nauczyło, że lepiej opowiadać, jak się już załoi i wróci, niż stroić się w piórka przed, ale nie jest tajemnicą, że od dawna planuję takie przejście. Nie licząc mojego wariantu na Gaszerbrumie II, ostatnia w pełni samodzielna nowa polska droga w Himalajach powstała na Annapurnie w 1996 roku. Dość dawno, także trzeba coś z tym zrobić. Naszym celem z Mariuszem Hatalą i Felixem Bergiem jest północno-zachodnia ściana Annapurny. Już raz musiałem się z niej wycofać, po dwóch trudnych biwakach w ścianie na wysokości 6700 m. ●

„Spod zamrażniętych powiek” – opowieść Adama Bieleckiego wystuchana i spisana przez Dominika Szczepańskiego dostępna jest w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



CASA NOSTRA

Ziemia przyjmie wszystkich

W polskim i białoruskim lesie ktoś kiedyś znajdzie kości, może policzy. Kości w morzu nie policzy nikt nigdy

Jarosław Mikołajewski

Chciałoby się mieć dobre wiadomości z Włoch, gdzie 25 kwietnia obchodzono Święto Wyzwolenia od faszyzmu, lecz one z trudem przedzierają się przez krwawy spektakl Morza Śródziemnego. W czwartek rano, kiedy piszę ten felieton, wiemy o 30 zmarłych znalezionych na plaży w Tunezji, znamy liczbę 57 ofiar dwóch wczorajszych katastrof pomiędzy Libią a Sycylią, dowiadujemy się o kolejnej jednostce, tym razem na wysokości Neapolu, z ponad siedemdziesięciorgiem migrantów, w tym kobietami i dziećmi. Obecność mężczyźni jak zawsze wydaje się oczywista i jakby drugorzędna.

Liczyby są oczywiście niepełne. Doliczyć się możemy tylko tych, których ciała znaleziono. Ilu utonęło, tego się nie dowiemy. Podobnie jak nie dowiemy się, ilu uchodźców zostało w polskim i białoruskim lesie. Ktoś kiedyś znajdzie kości, może policzy. Kości w morzu nie policzy nikt nigdy. W chwili, kiedy zostawiam ten felieton, na małej Lampedusie jest grubo ponad 3 tysiące przybyszów, włoskie służby przewożą ich na Sycylię, na miejscowym cmentarzu nie ma już miejsca. Choć doświadczenie uczy, że ziemia przyjmie wszystkich. A w związku z walkami w Sudanie działacze przewidują w najbliższym czasie 20 tys. nowych uchodźców. Pomyślmy: jak to jest dowiadywać się każdego dnia, że w tym pięknym morzu znowu zginęło kilkadziesiąt, kilkaset osób. Kim staje się naród, który przeżywa coś takiego od kilkadziesiąt lat? Kim stajemy się my z naszą Puszczą Knyszynską? Czy wciąż jesteśmy tym, kim byliśmy?

Dzień Wyzwolenia jest dla Giorgii Meloni dobrą datą, żeby ustosunkować się do własnego postfaszystowskiego dziedzictwa, i pani premier (akurat ona chyba nie nazywa siebie premierką) dobitnie podkreśla swoją demokratyczną tożsamość. Kilkakrotnie mówiąc też o Ukrainie i jej nieuchronnej obecności w strukturach europejskich, deklaruje solidarność i pomoc. Po tym, jak ranny zostaje korespondent dziennika „La Repubblica”, a od tego samego pocisku ginie jego ukraiński współpracownik, tłumacz, ta wojna wydaje się Włochom bardziej realna. ●

„Czerwony śnieg na Etnie” Jarosława Mikołajewskiego i Pawła Smoleńskiego w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



DRUGI TOM NOWEGO CYKLU KRYMINALNEGO ROBERTA MAŁECKIEGO Z POLICJANTAMI ARCHIWUM X



lat
Wydawnictwa
Literackiego



facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
twitter.com/wydliit

NADCHODZĄ SZTUCZNI INTELIGENCI?

Prawie wszyscy amerykańscy uczniowie odrabiają już lekcje z pomocą sztucznej inteligencji

Jarek Gryz*

Koniec z językiem angielskim w szkołach średnich”, „Uniwersytecki esej jest martwy” – to tytuły prasowe z USA, a na uczelniach nastrój rezygnacji. Umiejętność pisanie, w szczególności wypracowań, była fundamentem humanistycznej pedagogiki, tak uczono dzieci dociekania i argumentacji, czyli myślenia.

Tak jak kalkulator uwolnił nas od konieczności liczenia, tak ChatGPT uwolni nas od konieczności pisanie – mówią jego entuzjaści.

Daniel Herman, nauczyciel w szkole średniej w Berkeley, pisze: „To, co GPT potrafi wykreować, jest lepsze niż znakomita większość tego, co widzi w klasie przeciętny nauczyciel czy profesor”. W istocie najlepszym dowodem na uczniowskie ściąganie od maszyny jest jakość wypracowań.

Kiedy Antony Aumann, profesor filozofii na Northern Michigan University, zauważył, że jeden ze sprawdzanych przez niego studentkich esejów zdecydowanie góruje nad całą resztą, nabrał podejrzeń. Rzekomy autor eseju przyznał się natychmiast, bo nie potrafił wytłumaczyć tego naglego przeblysku geniuszu literackiego. A uczniowie ściągają masowo. Dwa miesiące temu amerykańska firma Study.com zapytała tysiąc amerykańskich uczniów, czy używają ChatuGPT do odrabiania lekcji. Aż 89 proc. przyznało się do używania go przy robieniu pracy domowej. 22 proc. skorzystało z jego sugestii, jak napisać wypracowanie, a 50 proc. napisało je w całości, używając ChatuGPT. Aż 48 proc. wykorzystało go do rozwiązywania testu zadanego do domu. Reakcja niektórych szkół? Na szkolnych komputerach w Nowym Jorku i Seattle zablokowano dostęp do ChatuGPT. Zmusiło to uczniów do odrabiania pracy domowej... w domu.

Jeszcze większe wyzwania stoją jednak przed uczelniami wyższymi.

Grupa badaczy kierowana przez Catherine Gao z Northwestern University w Chicago postanowiła sprawdzić, czy ChatGPT potrafi wygenerować tekst nieodróżnialny od prawdziwego artykułu

naukowego. Wybrano 50 artykułów z prestiżowych pism medycznych i użyto ich tytułów do zainicjowania tekstu w ChacieGPT. Poproszono doświadczonych recenzentów o wskazanie, które z grupy przeczytanych przez nich tekstów pochodziły z tych pism, a które były wygenerowane sztucznie. Recenzenci zidentyfikowali poprawnie 68 proc. tekstów autorstwa ChatuGPT, ale pomylili się też co do 14 proc. autentycznych artykułów. Podkreślić tu należy, że zadanie recenzentów było ułatwione, bo wiedzieli przecież, że część czytanych przez nich tekstów była mityfikacją. Jak podkreśliła autorka badania, nie jest wcale oczywiste, że recenzenci rozpoznaliby którykolwiek z nich, gdyby dostali go do oceny tradycyjną drogą. Recenzenci sami zresztą przyznali, że artykuły napisane były bardzo wiarygodnie. I tak, na przykład, ChatGPT „wiedział”, że w badaniu nadciśnienia grupa pacjentów powinna obejmować dziesiątki tysięcy osób, ale w przypadku małpiej ospy liczba ta może być dużo mniejsza.

Jeszcze bardziej szczegółową analizę możliwości generowania artykułu naukowego przeprowadziła dwójka badaczy w dziedzinie finansów. Dla uwiarygodnienia rezultatu podzielono budowany tekst na cztery moduły i dla każdego z nich zadawano osobne pytanie do ChatuGPT. I tak, na przykład, część pierwsza tworzona była w odpowiedzi na takie pytanie: „Napisz, używając 100 wyrazów, pomysł na artykuł stosowny dla dobrego pisma w dziedzinie finansów na temat: kryptowaluty, sentyment, niestabilność ekonomiczna”. Sporządzono trzy wersje artykułu. Pierwsza używała wyłącznie wiedzy ChatuGPT, w drugiej autorzy dodali do ChatuGPT 188 artykułów naukowych dotyczących kryptowalut. W wersji trzeciej autorzy korygowali wersję drugą za pomocą kilku powtórzeń, a polegało to głównie na podsuwaniu sugestii udoskonalenia generowanego tekstu. Na koniec 32 fachowych recenzentów dokonało oceny w skali 1-10 naukowej jakości artykułu w losowo wybranej wersji. Wszystkie trzy wersje ze średnimi ocenami 7,05; 6,63 i 7,62 wyraźnie przekroczyły minimum wymagane do publikacji, za które przyjęto wartość 5,5. Zaskakujące jest, jak niewielką różnicę dla jakości artykułu zrobiło zaangażowanie człowieka, a zupełnie szokujące jest to, że dla modułu pierwszego wręcz ją pogorszyły. Albowiem oceny tutaj to: 7,90; 7,32 i 7,80.

Przypomnijmy, jak działa ChatGPT. Otóż tworzy on tekst, dodając słowo po

OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:



POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

słowie do tekstu już zapisanego według prawdopodobieństwa wystąpienia takiej sekwencji w zasobach internetu, które wcześniej przejrzał. Nie ma tu żadnego rozumienia, a w samym algorytmie jest wręcz pewna doza losowości. I to, jak widać, wystarczy do wygenerowania artykułu naukowego czy może „naukowego”. Zdumiewające jest to, że komentatorzy obu opisanych eksperymentów wyrażają podziw dla możliwości ChatuGPT, nie zauważając, że dorównanie standardom przeciętnego artykułu naukowego może wcale nie być tak wielkim osiągnięciem.

Nie zamierzam się pastwić nad naukowcami (sam jestem jednym z nich), bo nie można oczekiwać od przeciętnego fizyka nowej teorii względności ani od przeciętnego filozofa nowej „Krytyki czyścistego rozumu” (na marginesie, ChatGPT nie byłby w stanie żadnej z tych teorii wygenerować ze względu na ich wysoką oryginalność). Bo też publikacje naukowe służą nie tylko rozpowszechnianiu wyników badań autora, ale także – a może przede wszystkim – weryfikacji jego kompetencji. Kiedy ktoś prowadzi na uniwersytecie wykłady z logiki, to chcielibyśmy wiedzieć, że rozu-

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, spadają kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na Wyborcza.pl/Jutronauci

mie ten przedmiot lepiej niż słuchający go studenci. Publikacja artykułu naukowego w tej dziedzinie oznacza potwierdzenie jego wiedzy i umiejętności przez recenzujących go ekspertów. Jak pokazały opisane wyżej eksperymenty z ChatemGPT, nie możemy już na tej metodzie polegać.

Nie mam żadnych wątpliwości, że niektórzy naukowcy będą korzystać z ChatuGTP (lub innych systemów, które wkrótce pojawią się na rynku) do generowania fikcyjnych artykułów naukowych, jak robią to już uczniowie. Pomimo dużego prawdopodobieństwa wpadki wielu naukowców ciągle ryzykuje publikacje plagiatów, a tekst generowany maszynowo jest praktycznie nie do wykrycia. Jedno z narzędzi do odróżniania

inteligencji (np. firmy z Chin) na pewno pracują nad swoimi wersjami takich systemów. I łatwo wyobrazić sobie powody, dla których firmy te nie chciałyby takiego klasyfikatora i utrudniały jego zbudowanie. Po drugie, nawet gdyby taki klasyfikator powstał, to trudno oczekiwać, żeby redaktor pisma naukowego brał na siebie prawne ryzyko odrzucenia artykułu na podstawie jego opinii. Systemy do wykrywania plagiatów identyfikują źródło, z którego podejrzany o plagiat tekst pochodzi, ale ostatecznie to ludzie porównują je i podejmują decyzję. Z czym jednak miałby być porównywany tekst podejrzany o pochodzenie maszynowe?

Na pewno powstaną firmy, które zajmą się dostrajaniem istniejących systemów do pisanie artykułów w konkretnych dziedzinach i będą sprzedawać swoje usługi. Rynek jest ogromny; w samej tylko Polsce jest ponad 80 ty-

Nie trafiłem dotąd na informację o przyłapaniu naukowców na korzystaniu z ChatuGPT. Nie wierzę, że nikt nie próbował

tekstów napisanych przez sztuczną inteligencję od tych pisanych przez człowieka zaprojektowane zostało przez OpenAI, a więc firmę, która powinna wiedzieć, jak to zrobić najlepiej. Tymczasem w opublikowanej 31 stycznia informacji OpenAI pisze wprost, że ich klasyfikator nie jest „w pełni niezawodny”. Spośród tekstów napisanych przez sztuczną inteligencję rozpoznaje jako takie tylko 26 proc. z nich, a spośród tekstów napisanych przez ludzi identyfikuje niepoprawnie (jako „sztuczne”) aż 9 proc. Przy takich wynikach klasyfikator jest po prostu bezwartościowy. Co gorsza, zbudowanie czy wręcz przydatność takiego klasyfikatora wydają się zupełnie iluzoryczne. Po pierwsze, mamy przed sobą zastąpiony przez GPT-4, a temu dodano konkurencję, bo Google udostępnił – na razie w USA i Wielkiej Brytanii – swój system Bard o podobnym działaniu jak ChatGPT. Meta, Amazon i inni wielcy gracze na rynku sztucznej

sięcy pracowników naukowych i prawie 40 tysięcy doktorantów, którzy są nawet bardziej głodni publikacji niż ich starsi koledzy. W skali całego świata są to miliony ludzi i wszyscy oni chętnie wezmą teksty pisane w tym samym języku – po angielsku.

Co robić? W naukach doświadczalnych można żądać danych pozwalających na replikację eksperymentów i tym samym potwierdzenie wyników (dzieje się tak już przy wielu publikacjach w informatyce). Ale niewiele da się zrobić w humanistyce. To może być koniec uniwersytetu, ja-ki znamy.

ChatGPT jest już dostępny od kilku miesięcy, ale nie trafiłem dotąd na żadną informację o przyłapaniu kogokolwiek na publikacji artykułu napisanego przez maszynę. Nie wierzę, że nikt nie próbował. ●

*Jarek Gryz jest profesorem informatyki i filozofii na York University w Toronto

NASZA MATKA BOSKA JEST LEPSZA NIŻ WASZA

Psie kupy na ulicach, w parkach i na skwerach skończą się, kiedy lud też poczuje się tych przestrzeni gospodynią i gospodarzem.

Z **MICHAŁEM RAUSZEREM***, KULTUROZNAWCĄ, AUTOREM KSIĄŻKI O LUDOWYM KLERYKALIZMIE ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Czy inteligent może nie być antyklerykałem?

– Slavoj Žižek napisał, że „tylko heretyk jest czasami prawdziwie wierzący”. Kiedy religia i wiara kostnieją, a kler bardziej interesuje się władzą niż wiernymi, to wtedy działalność heretycka może być odświeżająca i przyczynić się do odnowy.

Uważa pan za uprawniony znak równości między antyklerykalizmem a herezją?

– Nie, ale postawienie tego znaku równości jest dla kleru wygodne, bo może ucinąć wszelką krytykę pod swoim adresem. Antyklerykalizm rzadko ma podłoże ateistyczne czy antyreligijne. Zwykle jest postawą wyrażającą się w niechętnym lub wrogim stosunku do udziału kleru w życiu społecznym i politycznym.

W najnowszej książce zajął się pan analizą ludowego antyklerykalizmu, który – okazuje się – był praktyką powszechną i, nie licząc PRL-u, o charakterze ciągłym.

– Bo jedynie w PRL-u, a ściślej mówiąc od końca lat 70. do początku lat 90., Kościół przestał być strukturą władzy, a stał się obszarem communitas, wspólnoty, w której ludzie czuli się równi. Po transformacji, wiążąc się z polityką i oddziałując na nią, przeniósł się symbolicznie ze sfery communitas do sfery hierarchicznej struktury, która coraz bardziej od tej communitas się oddalała.

Przeniósł się czy wrócił na dawno obrane pozycje?

– Możemy mówić o powrocie do stanu normalnego, czyli do sprawowania władzy. W Rzeczypospolitej oprócz króla i szlachty Kościół był jednym z trzech posiadaczy ziemskich i jako struktura władzy świeckiej domagał się od chłopów pańszczyzny oraz posłuszeństwa.

Nadając im wymiar religijny.

– Używał religii do utrwalania porządku społecznego, indoktrynując chłopą do posłuszeństwa i przekonując, że jego poddaństwo jest związane z nakazem religijnym. W wydany w pierwszej połowie XIX wieku „Katechizm poddanych galicyjskich o prawach i powinnościach ich względem Rządu, Dworu i samych siebie” Konstantego Slotwińskiego powinności pańszczyźniane były łączone z wybranymi cytatami z Biblii. Szarwarki, czyli obowiązek budowy i utrzymaniu dróg przez chłopów, zilustrowano cy-



FOT. EAST NEWS

tatem: „Gotujcie drogę Pańską, czyńcie proste ścieżki jego”. Fragment o poddaństwie rozpoczynał nakaz: „Bądźcie poddani swym panom ze wszelką bojaźnią, nie tylko dobrym i skromnym, ale też i złym”, a ten o pańszczyźnie okraszono cytatem z Księgi Hioba: „Człowiek się rodzi na pracę, a ptak na latanie”. W konsekwencji dochodziło do sprzeczności: nienawiści wobec pańszczyzny i poddaństwa przejawiającej się również niszczeniem i plądrowaniem plebańskich gruntów oraz posłuszeństwa i przywiązania do religii, na straży której stoi ksiądz.

Stoi na straży w sensie ścisłym?

– Tak, bo spowiedź i uczestnictwo w nabożeństwach były obowiązkowe i jeżeli chłop nie wywiązywał się z tych obowiązków, czekała go kara albo fizyczna, albo finansowa plus sankcja społeczna.

Poza tym kler w czasach pańszczyźnianych decydował nawet o tym, z kim chłop mógł się żenić. Pilnował, czy zawierając małżeństwo, poddani nie uciekną do dóbr innego szlachcica albo na ziemię chłopów wykupnych, by nie pomniejszać stanu posiadania dworu. Księża odmawiali zapowiedzi przedślubnych, jeśli planowany związek nie uzyskał aprobaty dworu i plebanii. Bywało i tak, że wskazywali, z kim chłop mógł się ożenić.

W takiej sytuacji antyklerykalne wystąpienia siłą rzeczy nie mogły mieć charakteru jawnego.

– Dlatego chłopci uciekali się do form ukrytych, manifestując swój antyklerykalizm pieśniami, dowcipami i innymi elementami składającymi się na kulturę ludową. Zmagania się ludu z religią i Kościołem miały często charakter karnawałowy, co nie oznacza, że pojawiały się tylko w okresie karnawału. W ujęciu antropologicznym karnawał pełnił funkcję rozładowywania społecznego napięcia związanego z funkcjonowaniem relacji władzy, ale też służył zachowaniu porządku społecznego. Parodystyczne zwyczaje skierowane przeciwko dogmatyce kościelnej pojawiały się w całym roku obrzędowym.

Uciekając do form karnawału, lud piętnował nie tylko rozwiązłość kleru, jego pazerność i hipokryzję, ale też pedofilię. Zdziwiłam się, że podejmował ten temat.

– Ja też, bo byłem przekonany, że rozmowa o pedofilii w Koście-

le to kwestia ostatnich lat. Tym bardziej że przy wyjaśnieniach dotyczących udziału papieża Jana Pawła II w przenoszeniu księży pedofilów z jednej parafii na drugą pojawiły się tłumaczenia, że wtedy pedofilię traktowano inaczej. Okazuje się jednak, że w XIX wieku chłopci znali i piętnowali takie zachowania księży, czego dowodzi pieśń śpiewana na wsiach kaliskich:

„Hej! Ty wielebny bracie! Jesteś nietykalny, bo w orna- cie?/ Cy na to mos leb wygolony. Byś uwodził dzieci, córki, żony?”.

Choć przyznam, że bardziej mnie zszokowała inna pieśń zarejestrowana w XIX wieku, która ewidentnie piętnuje seksualne preferencje księdza: „Organista dzwoni, A ksiądz Kaškę goni. Dogonił ją pod dzwonnica I szukał jej pod spód- nicą. Organista woła, że u Kaški goła. A ksiądz tylko głową kiwa, Lepsza goła niżli siwa”. Trudno nie zgadnąć, w jakim wieku jest osoba płci żeńskiej, o której mowa. To dziecko.

Ja nie zajmowałem się pedofilią w Kościele w XIX wie- ku, ale podejrzewam, że gdyby zrobić kwerendę w archiwa- liach i notatkach etnografów, to sporo moglibyśmy się na ten temat dowiedzieć.

Czy i kiedy karnawalizacja może zmienić się z gry z wła- dzą w postawę tożsamościową?

– Obserwujemy ten proces obecnie, na przykładzie stosun- ku młodych ludzi do kultu Jana Pawła II, który wprowadził Kościół w sojusz z władzą. Patos i wszechobecność Kościo- ła w przestrzeni publicznej lud odreagowywał dowcipem i memem.

Brutalnym i obscenicznym, dodajmy.

– Karnawał jest niski, parodystyczny, brutalny i obscenicz- ny. Jest komunikatem: zaraz, zaraz, nie do końca nam się podoba to, co wy wyprawiacie.

Upolitycznienie karnawałowych zachowań przez Ko- ściół, a więc traktowanie „spuszczania pary” jako zewnętrz- nego groźnego zjawiska, powoduje, że przekształcają się one w wyraźną antyklerykalną postawę.

Podobnie rzecz wyglądała przy okazji młodzieżo- wych subkultur punkowych czy metalowych w latach 80. i 90. XX wieku, kiedy Kościół miał największą władzę, oraz w stosunku do ruchu „czarnych parasolek” i Strajku Kobiet. Kiedy młodzi ludzie z powodu memów o papieżu czy Straj- ku Kobiet zostali potraktowani jako „wyrzutki Kościoła”, za- akceptowali ten status. Zaczęli z Kościoła odchodzić, prze- stał się on dla nich liczyć, a antyklerykalizm stał się ich po- stawą tożsamościową.

Swoją drogą Kościół od zawsze bał się muzyki, bo nie tyl- ko metal i punk były „dziełem szatana”, ale też wywijane w karczmach oberki.

– Klasy wyższe kontrolują warstwę symboliczną, bo w ten sposób kontrolują myślenie i funkcjonowanie. A muzyka jest twórczością oddolną, a więc poza władzą. Jest żywio- łem wolności i anarchii. Pozwalająca zapomnieć na mo- ment o ciężkiej pracy muzyka ludowa zrównywała w ta- necznym szale wszystkich, przede wszystkim pozbawiała władzę na moment kontroli nad ludźmi. Z tego też powodu kler uważał, że łamiąca wszelkie konwenanse muzyka musi być dziełem Lucyfera, a jej twórcy nosicielami zła, którzy „zapisywali swoje dusze na wieczne potępienie po to tylko, żeby przy pomocy szatanów grać jak najlepiej, żeby tylko ich, a nie innych muzykantów, ludzie na granie prosili, na wesela, aby jak najwięcej mogli zarobić”.

Ta krytyka jest próbą kontroli umysłów wiernych, a u jej podstaw leży strach przed wolnością i anarchią kontestują- cą każdą władzę. Po 1989 roku Kościół powrócił do mecha- nizmów kontroli i urzęda ciągle nagonki na prospołeczne działania i akcje, filmy, dzieła, a nawet ludzi, oskarżające ich o bycie „antykatolickimi” i „antypolskimi”.

Postawiłbym znak równości, na co się pewnie wielu obu- rzy, między oddolnym punkiem i metalem a tradycyjną mu- zyką ludową. Bo powstawała poza kontrolą nurtu główne- go, a poza tym jej twórcy udowadniali, że mają swoje poglą- dy i gusty, o co ich nie podejrzewano. Gust kulturowy rów- nież jest uwarunkowany klasowo – czyli muzyka, jakiej słu- chamy, jest wyrazem naszej przynależności do klasy. Klasy wyższe nie rozumiały więc muzyki klas ludowych, a main- stream nie rozumiał undergroundowego punka i meta- lu. Wychowałem się na takiej muzyce, wciąż jej słucham, co przyjmowane jest co najmniej ze zdziwieniem, bo to nie przystoi akademikom.

Proszę też zauważyć, że ani muzyki ludowej, ani punku czy metalu nie trzeba przeżywać rozumem, tylko ciałem. Tekst jest najczęściej o dupie Maryni, w sensie dosłownym, ale muzyka wywołuje cielesny trans.

Ludowa religijność też jest cielesna, oparta na rytuale. Brak w niej teologicznego namysłu.

– Pokutuje przekonanie, że taka religijność jest pośledniej- sza niż praktyki duchowe klas wyższych. To nieprawda.

Dla klas ludowych ciało i dusza stanowią jedność, nie do- konują oświeceniowego, kartezjańskiego rozdziału na cia- ło i umysł. I dlatego wybierają ostentacyjne formy religijno- ści, takie jak pielgrzymki, śpiewy i rytuały. Tradycja i pielę- gnowanie rytuałów miały dla ludu charakter tożsamościo- wy, ale nie tylko.

Udział w praktykach religijnych pozwalał legalnie odp- ocząć od pracy. W klasach ludowych i robotniczych nie od- poczywano, chociażby w obawie przed głodem.

Nie obrobisz pola, nie będziesz miał co jeść. Nie napra- wisz zimą narzędzi, nie będziesz ich mógł używać w lecie.

Kobiety były obciążone pracą podwójnie, bo nie dość, że pracowały w polu czy w fabryce, to jeszcze zajmowały się dziećmi. Ich udział w pielgrzymkach na przykład czy wyj- ście do kościoła były jedynymi momentami, kiedy mogły trochę odpocząć.

Rytuał bez namysłu nie jest oznaką płytkiej religijności?

– Można tak na to spojrzeć z perspektywy klasowej. Wo- łałbym jednak przyjąć, bez orzekania, co jest lepsze, a co gorsze, że rytuał jest oznaką ludowej religijności i ludowej świadomości religijnej. Tak zwane klasy wyższe odnoszą się do tradycji pisanej, myślenie ludowe niemal zawsze odwo- łuje się do praktyki, doświadczenia, otoczenia i kontekstu. Dlatego lud modli się ciałem.

Ale szuka przeżyć mistycznych poza Kościołem. Dlaczego?

– Bo nie rozumiał mszy odprawianej przez księdza w ry- cie rzymskim, czyli po łacinie. Chłopi odbierali ją sensual- nie i modlili się tak, jak potrafili, czyli śpiewali pieśni, różne w zależności od regionu. Spodziewam się, że ich teksty mo- głyby być znakomite, porównywalne formą do amerykań- skiego czarnego gospelu i soulu, ale w Polsce wszystko, co wiejskie, kojarzy się z obciachem i nie znajdzie uznania, na jakie zasługuje.

Gospel to jednak rozmowa z kapłanem, a tu, jak rozu- niem, ksiądz mówił swoje, a lud swoje?

– Tak. I tkwił w tej praktyce tak długo, że w końcu polscy bi- skupi wystąpili w XVI wieku do papieża, by zaakceptował tę formę mszy, co też się stało. I od tego czasu nazywa się ona missa polonica.

Kiedy młodzi ludzie z powodu memów o papieżu czy Strajku Kobiet zostali potraktowani jako „wyrzutki Kościoła”, zaakceptowali ten status. Zaczęli z Kościoła odchodzić

Czy to nie jest idealna metafora polskiego katolicyzmu? Władza kościelna mówi jedno, a lud układa swoje rela- cje z Bogiem po swojemu?

– Bo Bóg nie był tożsamy z Kościołem. Owszem, kościół był przestrzenią sacrum, ale już fakt, że zarządza tym miejscem ksiądz, miał dla ludu drugorzędne znaczenie. Potrzebował przestrzeni sacrum, w której mógł wyrazić swoją religij- ność, w której znajdowały się sakramenty, a nefajny ksiądz to była już kwestia drugorzędna.

Stefan Czarnowski, badacz religijności ludowej, twier- dził, że polski ludowy katolicyzm mocno wiąże się z prze- strzenią. Miejsca, w których dochodziło do lokalnych obja- wień, najczęściej były przestrzeniami granicznymi, nie do końca rozpoznanymi i scharakteryzowanymi – na przykład zagajniki w lesie, strumienie czy obrzeża pól. Nie każdy też mógł ich dostąpić. Najczęściej świadkami objawień by- ły osoby uznawane za psychicznie chore, dzieci i tak zwane dziady proszalne. Dziecko jest bliżej świata metafizycznego, bo dopiero z niego przyszło, a dziad proszalny już do niego się zbliża. I to u tych ostatnich, a nie u kleru, poszukiwano porad w sprawach duchowych.

Ten przestrzenny wymiar miał bardzo interesujący rys, mianowicie wprowadzał konkurencję świętych, na tej zasa- dzie, że nasza lokalna Matka Boska jest lepsza niż wasza.

Ciekawe, że treści objawień w PRL-u nie były krytyczne wobec Kościoła.

– Trudno było w PRL-u krytykować Kościół w obawie, że zostanie się uznanym za człowieka sprzyjającego władzy. Z drugiej strony, przynajmniej do epoki gierkowskiej, Ko- ściół Wyszyńskiego pozostawał dość tradycjonalistycz-

ny, a to właśnie odejście od tradycji było zwykle podstawą, na jakiej antyklerykalizm w objawieniach się kształtował. Szczególnie zjawisko to nasiliło się po obradach II Soboru Watykańskiego, który liberalizował wiele spraw w Kościele. Jedno z takich „posoborowych” objawień z Polski z 1984 ro- ku głosiło: „Niewiasty nie powinny przychodzić na miejsce objawień w spodniach. Powinny używać stosownego ubio- ru, jaki im przysługuje, tj. sukienek”. Ludowy antykleryka- lizm w objawieniach kierował się w stronę modernizacji Kościoła, szczególnie w jego warstwie wizualno-obrzedo- wej. Krytykowano więc odejście od postu w Wielką Sobotę i inne zmiany w liturgii. Walczono także z obniżeniem ran- gi tabernakulum: „Proszę, aby z powrotem w każdej świą- tyni Domek Mój – Tabernakulum był w głównym ołtarzu”, lub ze zbytnim pobażaniem młodzieży: „Kiedy odprawiają Drogę Krzyżową, to rozważana jest męka Pana Jezusa, aby nie było żadnych gitar lub innych instrumentów oraz śpie- wu młodzieży”. Bezpośrednia krytyka hierarchii kościelnej o wyraźnym rysie antyklerykalnym pojawia się jednak do- piero po 1989 roku, a więc po przemianach ustrojowych. Jedno z objawień oławskich zawiera na przykład apel do kardynałów i biskupów: „Przekaż kardynałom i biskupom, aby szli tą drogą, którą Jezus Chrystus, Mój Syn, szedł. Dzi- siaj oni odeszli od wiary Mego Syna. Jezus szedł w sanda- łach [...]. Wasze świątynie będą puste, jeśli kapłani będą sie- dzieć na fotelach, a świeccy dawać Komunię Św. Jeśli kardy- nałowie i biskupi nie upokorzą się, Kościół przejdzie krwa- wy chrzest”.

Kościół nie uznawał objawień. Ani oławskich, ani przed- wojennych.

– Idąc tropem zaproponowanym przez Stefana Czarnow- skiego, trzeba uznać, że objawienia zawierają pewien ele- ment heretycki, a jednocześnie stanowią wyraz ludowej sa- mowoli religijnej, która – jak niemal każda ludowa samo- wola, a już zwłaszcza religijna – zwalczana jest przez insty- tucje władzy.

Dobrym przykładem kształtowania się teologicznej wia- ry poza obiegiem kościelnym są również „Listy z nieba”. To takie łańcuszki szczęścia z mojego dzieciństwa, pełne nakazów, jak dobrze żyć, z zastrzeżeniem, że trzeba je przepisać i rozesłać dalej. Zastanawiałam się, kto i po co je wymyślił.

– Tego nie można ustalić, bo cechą fenomenu kulturowego jest niemożność ustalenia jego autora. Podobnie nie wiemy, kto wymyślił „Listy z nieba”, choć wiemy, że pierwszy zare- jestrowany w Polsce pochodzi z XVI wieku i zapisał go rek- tor szkoły w Kowalu Michał z Krobina. Listy te miały być napisane ręką samego Chrystusa i znajdowane w różnych miejscach na ziemi. Zwykle wszystkie nawoływały do życia moralnego i zgodnego z przykazaniami, pouczały co do za- chowywania się i potwierdzały, że są zesłane z nieba. Bar- dzo często zawierały nakaz ich kopiowania i rozpowszech- niania oraz groźby, że niewykonanie poleceń Chrystusa sprowadzi straszliwe klęski.

Często kolportowali je wędrowni religijni dziadowie.

– I mimo oficjalnego potępienia Kościoła można je było znaleźć w bardzo wielu domach chłopów, rzemieślników i miejskiego proletariatu. Etnograf Józef Kibort, badacz Wi- leńszczyzny XIX wieku, twierdził, że choć wiele osób po- wątpiewało w to, iż rzeczywiście listy te napisał Chrystus, wolalo je na wszelki wypadek mieć.

Pierwsza poreformacyjna schizma w polskim Koście- le nie ma jednak wymiaru religijnego, ale społeczny. Dlaczego?

– Jeżeli już wśród ludu pojawiały się herezje, to przedmio- tem ich kontestacji nie były dogmaty czy inna interpretacja Pisma, lecz kwestie socjalne, dotyczące postaw moralnych albo polityki.

Jednym z takich ruchów schizmatycznych w Kościele by- li mariawici, którzy nie występowali przeciw Kościołowi, ale proponowane przez nich wzorce religijności uderzały w autorytet oraz sposób życia wikarych i proboszczów. Ka- plani i wierni mariawiccy idealizowali średniowieczny mo- del oddania i ascezy. Odprawiali msze po polsku, nie pobie- rali opłat za usługi duszpasterskie, krytykowali „szlachecki” styl życia kleru. Rozdawali posiłki ubogim, otwierali siero- cińce dla dzieci z klasy robotniczej, organizowali spółdziel- nie, także dla bezrobotnych. Na wsiach oprócz spółdzielni i pomocy najuboższym organizowali powszechne naucza- nie czytania i pisania, a także otwierali kluby herbaciane, w których obowiązywał zakaz picia alkoholu. Czyli robili to wszystko, czego nie robił kler.

Papież objął ich ekskomuniką.

– Bo promowali ubóstwo. Mariawici postulowali „skrom- ne”, a Kościół preferował „złote”.

Zaskakujące, że klątwą zostały również obłożone gazety, które nie miały charakteru antyklerykalnego.

– Ale miały charakter emancypacyjny i wolnościowy. Jed- nym z pierwszych działaczy ludowych był ksiądz Stani-

ślaw Stojalowski, który w trakcie swojej nauki w Belgii przesiąkł ideologią katolicyzmu społecznego. Działając w Galicji, organizował pielgrzymki, wiece i zebrania chłopskie. Wydawał czasopisma ludowe – „Wieniec” i „Pszczółkę”. Angażował w działalność chłopów, unikając tym samym sytuacji, by ktoś inny niż lud organizował coś dla ludu. W trakcie kampanii wyborczej do sejmu w 1887 roku wymyślił hasło: „Chłopi, wybierajcie chłopą”. To wszystko, rzecz jasna, nie podobalo się władzom kościelnym, które pozbawiły Stojalowskiego probostwa, zawiesiły w funkcjach kapłańskich, a w końcu biskupi galicyjscy nałożyli w 1895 roku zbiorową klątwę na „burzyciela porządku”. Stojalowski ukorzył się i z czasem przeszedł na stronę endecji.

Anatemą został również obłożony „Przyjaciel Ludu”, pismo, które również nie miało charakteru antyklerykalnego, ale było niezależnym od Kościoła ośrodkiem intelektualnym. Kościół uważał, że uczenie chłopów samodzielnego myślenia sprowadza ich na złą drogę. Czytelników „Przyjaciela Ludu” wytykano z ambony, odmawiano posługi religijnej, stawiano innych chłopów przeciwko nim, aż w końcu w 1897, na znak protestu przeciwko wykorzystywaniu przez księży obrzędów religijnych do celów politycznych, a zwłaszcza do pacyfikowania działalności politycznej chłopów, około piętnastu tysięcy chłopów nie przystąpiło do spowiedzi wielkanocnej. Pod wpływem tego protestu biskup wydał polecenie złagodzenia kar religijnych.

W Królestwie Polskim klątwą została objęta gazeta „Zaranie”, a hasło chłopów „sami sobie” hierarchowie kościoła uważali za antyklerykalne i antypańskie.

Antypańskie, rozumiem, bo niezależność polegająca na przykład na samodzielnym wytwarzaniu ziarna na zasiew uniezależniała chłopów od dworu, który regulował do niego dostęp i tym samym miał nad nimi władzę. Ale dlaczego antyklerykalne?

– Raz jeszcze powtórzę – władze kościelne obawiały się, że samodzielność myślenia i działania chłopów osłabi wpływy polityczne i ekonomiczne kleru. Po stłumieniu rewolucji już w 1908 roku biskupi Królestwa Polskiego zaczęli regularnie wysyłać do parafii okólniki i listy pasterskie, w których potępiano „Zaranie” i jego czytelników. O „Zaraniu” i „zaraniarzach” z ambony wygadywano niestworzone rzeczy. Jak pisał prof. Andrzej Chwalba, łatwiej było dostać rozgrzeszenie za kradzież i pijaństwo niż za czytanie ludowej prasy, a chłopskim czytelnikom tej prasy księża odmawiali sakramentów i wyklinali ich z ambony.

Lata treningu opartego na przemocy sprawiły, że lud wykształcił mechanizm ochrony.

Gnie się przed władzą w karku, a co myśli, to inna sprawa

Skutecznie ich zastraszyli?

– Nie. Choć chłopci oficjalnie rezygnowali z prenumeraty „Zarania”, to jednak nadal je czytali.

Czyli znów oficjalnie zgadzali się z Kościołem, a nieoficjalnie robili swoje. Podobnie jak dziś – oficjalnie chodzą do kościoła, a nieoficjalnie go krytykują. Jak to możliwe, że wciąż ma miejsce taka niekonsekwencja?

– Publicysta Jakub Bojko wywodził uległą postawę wobec Kościoła z „duszy niewolniczej”, czyli pańszczyźnianej mentalności, która mimo uwłaszczenia przetrwała w nich. Opisał nawet, w jaki sposób ta „dusza” działa. Otóż w gromadzie chłop jest odważny i podejmie się krytyki pana, urzędnika czy księdza. Ale brakuje mu cywilnej odwagi, by powiedzieć im, co myśli, prosto w oczy, choć wtedy „niejedna sprawa inna by obrót wzięła”. I pisze dalej Bojko: „Ale cóż, kiedy ty – luboś taki zuch i wolny, niezależny gospodarz – nie możesz się zdożyć na odwagę, bo ci nie daje dusza niewolnicza, pańszczyźniana...! Zobaczywszy nawet policjanta, nawet kościelnego... języka w gębę zapominasz [...]. A cóż dopiero, gdy wstępujesz do jakiegoś wyższego urzędnika świeckiego czy duchownego! [...] Gniesz się w pas, jak niewolnik jaki”.

Zastanawiam się, jak ma się „dusza niewolnicza” do homo sovieticus. Sądzi pan, że to jest druga strona tego samego medalu? A może należy już do przeszłości?

– To jest wciąż ta sama i aktualna opowieść o części naszego społeczeństwa. Lata treningu opartego na przemocy spowodowały, że lud wykształcił w sobie mechanizm ochrony. Gnie się przed władzą w karku, a co myśli, to inna sprawa. Wciąż ma dwie dusze – niewolną i taką, którą pokazuje w środowisku prywatnym i w rodzinie. Wiele miejsca w publicystyce i opisywaniu ludu w Polsce poświęca się na pokazywanie, że jest bezwolny, bezmyślny i bierny. A przecież to konsekwencja, że jak się już buntował, to musiał to robić w ukryciu albo oficjalnie udając pokorność wobec pana, a w nocy go okradając. Jeżeli ktoś się zastanawia, dlaczego tak było, to odpowiedź jest

prosta: bo buntowanie się w Polsce i na ziemiach polskich przez wieki było działalnością samobójczą. W czasach pańszczyźnianych pan mógł chłopą bezkarnie zabić.

A później?

– Z czasów późniejszych pamiętam jedno wspomnienie chłopą z lat 30. XX wieku. Opowiadał, jak pracowali w polu u dziedzica i przyjeżdżała dziedziczka, która lżyła chłopów najgorszymi określeniami. Chłop ten wspominał, że w pewnym momencie zobaczył błysk nienawiści w oku innego chłopą. Gdyby chciał, złamałby jej kark bez wysiłku, w końcu lata ciężkiej pracy robią swoje, ale powstrzymał się, bo pomyślał zaraz, że to by oznaczało głód i być może śmierć dla jego rodziny, której jest żywicielem. W PRL to też strajkujący robotnicy ponosili dużo większe koszty niż opozycyjni intelektualiści, z całym szacunkiem dla tych drugich. Po prostu latami lud był uczony zginać ten kark w obawie o życie swoje i swoich bliskich.

Ale z drugiej strony, kiedy zabiera głos w swojej sprawie i na swoich warunkach, to zdaniem tak zwanego mainstreamu robi to nie tak, jak trzeba. Przecież o strajkujących w latach 90. XX wieku przeciw katastrofalnym reformom Balcerowicza chłopach pisano jako o homo sovieticus. Homo sovieticus miał być bierny, leniwy, zdany tylko na łaskę państwa opiekuńczego, więc kiedy ci „bierni” chłopci protestowali, opisywano ich protesty jako (sic!) „rozpaczliwą obronę prawa do bierności”. I to jest dosłowny cytat. Jeżeli lud, a więc zdecydowana większość naszego społeczeństwa, przez lata był w ten sposób opisywany, to trudno się dziwić, że procesy demokratyzacji, poczucia obywatelskości są takie, jakie są, a większość przestrzeni publicznej jest upstrzona psimi kupami, zdemolowanymi ławkami i tym podobnie.

To również można wyjaśnić chłopskim mentalem, tak?

– Skoro lud nie miał kiedy wykształcić w sobie poczucia, że przestrzeń należy również do niego, to jak ma o nią dbać? W czasach pańszczyźnianych ziemia należała do pana, w PRL-u tak samo, z tą różnicą, że panowie się zmienili. Trudno oczekiwać, że lu-

dzie będą dbać o wspólne dobro, skoro ono nigdy dla nich wspólne nie było. Rozumienie wspólnego dobra wiąże się z budowanym latami poczuciem obywatelskości. Lud angielski czy lud niemiecki latami walczył o obywatelskość, dobra wspólne, ale mógł to robić w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Więc co pozostaje?

– Uważam, że trzeba rozpocząć dyskusję o dziedzictwie przeszłości: o tym, jak u nas się układają stosunki pracy, jak się układają stosunki szefowa i pracownica, urzędnik i petent, pan i lud. To jest niebawale, że zwykli ludzie, niemający najczęściej żadnego przygotowania historycznego, do dzisiaj na określenie stosunków pracy używają określenia „pańszczyzna”. Nie wzięli tego przecież z książki Adama Leszczyńskiego, ale przez lata tak nauczyl się o nich mówić. Warstwy wyższe i ci, którzy są aktualnie u władzy, traktują lud albo paternalistycznie, albo z pogardą. Bez poważnej i dobrej edukacji, bez przepracowania tych kwestii pracy, pańszczyzny, relacji władzy nie będziemy mieli w Polsce dobrej demokracji. Psie kupy na wspólnych ulicach, w parkach i na skwerach skończą się, kiedy lud też poczuje się tych przestrzeni gospodynią i gospodarzem. ●



FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

* Michał Rauszer

• kulturoznawca, dr hab., wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Autor m.in. książki: „Bękarty pańszczyzny. Historia buntów chłopskich” i „Siła podporządkowanych”. Współautor podcastu „Wszyscy jesteśmy ze wsi”. Mieszka w Łodzi. W tym tygodniu ukazała się jego książka „Ludowy antyklerykalizm. Nieopowiedziana historia” (ZNAK)

Mądra i zabawna. Przeczytajcie tę książkę, zanim kupicie ziemię za miastem.

FILIP SPRINGER

MARCIN WÓJCIK
GĘSIEGO
Z miasta na wieś

GĘSIEGO

Z miasta na wieś

Kupiłem dom między Bugiem a Narwią, na skraju puszczy, na Kurpiach Białych. W komplecie obora, stodoła, ziemianka, sad, pięć hektarów ziemi w jednym kawałku i stado myszy zdziwionych, że ktoś tu się pojawił. Przez rok nie miałem odwagi powiedzieć rodzicom, że wróciłem do chłopskich korzeni.

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

Wydawnictwo Agóra

Na euro patrz!

Oprocentowanie polskiego długu to 6 proc., Chorwacji, która przyjęła euro – 3,9 proc., a biedniejszej Bułgarii, która powiązała walutę z euro – 4,5 proc.

Gadomski

Polska, wchodząc do Unii, zobowiązała się przyjąć europejską walutę. A badania pokazują, że od 2004 do 2009 r. poparcie Polaków dla niej rosło. W 2004 r. 41 proc. odpowiedziało, że wprowadzenie euro będzie miało pozytywne skutki, 44 proc. było zdania przeciwnego. W 2006 nastroje się zmieniły – 52 proc. Polaków miało pozytywny stosunek do euro, 33 proc. negatywny. W 2010 poparcie dla euro spadło, co wiązało się z kryzysem w Grecji i kilku innych krajach i opinią ekonomistów, że wśród głównych przyczyn jest wspólna waluta.

Premier Tusk we wrześniu 2008 r. zapowiadał szybkie przyjęcie w Polsce euro, ale po wybuchu światowego kryzysu rząd PO-PSL do sprawy nie wracał. Za to PiS nie tylko opowiada się przeciwko euro, ale prowadzi też propagandę mającą zniechęcić doń Polaków. Posługuje się przy tym argumentami, które pojawiają się także w dyskusjach ekonomistów w wielu krajach.

Prof. Dariusz Rosati, ekonomista i poseł KO, w książce „Euro. Mity i fakty” ocenia te argumenty.

Teza: Euro to projekt polityczny, a nie ekonomiczny, i dlatego skazane jest na porażkę

To argument ekonomistów amerykańskich, zarówno zwolenników wolnego rynku (Milton Friedman, Anna Schwartz), jak i lewicowców (Joseph Stiglitz). Według nich wprowadzenie wspólnej waluty miało na celu przyspieszenie politycznej integracji Unii.

Rosati nie neguje faktu, że utworzenie Europejskiej Unii Walutowej było decyzją polityczną. Kraje, które weszły do Unii, zgodziły się zrezygnować z suwerennej waluty. Euro przyspieszyło integrację europejską. Ale kluczowe znaczenie miały argumenty ekonomiczne. Unia walutowa nie powstałaby, gdyby analizy nie wykazały, że wspólna waluta przyczyni się do wzmocnienia gospodarki europejskiej.

Teza: Strefa euro nie jest optymalnym obszarem walutowym

Teorię optymalnych obszarów walutowych rozwijał kanadyjski ekonomista i noblista Robert Mundell. Optymalny obszar walutowy to taki, który jest wewnętrznie na tyle strukturalnie jednolity, że opłaca się posługiwać na nim wspólną walutą lub walutami powiązanymi ze sobą sztywnym kursem. Korzyścią jest eliminacja ryzyka kursowego i kosztów transakcyjnych.

Wielu ekonomistów uważa, że Unia nie jest takim obszarem, bo – inaczej niż w USA – niewielkie są przepływy siły roboczej między krajami (a zatem występują znaczne różnice w poziomie bezrobocia), różne są przepisy podatkowe, a budżet centralny Unii to zaledwie 1 proc. unijnego PKB – za mało, by wyrównywać deficyty fiskalne w poszczególnych krajach.

Rosati częściowo zgadza się z tym. Uważa jednak, że na podstawie teorii Mundella nie da się precyzyjnie określić, czy dany obszar jest, czy nie jest optymalny dla wspólnej waluty.

Po kryzysie 2010 Unia przeprowadziła wiele reform, które eliminują mankamenty wynikające z „nieoptymalności” obszaru walutowego. Zaostrzono procedury monitorowania polityki fi-

skalnej poszczególnych krajów i automatycznego jej korygowania. Strefa euro stworzyła też system antykryzysowy w postaci Europejskiego Mechanizmu Stabilności, który dysponuje funduszami 500 mld euro dla wsparcia krajów zagrożonych kryzysem.

Teza: Euro jest walutą niestabilną i podatną na wstrząsy

Dowodem na tę tezę był kryzys w Grecji, a także w kilku innych krajach (Portugali, Hiszpanii, Irlandii, na Cyprze). Rosati podkreśla, że kryzysy wynikały z lekkomyślnej polityki budżetowej tych krajów, która doprowadziła do nadmiernego zadłużenia. Z kolei kryzys w Irlandii i w Hiszpanii spowodowany był lekkomyślną polityką kredytową i słabym nadzorem bankowym.

Mankamenty te częściowo usunięto. Rozpoczęto tworzenie Unii Bankowej, powstał Europejski Urząd Nadzoru Bankowego. Kurs euro w stosunku do innych głównych walut światowych jest w długim okresie stabilny, stopy procentowe niższe niż w Ameryce, a inflacja pozostaje na podobnym poziomie.

Teza: Euro odbiera suwerenność

To argument środowiska PiS-u czy szerzej – nacjonalistycznej prawicy. Rosati zauważa, że alternatywa suwerenność albo euro jest fałszywa. Polska, jeśli wejdzie do strefy euro, nie wyzbędzie się prawa do odwrócenia tej sytuacji.

Gdy suweren bił monety ze złota lub srebra, przywilej ten dawał mu wymierne zyski. Zmuszając poddanych do posługiwania się jego monetami, władca zarabiał na różnicy między nominalną wartością pieniądza a wartością realną, wynikającą z wartości kruszcu. Dlatego Jean Bodin, XVI-wieczny teoretyk państwa, na którego opinie powołują się dziś przeciwnicy euro, uważał, że jednym z atrybutów suwerenności jest własna waluta. Dziś ten argument wynika głównie z ideologii.

Teza: Złoty pozwolił nam uniknąć recesji w kryzysie lat 2008-09

To teza powtarzana nie tylko przez polityków PiS-u, ale także przez apolitycznych ekonomistów, jak Stefan Kawalec i Ernest Pytlarczyk, którzy w książce „Paradoks euro. Jak wyjść z pułapki wspólnej waluty?” pisali, że kraje południa Europy, które przeszły przez ciężką recesję, mogłyby odzyskać konkurencyjność dzięki dewaluacji suwerennych walut. Ponieważ jednak są w strefie euro, odzyskanie przez nie konkurencyjności byłoby możliwe tylko poprzez znaczne obniżenie wynagrodzeń.

Sytuację w tych krajach przeciwstawili sytuacji w Polsce, gdzie złoty stracił na wartości między sierpniem 2008 a marcem 2009 r. o mnie więcej 30 proc., a wynagrodzenia nie spadły.

Rosati stwierdza, że deprecjacja złotego nie była decydującym czynnikiem,

który pozwolił nam uniknąć recesji, a przeciwnie – była czynnikiem zwiększającym ryzyko makroekonomiczne. Spadek kursu złotego sprawił, że import stał się znacznie droższy, co pogorszyło sytuację wielu przedsiębiorstw. Deprecjacja wpłynęła też na podmioty zadłużone w walutach obcych – na gospodarstwa domowe (kredyty hipoteczne!) i na przedsiębiorstwa. Wiele firm znalazło się na progu bankructwa.

Według Rosatego gospodarka uniknęła recesji przede wszystkim dzięki znacznemu wzrostowi konsumpcji, który był finansowany przez transfery fiskalne. Paradoksalnie zawdzięczaliśmy to działaniom rządu Jarosława Kaczyńskiego, w którym ministrem finansów była Zyta Gilowska.

Przeforsowała ona obniżenie składki rentowej oraz likwidację górnej stawki podatku PIT. Zamiast trzech stawek: 19 proc., 30 proc. i 40 proc., wprowadzono dwie: 18 proc. i 32 proc. W efekcie w latach 2008-09 gospodarstwa domowe zasilono zastrzykiem w wysokości 2,2 proc. PKB. Podobny efekt miały podwyżki minimalnych wynagrodzeń i emerytur.

Rosati zauważa, że decyzje Gilowskiej i Kaczyńskiego nie wynikały ze świadomej polityki antyrecesyjnej, bo gdy były podejmowane, nikt nie przewidywał wybuchu światowego kryzysu. Efektem tych posunięć był znaczny wzrost deficytu budżetowego, z którym rząd Tuska zmagał się przez kilka lat.

Teza: Euro wywoła wzrost cen oraz spadek realnych wynagrodzeń i emerytur

To jeden z najbardziej popularnych mitów. W 2019 r. aż 69 proc. Polaków obawiało się wzrostu cen po wejściu do strefy euro. Dane europejskiego urzędu statystycznego, Eurostatu, nie potwierdzają tych obaw.

Profesor pisał książkę, zanim niemal wszędzie wybuchła wysoka inflacja. W lutym średnia inflacja w strefie euro wyniosła 8,5 proc., a w Polsce przeszło dwa razy więcej. Inflację w Polsce podnosi nieprzejrzysta polityka NBP i kabotyńskie wypowiedzi jego prezesa.

Rosati obala też tezę o negatywnym wpływie wspólnej waluty na wynagrodzenia i emerytury. Wynagrodzenia zależą od wydajności pracy, która rośnie i rosnąć będzie także po wejściu do strefy euro. Wynagrodzenia polskich pracowników są niższe niż średnio w Unii, gdyż niższa jest wydajność pracy. Nie ma znaczenia, czy są to wynagrodzenia w złotych, czy w euro. Ważna jest ich siła nabywcza, która nie spadnie.

Teza: Z euro korzystają Niemcy

Ta teza pojawia się nie tylko w Polsce, ale też w innych biedniejszych krajach Unii, np. w Grecji. Rosati zauważa, że z kolei wielu Niemców jest zdania, że to

oni dopłacają do takich krajów jak Grecja czy Włochy.

W latach 90. społeczeństwo niemieckie było sceptyczne wobec wspólnej waluty i kanclerz Helmut Kohl, godząc się na nią, szedł pod prąd. Niemcy obawiali się, że będą musieli finansować długi krajów Południa mających nieuporządkowane finanse publiczne.

Poparcie dla wspólnej waluty wzrosło, gdy okazało się, że obawy były przesadne, ale do dziś są wpływowi ekonomiści, np. prof. Hans-Werner Sinn, którzy uważają, że euro zaszkodziło niemieckiej gospodarce.

Rosati podważa tezę, że Niemcy mają dominujący wpływ na politykę Europejskiego Banku Centralnego. Decyzje podejmowane są kolegiąlnie przez Radę Prezesów, składającą się z zarządu EBC oraz prezesów banków centralnych państw strefy euro. W zarządzie jest jedna osoba z Niemiec, a zatem w 26-osobowej Radzie ten największy kraj Unii ma dwóch przedstawicieli: Isabel Schnabel i Joachima Nagela, prezesa Bundesbanku. A na czele EBC nigdy nie stał Niemiec.

Teza: Możemy przyjąć euro, gdy osiągniemy poziom Niemiec

Rosati polemizuje z tą tezą: korzyści z uczestnictwa w unii walutowej zależą od stopnia integracji handlowej między krajami, podobieństwa ich struktur gospodarczych, elastyczności płac i mobilności siły roboczej. Dodatkową korzyścią jest rozkład ryzyka oraz spadek stóp procentowych. A więc można udowodnić tezę przeciwną: kraj na niższym poziomie osiąga większe korzyści z unii walutowej niż kraj bogatszy.

Najbardziej oczywistym efektem wejścia do strefy euro byłoby obniżenie stóp procentowych. Dziś oprocentowanie polskiego długu publicznego wynosi 6 proc., a Chorwacji, która jest na podobnym poziomie rozwoju, ale przyjęła euro – 3,9 proc., biedniejszej zaś od Polski Bułgarii, której waluta jest sztywno powiązana z euro – 4,5 proc.

Teza: Nie potrzebujemy euro, bo rozwijamy się szybciej niż strefa euro

Rosati wyjaśnia, że na tempo wzrostu wpływa wiele czynników, które ekonomiści dobrze zbadali. Wśród nich nie ma waluty. Generalnie kraje biedniejsze rosną szybciej, o ile ich rządy prowadzą rozsądną politykę ekonomiczną. To tzw. kraje doganiające, które korzystają z importu technologii, know-how, poprawiają struktury zarządzania w firmach, sięgając po wzorce krajów wyżej rozwiniętych.

Na koniec Rosati stawia fundamentalne pytanie – czy Polsce opłaca się euro. Pokazuje korzyści: eliminacja kosztów wymiany walut, obniżenie oprocentowania długów, spadek kosztów finansowania banków, spadek ryzyka kryzysu walutowego, większa przejrzystość cen, która sprzyja konkurencyjności. Porównuje je z kosztami: spadek dochodów odsetkowych banków i z wymiany walut, jednorazowy koszt zamiany polskiej waluty na europejską.

Wniosek jest oczywisty – Polska powinna wejść do strefy euro. Im szybciej, tym lepiej. ●

Witold Gadomski

Cały tekst: Wyborcza.pl/magazyn



Dariusz K. Rosati, „Euro. Mity i fakty”, PWE, Warszawa 2022

NASZAEUROPA

Marine Le Pen dla „Wyborczej”:

WIELE ŁĄCZY NAS Z PIS-em

W 2027 r. ma zamiar zostać prezydentką Francji. Co uczyni ze zdobytą władzą? Dziś mówi: „Nie jestem pro-rosyjska, jestem profrancuska”. „Diabolizowanie partii takich jak moja nikomu nie służy”. „Ukraina leży w naturalnej strefie wpływów Rosji”.

Marta Kiełczewska-Konopka, Paryż

Isondaży wynika, że gdyby wybory prezydenckie odbyły się dziś, wygrałaby je pani, zdobywając 55 proc. głosów. Jak tłumaczy pani ten dobry wynik? – W kampanii przedstawiliśmy poważny projekt. Przewidzieliśmy problemy, które wystąpiły w minionym roku. Szanujemy instytucje państwowe. To wszystko procentuje. Ale do tego Emmanuel Macron nie dotrzymał obietnicy zmiany swojego sposobu rządzenia. Do Francuzów dotarło, że prezydent się nie zmienia. Gorzej: że będzie ich jeszcze bardziej pomijał niż w pierwszej kadencji. Nie będzie ponownie startował w wyborach, zatem może robić, co chce. Na przykład forsować reformę emerytalną.

Jakie byłoby pani stanowisko jako prezydent w sprawie wojny w Ukrainie?

– Kiedy zostaną wybrana, będę się kierować wyłącznie interesem mojego kraju. Francja ma do odegrania w świecie rolę siły równoważącej potęgę mocarstw: Rosji, Chin czy USA. Kiedy naród taki jak Rosja atakuje inny, narusza jego suwerenność, nie może być mowy o zachowaniu dystansu – to wymaga zajęcia stanowiska. I to zrobiliśmy. Od początku powtarzamy, że Rosja popełnia wielki błąd, atakując Ukrainę i łamiąc jej suwerenność.

Ale świat nie jest taki, jak byśmy chcieli. I musimy to brać pod uwagę. I dlatego zrobiłabym, co w mojej mocy, aby Francja stała się czynnikiem w pokojowym rozwiązaniu tego konfliktu. Nie widzę innego wyjścia.

Jeśli Rosja wygra wojnę, będzie to katastrofalne w skutkach, gdyż wysłę sygnał, że konflikty terytorialne między państwami można rozstrzygać zbrojnie. Wtedy i Chiny mogłyby się pokusić o takie rozwiązanie. Gdy zaś wygra Ukraina, będzie to oznaczało, że NATO jest w stanie wojny. Jestem bowiem przekonana, że Ukraina bez siły NATO nie może wygrać wojny z Rosją. A to oznacza, że rozpoczniemy III wojnę światową.

Jeśli nadal, jak do tej pory, będziemy dostarczać sukcesywnie broń Ukrainie, czeka nas nowa wojna stuletnia. Ze względu na straty ludzkie byłaby to straszna tragedia.

Mam wrażenie, że dla niektórych ten konflikt jest abstrakcyjny, jakby to była gra wideo. Tymczasem giną setki tysięcy ludzi. To prawdziwa rzeź. Niedołóżenie wszelkich starań do znalezienia pokojowego rozwiązania tego konfliktu jest nieodpowiedzialne.

Macron przez wiele miesięcy starał się dążyć do pokoju, w czym go wspierałam. Problem w tym, że w pewnym momencie zlecił to zadanie Unii Europejskiej, przekreślając skuteczność francuskiej dyploma-

cji. Dzisiaj to takie kraje jak Chiny, Turcja czy Izrael, w sposób dyskretny i dzięki temu być może skuteczny, pracują nad znalezieniem rozwiązania kończącego tę wojnę.

Czyli Francja nie powinna pani zdaniem kontynuować dostaw broni do Ukrainy?

– Powinniśmy nadal dostarczać Ukrainie broń defensywną, ale nie ofensywną.

Co więcej, dostawy broni osłabiają naszą własną zdolność do obrony i możliwość utrzymania kompletnego formatu armii francuskiej, który stanowi wyjątek w Europie. Przekazaliśmy Kijowowi nawet sprzęt, który już wcześniej sprzedaliśmy komu innemu!

Podtrzymuję negatywne stanowisko w sprawie sankcji, przynoszących poważniejsze konsekwencje dla Francuzów niż dla Rosjan. Zatem: tak dla sankcji, ale nie dla sankcji energetycznych. Idea prowadzenia wojny energetycznej, gdy się nie posiada surowców, jest głupia.

Obrona Ukrainy nie leży w interesie Francji?

– Za jaką cenę? W tym tkwi sedno pytania. Bronić Ukrainy, wysyłając młodych Francuzów na front? Przekazując broń ofensywną, która przekształci to w wojnę światową? To nie leży w interesie Francji. Natomiast pomoc Ukrainie w obronie jej suwerenności i ludności cywilnej – tak.

Sprzeciw wobec dostaw broni ofensywnej nie oznacza życzenia Rosji zwycięstwa? Ukraińcy bronią się dzięki własnemu heroizmowi, ale też pomocy wojskowej Zachodu, bez której dawno by przegrali.

– Ze słownika dzisiejszej dyplomacji europejskiej zniknęło słowo „pokój”. Tymczasem niewiele konfliktów pomiędzy państwami zakończyło się na polu walki.

Nikt nie mówi o wysyłaniu francuskich wojsk na front.

– Dzisiaj nie. Ale jutro?

Bez możliwości ofensywnych Ukrainy jakiegokolwiek negocjacje pokojowe de facto ratyfikowałyby rosyjskie zdobycze terytorialne. Nie byłoby to równoznaczne ze zwycięstwem Rosji?

– Sens negocjacji polega na szukaniu rozwiązania akceptowalnego dla obu stron. Rosjanie muszą z czegoś zrezygnować.

Choć nie zawsze jest w swoich wypowiedziach konsekwentny, sam prezydent Zelenski stwierdził, że jedynym rozwiązaniem konfliktu jest droga dyplomatyczna.

Według pani Rosja powinna oddać zatem część zajętego terytorium?

– Najpierw trzeba znać plany Kijowa, wiedzieć, co jego zdaniem nie podlega negocjacji. A także stanowisko drugiej strony.

W ostatnich miesiącach jednak słyszę od rządu jedynie: „musimy wygrać tę wojnę”. Nie kwestionuję odwagi, woli walki narodu ukraińskiego. Ale to niestety nie wystarcza.

Co konkretnie należałoby zrobić, aby położyć kres tej wojnie?

– Francja powinna zorganizować międzynarodową konferencję pokojową z udziałem państw zaangażowanych w konflikt, z wszystkimi sąsiadami Ukrainy. Nie twierdzę, że to automatycznie przyniosłoby rezultaty. Ale pojawiłaby się na nowo nadzieja.

W grudniu 2021 w wywiadzie, którego udzieliła pani polskiej gazecie „Rzeczpospolita”, uznała pani Ukrainę za rosyjską strefę wpływów. Czy podtrzymuje pani ten pogląd?

– Historycznie rzecz biorąc, Ukraina ze względu na swoje położenie była uznawana za rosyjską strefę wpływów. Do tej pory było to geopolityczną oczywistością. Podobnie jak uznanie Meksyku za strefę wpływów amerykańskich. Ale to nie oznacza, że Rosjanie mają prawo wejść zbrojnie do Ukrainy i anektować jej terytorium.

Co to w takim razie znaczy?

– Historycznie i geograficznie Ukraina składała się z części zorientowanej raczej na Rosję i tej wychylonej ku Zachodowi. Kraj ten stał się teatrem walki o wpływy między tymi dwiema potęgami.

Bycie w „rosyjskiej strefie wpływów” obejmuje także zakaz przystąpienia do NATO?

– Jeśli Ukraina chce przystąpić do NATO, nikt nie może się temu sprzeciwić.

Macron zadeklarował 7 kwietnia, że „najgorszym byłoby myślenie, że w kwestii Tajwanu powinniśmy dostosować się do amerykańskiego rytmu i do chińskiej przesady”.

– Zgoda. Tyle że Macron z jednej strony deklaruje, że Francja musi mieć niezależną politykę, a z drugiej podporządkowuje się europejskiej agendzie dyplomatycznej, pozostającej pod wpływem USA.

Gdyby pojechał do Chin sam, jego przekaz byłby jasny. Ale zabrał ze sobą szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen, która nie reprezentuje nikogo. Które narody w Europie przekazały pani von der Leyen prerogatywy w kwestii mówienia w ich imieniu?

Macron mówił o trzecim – europejskim – mocarstwie.

– Nie wierzę w ten koncept. Macron od lat sprzedaje nam ideę obrony europejskiej, która nie istnieje, i europejskiej suwerenności, która nie jest realna. By mówić o suwerenności, musi bowiem być naród – a narodu europejskiego nie ma. Nie sądzę więc, by Unia była dziś w stanie występować jako odrębny głos na scenie geopolitycznej.

Więc uważa pani, że Francja powinna sama próbować znaleźć trzeci głos?

– Narody muszą zachować własną dyplomację, która wynika także z ich historii. Bez tego słabną. Głos wyrażony ustami pani von der Leyen nie reprezentuje jedno-myślności narodów europejskich i dlatego jest jedynie demonstracją słabości.

■
Jeśli Rosja wygra, będzie katastrofa. Jeśli Ukraina – III wojna światowa. Jeśli nadal, jak do tej pory, będziemy dostarczać broń ofensywną Ukrainie, czeka nas nowa wojna stuletnia

Francja nadal może prowadzić politykę niezależną od wielkich mocarstw?

– Tak, wierzę, że Francja ma potencjał odnalezienia własnego głosu w świecie.

I będzie go miała wobec Chin?

– A dlaczego nie? Przypomnę, że Francja to także mocarstwo jądrowe. W UE tylko ona ma ten status. To daje nam możliwość przebicia się z naszym przekazem. Pod warunkiem jednak, że mielibyśmy coś do powiedzenia, jak niegdyś de Gaulle.

Tajwańczycy czują się opuszczeni przez Francję po ostatniej wizycie Macrona w Chinach.

– Macron przypomniał tylko nasze oficjalne stanowisko. Nie mamy ambasady na Tajwanie, nie uznajemy jego suwerenności.

Skrajnie prawicowi przywódcy, jak np. Giorgia Meloni we Włoszech, dochodzą do władzy, mając stanowisko proeuropejskie, pronatowskie.

– Ja pozostaję eurosceptyczną i każdy dzień mnie tylko w tym umacnia. Nie jestem jednak sceptyczna w stosunku do Europy, ale wobec jej politycznej organizacji. Giorgia Meloni jest zwolenniczką NATO, bo jest Włoszką. Francja jest niezależna na poziomie międzynarodowym.

Jak ocenia pani jej rządy?

– Meloni była diabolizowana, tymczasem sprawuje normalną władzę. Znamy to z własnego doświadczenia. Przed wygranymi wyborami do samorządów we Francji też zapowiadano apokalipsę. Gdy dojdziemy do władzy, ludzie zobaczą, że prowadzimy zdroworozsądkową politykę.

Projekt stworzenia w Parlamencie Europejskim jednej frakcji z połączenia waszego ugrupowania Tożsamość i Demokracja oraz Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (ECR), którym przewodniczy Meloni, jest nadal aktualny?

– Mam taką nadzieję. Zgadza się w takich kwestiach jak obrona suwerenności narodowej czy drastyczne ograniczenie migracji. Są też oczywiście różnice, ale warto je przezwyciężyć, bo taka frakcja miałaby szanse stać się największym ugrupowaniem w PE.

Jakie są różnice między pani partią a skrajnie prawicowymi partiami w UE?

– Ja szukam raczej punktów wspólnych. Nie klonów, tylko sojuszników. Uważam, że każdy kraj ma prawo wybrać swój własny model. Zasadnicze dla nas kwestie to: obrona interesów narodowych, odmowa stworzenia czegoś w rodzaju europejskiego superpaństwa, ograniczenie imigracji, uregulowanie globalizacji i nadanie Unii uczciwych zasad handlowych.

Różnice między partią u władzy PiS a panią uwidoczniły się wraz z rosyjską inwazją na Ukrainę. Polska zajmuje stanowisko mocno proukraińskie, dąży do wzmocnienia amerykańskiej obecności w Europie, podczas gdy pani sympatie są raczej prorosyjskie.

– Nie zgadzam się z tym twierdzeniem. W binarnym świecie, który pani opisuje, można być albo atlantystą, albo rusofilem. Tymczasem Francja nie jest ani jednym, ani drugim. I zależy mi na tym, by nie podlegała ani USA, ani Rosji.

NASZA EUROPA



Marine Le Pen w citroenie 2CV.
Liderka Rassemblement National, obecnie trzeciej siły
politycznej w parlamencie, konsekwentnie proponuje
Francuzom powrót do przeszłości FOT. AFP/EAST NEWS

Czy widzi pani zatem możliwość dalszej współpracy z PiS?

– Istnieje wspólny grunt: życzenie, żeby Unia Europejska nie działała poprzez szantaż i groźby, tak jak to robi w stosunku do Polski. I czego nie zmieniła nawet po tym, jak Polska przyjęła do siebie 1,5 mln uchodźców ukraińskich. W UE rządzą ideolodzy, którzy do końca będą narzucać nam swój dyktat.

Łączy nas pragnienie ochrony naszych tożsamości narodowych, odmowa narzucanych wbrew woli naszych narodów standardów, zwłaszcza społecznych, czy obgórnego obowiązku rozmieszczenia u siebie migrantów.

Jak ocenia pani plan walki z nielegalną imigracją na kanale La Manche, ogłoszony podczas wizyty brytyjskiego premiera w Paryżu? Czy Francja powinna przyjmować z powrotem imigrantów, którzy dotarli na Wyspy?

– Zarówno Wielka Brytania, jak i Francja chcą zapobiegać przedostawianiu się na swoje terytorium nielegalnych imigrantów. Tak się składa, że część z nich znajduje się na naszym terytorium w drodze do Wielkiej Brytanii. Musimy mieć dwustronną umowę na ten temat, by wspólnie odsyłać nielegalnych imigrantów do ich kraju pochodzenia.

Nie chcę też, żeby kanał La Manche stał się cmentarzem. Stąd pomysł, aby Brytyjcy pomagali na terenie Francji w rozwiązaniu problemu nielegalnych imigrantów.

Problem w tym, że Francja jest najbardziej atrakcyjnym dla nich krajem w Europie ze względu na hojny system socjalny.

Ale imigracja przestała być waszym priorytetem. Czy uważa pani, że wygrała tę bitwę ideologiczną, skoro wszystkie inne partie niejako przejęły ten temat?

– To poniekąd prawda. Odnieśliśmy zwycięstwo ideologiczne w temacie imigracji. Dziś nawet Partia Komunistyczna jest zdania, że granice są potrzebne. 85 proc. Francuzów uważa, że żyjemy z anarchiczną, nieuregulowaną imigracją.

Nie wystarczy jednak zgodzić się co do sedna, trzeba znaleźć rozwiązania. Winne jest prawo europejskie i międzynarodowe, którego przepisy stosowane są bezpośrednio we francuskim prawie wewnętrznym, co ogranicza naszą zdolność do poradzenia sobie z tą kwestią. To dlatego w kampanii proponowałam referendum, by konstytucyjnie zmienić prawa cudzoziemców, zaznaczając, że teksty międzynarodowe,

które są sprzeczne z naszą konstytucją, nie mają zastosowania w prawie krajowym.

Dla mnie referendum musi stać się integralną częścią funkcjonowania francuskiej demokracji. Chcę organizować co najmniej jedno duże referendum w roku, m.in. na tematy społeczne, jak np. eutanazja. Chcę dzięki temu dać sobie możliwość prowadzenia skutecznej polityki migracyjnej.

Jeśli nie możemy podporządkować świadczeń socjalnych określonej liczbie kryteriów, zarezerwować zasiłków rodzinnym dla Francuzów, znieść prawa ziemi (ius soli) w przyznawaniu obywatelstwa, to Francja nadal będzie przyciągać do siebie rzesze imigrantów.

Ja jestem za odstraszcającą polityką w tej kwestii. Nie ograniczam się tylko do odsyłania do kraju pochodzenia. Ja mówię: „nie przyjeżdżaj, bo po pierwsze, by zostać przyjętym, musisz spełnić surowe warunki, a po drugie, jeśli przyjedziesz, nie licz na opiekę państwa francuskiego”.

Chciałabym też, żeby wnioski o azyl były rozpatrywane poza terytorium kraju, w każdej naszej ambasadzie czy konsulacie na świecie. I żeby dopiero po jego uzyskaniu można było przyjechać do Francji. Bo azyl stał się dziś tak naprawdę kanałem nielegalnej imigracji.

Czy pani rola szefowej partii w parlamencie to wstęp do kampanii 2027?

– Jestem naturalną kandydatką mojej rodziny politycznej. Kandydowałam trzykrotnie, za czwartym razem się uda.

Wprowadzenie do parlamentu 89 posłów było tym, czego nam brakowało. Francuzi mogą wreszcie wyobrazić sobie nas u rządów. I widzą, jak pracujemy. Zapowiadało, że jesteśmy niekompetentni. A Francuzi w parlamencie zobaczyli ludzi inteligentnych, pracowitych i porządnie ubranych.

W ciągu kilku lat przeszliśmy drogę od najbardziej nienawidzonej do najbardziej docenianej partii w kraju. Dziś chce na nas głosować 55 proc. Francuzów. To nie tylko moja zasługa. Ale w sondażu Ifop jestem drugą najbardziej cenioną postacią polityczną we Francji. Nie oznacza to, że zmniejszyła się niechęć do nas systemu politycznego i mediów. Ale każdy, kto chce coś zmienić, budzi opór.

W parlamencie jesteście odosobnieni. Inne partie nie chcą z wami głosować.

– To prawda, ale partia rządząca, która dysponuje dziś większością względną, uzyskała w wyborach parlamentarnych 26 proc. głosów. Czy na moje Zjednoczenie Naro-

dowe może zagłosować tyle Francuzów? Bez wątpienia.

Znalazłaby się pani wówczas w takiej samej sytuacji jak Macron dziś: bez większości absolutnej w parlamencie, z opozycją, która panią odrzuca.

– Nikt nie ma pożytku z takiego sekciarskiego stanowiska. Z czasem stanie się oczywiste, że odmowa współpracy nikomu nie służy. Poza tym wcale nie jest powiedziane, że nie mielibyśmy większości absolutnej! Ale jeśli się to nie uda, będziemy pracować, negocjować, szukać, co pozwoliłoby na przekonanie większości i uchwalenie tekstu.

A tego rząd w przypadku reformy emerytur nie zrobił. Chciał kupić głosy Republikańców. Ale jak się dyskutuje, to nie z ludźmi, którzy uzyskali 4,5 proc. głosów w wyborach prezydenckich. Trzeba dyskutować z tymi, którzy zdobyli prawie połowę głosów.

Rada Konstytucyjna wypowiedziała się pozytywnie na temat kontestowanej reformy emerytur. Czy to koniec kryzysu?

– Ale tylko do 2027 r.! Rada Konstytucyjna pilnuje jedynie przestrzegania procedur.

Popiera pani protesty? Wielu uważa, że reforma jest niezbędna i że Macron ma rację, nie poddając się naciskom.

– Rozumiem, dlaczego Francuzi wyrażają sprzeciw na ulicach, ale nie akceptuję przemocy. I rząd ponosi odpowiedzialność za powstały chaos: przegrał walkę o porządek publiczny. Pozwolono skrajnie lewicowym grupom rozwijać się, umiędzynarodować, podczas gdy wiadomo, że to one są odpowiedzialne za przemoc. Ale dopuszczamy do tego, gdyż kolejne rządy uznają, że to dobry sposób na zdyskredytowanie ruchu społecznego. Ofiarą tej polityki jest policja. A ja nie mogę patrzeć, jak szczuje się jednych Francuzów przeciwko drugim. Pewne techniki policyjne wymagają rewizji.

Co was odróżnia od skrajnej prawicy?

– Nie jesteśmy skrajną prawicą. To tradycja polityczna z takimi ideologicznymi wyznacznikami, jak antyparlamentaryzm (my opowiadamy się za przyznaniem parlamentowi większych uprawnień), zwalczanie pluralizmu (my chcemy, aby wszystkie nurty były reprezentowane w Zgromadzeniu poprzez wybory proporcjonalne) czy użycie przemocy (nigdy do niej nie wzywaliśmy).

Są jeszcze dwa inne wyznaczniki: antysemityzm...

– Nie będziemy wracać do przeszłości Frontu Narodowego i mojego ojca. Zawsze i w każdych okolicznościach wyrażam poparcie dla naszych żydowskich rodaków.

I rasizm.

– Zarzuca mi pani rasizm? Przecież wygrałam wybory we wszystkich francuskich terytoriach zamorskich! A najlepszy wynik uzyskałam na Majotcie, gdzie nasi rodacy są nie tylko czarni, ale też są wyznawcami islamu.

Ani jedna linijka naszego programu nie odnosi się do koloru skóry, do pochodzenia czy do religii. Bronimy Francuzów, niezależnie od tego, skąd pochodzą. Chcemy, by mieli dodatkowe czy szczególne prawa w porównaniu z osobami, które nie posiadają francuskiego obywatelstwa.

To nie ksenofobia?

– Ksenofobia oznacza nienawiść do obco-krajowców. A ja sądzę tylko, że ze względu na sytuację gospodarczą i budżetową Francji musimy zarezerwować część środków dla własnych obywateli. Można się z tym nie zgadzać, ale to nie rasizm. Priorytet narodowy nie oznacza wykluczenia innych.

Na przykład w kwestii dostępu do mieszkań socjalnych oznacza to, że pierwszeństwo musi mieć Francuz.

Co w takim razie z ksenofobicznym dziedzictwem Jeana-Marie Le Pena?

– Niczego się nie wypieram. Uważam za honorowe nieselekcjonowanie bardziej czy mniej chwalebnych elementów, ale przyjęcie całości. Popelniono błędy. Musimy naprawić, co było złe.

Dzięki temu można się rozwijać. Na przykład w kwestii euro zmieniliśmy swoje stanowisko, gdyż posłuchaliśmy Francuzów, którzy nie chcą wycofania się ze wspólnej waluty.

Szanowany przywódca związkowy Laurent Berger ostrzega przed ryzykiem dojścia do władzy skrajnej prawicy.

– To duża niesprawiedliwość, gdyż pojęcie skrajnej prawicy jest przewrotne. Obejmuje wszystkich, od mojej partii poprzez terrorystę Breivika z Norwegii po szaleńców w USA, którzy strzelają do wiernych w synagogach. Do jednego wora wrzuca się Trumpa, Bolsonaro i Meloni.

Chodzi o to, by napiętnować nasz ruch.

Jak więc nazwać Zjednoczenie Narodowe? Prawicową partią populistyczną?

– Nacjonalizm to pojęcie pejoratywne, odkąd François Mitterrand uznał, że patriotyzm to miłość do swojego kraju, a nacjonalizm to nienawiść do innych. To nieprawda. W centrum naszego projektu jest naród, ze swoją tożsamością, granicami, prawem do bezpieczeństwa, możliwością decydowania o swoim handlu, wolnością posiadania niezależnej dyplomacji. Nowy podział przebiega dziś między globalistami a narodowcami. Ale my nie walczymy z globalizacją, bronimy tylko regulacji handlu.

Cztery lata do wyborów to długo...

– Przed nami wybory europejskie w 2024 r. To nasz odpowiednik amerykańskich mid-terms, który zapewne przyniesie dotkliwą porażkę Macrona.

Jak ocenia pani konwencje obywatelskie, jak np. ta dotycząca eutanazji?

– To pomysły antyparlamentarne. Służą ominięciu Zgromadzenia Narodowego, a co za tym idzie – narodu. Drogą losowania wybrano 180 osób, siłą rzeczy nie reprezentują one 67 mln Francuzów. ●

W rozmowie uczestniczyli także paryscy korespondenci gazet należących wraz z „Wyborczą” do LENA: Martina Meister („Die Welt”), Anais Ginori („La Repubblica”), Joëlle Meskens („Le Soir”), Marc Bassets („El Pais”), Alain Rebetez („La Tribune de Genève”).

Młodzi ludzie mają ogromną
potrzebę bycia wysłuchanym.
Tylko bez oceniania

Z BRAKU MIŁOŚCI PODPALIMY ŚWIAT

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCIA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK

Z **DAWIDEM KARPIUKIEM**,
AUTOREM KSIĄŻKI „DZIECI AKI”,
DZIENNIKARZEM, MUZYKIEM,
ROZMAWIA **ALEKSANDRA SZYŁŁO**



Jakbym miała opowiedzieć komuś w jedynym zdaniu, to napisałabym „Dzieci z dworca ZOO”, tylko współcześnie i o Warszawie. Pewnie dlatego to jest dla mnie jeszcze bardziej przejmujące, bo dzieje się na ulicach, którymi codziennie chodzę, i teraz. Opowiedz, jak poznałeś swoich bohaterów. I jak sprawiłeś, że tak się przed tobą otworzyli.

– Em, jedna z głównych bohaterek, pracowała jako barmanka w knajpie w centrum Warszawy. Dość często bywała pod wpływem, nie tylko alkoholu. Mówiła, że ma dwadzieścia jeden lat, ale okazało się, że tak naprawdę niecałe osiemnaście, a dowód osobisty był fałszywy. W zwykłe rozmowy typu „Co słychać”, wrzucała teksty w rodzaju: „A jak byłam w psychiatryku, to...”. Miała specyficzne poczucie humoru, które mają ludzie z chronicznym dołem. To był 2020 rok. Napisałem wcześniej do „Newsweeka” kilka tekstów o młodziźnie, o problemach z edukacją, psychiatrią dziecięcą, te tematy więc we mnie były. W końcu zebrałem się: „Słuchaj, może byśmy porozmawiali, może wyszedłby z tego kawałek książki”. Zainteresowała się. Em sama o sobie mówiła: „jestem atencjuszką”, trochę z dystansem, ale trochę faktycznie taka była. Jak zaczęła mówić, to nie kończyła. Nie dlatego, że miała obsesję na swoim punkcie, tylko dlatego, że potrzebowała pogadać, opowiedzieć o sobie. Ludzie, zwłaszcza nieszczęśliwi, mają potrzebę bycia wysłuchanym.

Z Em rozmawialiśmy przez dwa lata. Z przerwami na jej pobyty w szpitalu psychiatrycznym i okresy, kiedy czuła się na tyle źle, że nie miała siły się spotykać.

Innych bohaterów zacząłem szukać na grupach facebookowych dla osób z problemami. Pisałem wprost do admina, że jestem dziennikarzem, chciałbym zamieścić takie a takie ogłoszenie i za trzy dni się wycofam. Żeby nie było podejrzeń, że wykradam czyjeś historie czy kogoś naciągam na opowiadanie, podczas gdy on nie wie, kim jestem. W odpowiedzi na moje ogłoszenie posypały się wiadomości, to było kilkadziesiąt osób. Powtarzam: w młodych jest ogromna potrzeba opowiedzenia o sobie. Potem prowadzili mnie też do swoich kolegów, kolegów kolegów.

Otwieranie bohaterów wcale nie było więc takie trudne, choć poruszaliśmy się po tematach krańcowych. Większa trudność była we mnie, często dopytywałem kilka razy: „Na pewno chcesz, żeby to zdarzenie, to zdanie było w książce?”, „Na pewno mam tak właśnie napisać?”. Czułem się jakoś odpowiedzialny za to, żeby nie poczuł się skrzywdzony czy wykorzystany, kiedy książka wyjdzie.

Zu, jedna z bohaterek, zadzwoniła przy mnie do swojej matki i zapytała, czy jak miała sześć lat to ojciec naprawdę ją molestował, czy ona ma coś z pamięcią. „Albo to sobie przypomniałam, albo wymyśliłam”.

Inną bohaterkę wiozłem do szpitala. Bo ona zadzwoniła po pomoc do znajomego, a ten znajomy do mnie.

Jesteś od swoich „dzieciaków” niemal o pokolenie starszy. Nie miałeś pokusy czy potrzeby, żeby wejść w rolę ratownika?

– Nie. Zdarzyło się, że raz czy drugi coś komuś pomogłem w jakiejś konkretnej sprawie czy na przykład podpowiedziałem, gdzie na terapię. Poza tą historią z dowodem Em, moi bohaterowie są osobami pełnoletnimi, choć bardzo młodymi. Myślę, że byłoby to dla nich upokarzające, gdybym próbował przejąć za nich odpowiedzialność. Zaufali mi, żebym ich wysłuchał, taka była nasza

umowa. Poza tym co miałbym zrobić? Szukać ich rodziców, którzy właśnie przecież zawalili sprawę? Donieść na policję, że posiadają narkotyki? Oni dopuścili mnie do swojego świata na własnych zasadach. Bardziej jako kumpla. Mogłem więc słuchać, mówić: „zwolnij”, „idź na terapię”. I niewiele więcej.

To są nieprawdopodobnie silne osoby. Trzeba mieć niewyobrażalne zasoby, żeby znieść to, co oni znieśli, albo dalej znoszą. Nigdy nie poznałem osób silniejszych niż Em, czy Zu.

To, co mnie najbardziej poruszyło w opowieściach twoich bohaterów, to dojmująca potrzeba bycia kochanym. Bezwarunkowo. Na zawsze. Szalenie. Em: „Chciałabym kogoś poznać, kto weźmie tę moją chorobliwą miłość, kto mnie obdaruje własną chorobliwą miłością, i będziemy już tak na zawsze. Żeby mnie ktoś kochał tak bardzo, żeby potrafił dla mnie zabić. Ja chyba tak właśnie kocham. I będę mu robić kolacyjki, i będę z nim piła wino, i będziemy się trzymać za ręce, i będziemy zasypiać przytuleni, i będziemy sobie powtarzać, że wszystko będzie dobrze i już nigdy nie będziemy tak okropnie cierpieć, i nikt nikogo nigdy nie opuści. I będziemy sobie tak zwyczajnie żyć...”

– Oni wszyscy o tym mówili, ale Em najbardziej. Pamiętam, że jak to mówiła, miałem takie poczucie, że gdzieś te słowa już słyszałem. Potem dotarło do mnie, że to jest niemal to samo, co w słynnym monologu z „Łaknąć” Sarah Kane.

Em nie mogła znać jej tekstów, ale to marzenie, o takiej miłości, to jest typowe marzenie zaburzeńców. W pewnym sensie bliskie mi, choć ja mam pewne rzeczy jakoś tam przepracowane. Ale może dlatego właśnie rozumieliśmy się. Pewnie każdy człowiek ma potrzebę bycia kochanym, ale oni są gotowi za tę miłość podpalić świat.

Ostrość, celność, a czasem cięty humor, z jakim ta młodzież opisuje świat rodziców, ich partnerów, aż wbija w fotel.

– Bo ci młodzi ludzie są bardzo inteligentni. Myślę też, że liczba trudnych sytuacji,

z którymi musieli się zmierzyć, wymusiła w szczególny sposób rozwój uważnego patrzenia, analizowania.

Mamy pełen wachlarz nieudanych rodzicielskich typów: matka kumpela wiecznie z kieliszkiem i na Tinderze; ojciec bogaty i nieobecny, sypiący kasą, oby tylko syn nic nie chciał; zapadnięty w siebie ojciec emerytowany policjant z browarem przed telewizorem; rodzice rozliczający z wyników: „Co dostałaś? Czwórkę? A dlaczego nie piątkę? A szóstki były?”. Historie tych młodych ludzi to jak akt oskarżenia wobec ich rodziców.

– Ci rodzice są z różnych światów, ale łączą ich wiele: są niedojrzali, nieszczęśliwi, często sami byli ofiarami przemocy, dziecku nie dają ani swojej obecności, ani bezwarunkowej miłości.

Niektóre matki, choć im zazwyczaj nie wychodzi, jeszcze czasem jakoś się starają; jakąś relację próbują nawiązać. Natomiast w świecie tych dzieciaków nie ma ani jednego dojrzałego mężczyzny!

– Ten świat jest zasiedlony przez karykatury patriarchalnych typów idealnych: facetów – niedoszłych królów dżungli i kompletnie znieczulone lekami kobiety. Oni mieli zdobywać świat, one miały być do zdobycia. Oni są przerażeni, bo żadnego świata nie zdobyli, choć od przedszkola szykowano ich do tej roli: będziesz strażakiem, komandosem, gwiazdorem, biznesmenem. Zwycięzcą. One są poobijane, bo co poradzić, kiedy role zaproponowane przez patriarchat – bycie posłuszną dziewczynką, bycie seksowną dupeczką, bycie matką – się wyczerpały. To miały być ich przepustki do dobrego życia, bo w tym świecie do wszystkiego trzeba mieć przepustkę, zgodę, a tu przychodzi wiek średni i koniec. Basia, starsza koleżanka mojej bohaterki, po trzydziestce. Idzie odebrać dziecko z przedszkola naćpana i na lekach, pod przedszkolem traci przytomność. Udają, że ma covid i dlatego źle się poczuła, żeby nie odebrano jej dziecka.

Moje bohaterki, wchodzące w dorosłość kobiety, to najczęściej ofiary przemocy. „Cze-

go można się spodziewać po heteroseksualnym facecie? Nie za wiele” – mówią. Karykaturalny obraz facetów, jaki przedstawiają, to pogarda ofiary, ich jedyna broń. Tala mówi: „Mężczyzna często jest agresywny dlatego, że ja nie wyglądam tak, jak on chciałby, żeby wyglądała, żeby on chciał mnie wyruchać”. One widzą wokół siebie „starych gości po czterdziestce”, sformatowanych przez Pornhuba, z „niestającą krewetką w gaciach”. Taki przekaz dostają też od swoich matek, bo te, zagubione, przy winie, zwierają się córkom z niepowodzeń na randkach i w łóżku.

Niechby „Dzieciaki” były lekturą obowiązkową dla mężczyzn w średnim wieku.

– Ale co oni mieliby teraz z tym zrobić? Są już tak sformatowani. Masz rolę do odegrania i tak długo, jak się w niej wyrabiasz, jest spoko. Twój kontakt z emocjami jest bliiski zeru, bo to nie jest twoja rola, to nie jesteś ty, ale jakoś tam dajesz radę. Ale w końcu się przestajesz wyrabiać, albo dochodzisz do wniosku, że przez parędziesiąt lat żyłeś życiem, którego wcale nie chciałeś żyć. A jak masz problem z dzieckiem, to wysyłasz je na terapię z przekazem: zepsuło się, proszę nam je naprawić.

Ja nie mówię, jaka jest prawda „tego pokolenia”. To historie grupy młodych, których poznałem. Proszę mnie nie pytać „czym się charakteryzuje dzisiejsza młodzież”, bo nie prowadzę badań socjologicznych. Dla mnie to jest historia ludzi walczących o siebie. Podziwiam, że dają radę toczyć tę walkę. Z mojej strony to nie jest akcja społeczna, nie mam gotowych rozwiązań. Chociaż pewne myśli się nasuwają. Same banały: zaczniemy płacić nauczycielom godne pieniądze, przeszkolimy ich z rozmawiania z uczniami o tym, co u nich słychać, co jest dla nich

– No. „To jest twoja jedyna, realna wartość, dziewczynko”. A może nie jedyna, ale naczelna. Na koniec i tak mało kto jest dostatecznie piękny, fajny. A nawet jeśli, to to jest może i zwycięstwo, ale tylko na jakiś czas.

Opisana przez ciebie młodzież nie ma stabilnych, stałych relacji. Jacyś „bliscy” pojawiają się w ich życiu i odchodzą. Stałą są natomiast używki: mefedron, kupowane na lewo leki psychiatryczne, wszystko to podlane alkoholem. Zaopatrują się w te arsenały na naszych oczach, w samym centrum stolicy, zazwyczaj na telefon, przez internet. Aż się chce krzyknąć: gdzie jest policja? Służby o tym nie wiedzą?

– Wiedzą, ale nie da się tego wyeliminować. Nikomu na świecie się nie udało. Warszawa, jak inne miasta na świecie, wieczorem jest pijana, często naćpana. Nie mam żadnej odpowiedzi na pytanie o narkotyki, bo narkotyki i alkohol spustoszyły życie wielu ludzi i ich rodzin. Ale używki to jest często koszmar w skutkach, ale jednak próba porażenia sobie z głębszymi problemami.

Najprostsze i jednocześnie super głupie rozwiązanie to ziobrystowski okrzyk: więcej policji, surowsze kary. Co z tego, że policja będzie ganiać ludzi, czy to spowoduje, że koszmary osób takich, jak bohaterowie „Dzieciaków” znikną? Sam rozmawiałem z policjantami, którzy mówili: musimy łapać gówniarzy na posiadaniu, ale sami nie wiemy po co. Niczego to nie rozwiązuje, po prostu robi tym dzieciakom dodatkowy problem.

Jeden z policjantów powiedział ci, że heroina wraca do Warszawy.

– Tak, podobno tak jest. Pytanie, dlaczego? Może po prostu ludziom jest tak zajebiście

Wyprośmy ze szkół katechetów, a w ich miejsce zatrudnimy terapeutów

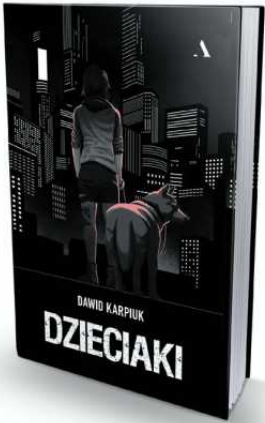
ważne, jakie mają problemy. Zainwestujemy ile się da w psychoterapię i psychiatrię dla dzieci i młodzieży. Wyprośmy ze szkół katechetów, a w ich miejsce zatrudnimy terapeutów. Przebudujemy program. Jeśli przyjrzymy się historii i polskiemu, to zobaczysz, że ich istnienie ma jeden cel: utrzymanie kodu kulturowego, który zawiera się w zroście Polak – katolik. Wszystko inne jest na drugim planie. Polak – katolik istnieje po to, żeby wypełniać różne powinności – wobec Kościoła, wobec kraju, symboli. Jak on ma być szczęśliwy? Jak ma się chcieć czegoś o sobie dowiedzieć, jakoś ze sobą pogodzić.

Zobacz, jaka była awantura o „obronę pamięci Jana Pawła II”. Czy ktoś się awanturuje o stan psychiatrii dziecięcej? Albo o to, że jeśli nie masz kasy, to twoje dziecko jest skazane na słabszą edukację i opiekę zdrowotną? Żyjemy w kulturze, która porzuca obywateli i ich realne życia, za to inwestuje w symbole. To tak, jakbyś głodnemu powiedział: sorry nie nakarmię cię, ale za to opowiem ci historijkę, w której dodatkowo przedstawię sam siebie w zajebytym świetle. Za twój hajs.

Dzieciaki mogą w ogóle liczyć na jakąś pomoc? Działają jakieś instytucje?

– Wiem, że świetnie działają niektóre Monary. To przykład. Generalnie jednak, jeśli chodzi o szkoły, szpitale, poradnie, to zdarza się tak, że jest w nich jakiś nauczyciel czy ktoś inny w porządku, kto z sobie znanych powodów robi „coś więcej”. Wyjątkowa osoba w niedziałającym systemie.

Twoim bohaterkom wydaje się, że ich problemy jakoś by się ułożyły, gdyby tylko były ładniejsze.



JUŻ W SPRZEDAŻY

EKOUMIAR

Jak być bliżej siebie i natury?

NATALIE PORTMAN

Zawsze byłam ambitna

CAMILLA PARKER BOWLES

Kim jest nowa królowa Anglii

PSYCHOLOGIA

Jak dobrze się rozstać?

PRZYRODA

Powinniśmy więcej ściemniać



wysokieobcasy
extru

CO MNIE URZEKŁO

Ptaki nie potrzebują karty rowerowej

Geny nieustraszonych żeglarzy i kupców widać w sposobie, w jaki Holendrzy jeżdżą na rowerach. Na twardym przełożeniu, nie bacząc na wmordewind, z włosiem rozwianym, twarzą czerwoną, koszulą rozpiętą.

TEKST I FOT. BORYS ALEKSY*

Na dworcu w Rotterdamie wysiedliśmy o poranku. Czekając na przyjazd Basa, rozglądaliśmy się po obcym świecie. Wszystko było zdumiewające. Budyneczki jak klocki Lego, fasady z drobnutkięj cegły. Równe i czyste chodniki, a wzdłuż nich drogi rowerowe z czerwonej kostki. Kobieta za kierownicą miejskiego autobusu. Auta nowe i umyte. Ludzie na rowerach. Czulem się jak we śnie, jak to często bywa po nocnej podróży – nagły przeskok sprawia, że wszystko zdaje się nierealne, budzisz się w innym kraju jak w innej galaktyce. To zresztą wcale nie przesadzone porównanie – do opisu różnic między Polską i Holandią w 1993 r. skala kosmiczna była jak najbardziej adekwatna.

Bas, energiczny emeryt o wyglądzie marynarza, zabrał nas białym mitsubishi ga-

lantem do miasteczka 's-Gravendeel. Ta podróż, w odróżnieniu od nocnej, była króciutka, tam przecież wszędzie jest tak blisko. To, co widziałem przez okna auta, nie przestawało mnie zdumiewać – autostrada, port, a najbardziej przejazd w tunelu pod kanałem, którym przepływał właśnie morski statek. Dziwić się w Holandii miałem jeszcze w ciągu następnych dni wielokrotnie.

Na miejscu przywitała nas cała rodzina de Zeeuw. Zaraz potem szybki obchód po ich malutkim domku przy Smidsweg, w którym mieliśmy spędzić następne dwa tygodnie tych zaskakujących wakacji (wciąż trudno było uwierzyć, że Bas i jego żona Jopie, poznani rok wcześniej na czzechosłowackim kempingu, zorganizowali całej mojej rodzinie tak długi pobyt u siebie). Tam też nie brakowało niespodzianek. Weźmy choćby te strome i wąskie schodki prowadzące na piętro – czy ktoś widział kiedykolwiek coś takiego?

Jeanette, córka Basa, pokazała mi fietsen stojące w szopce. Dodała, że oczywiście mogą z nich korzystać, gdy zechcę.

Zechciałem od razu. Wsiadłem i ruszyłem przed siebie, nie mówiąc nawet nikomu, że wyjeżdżam – nie wiem, co mi do głowy strzeliło. Może zachęciło mnie to, że Jeanette uznała za oczywiste, że mogę chcieć gdzieś sam pojechać, co dobitnie wskazywało, że w jej oczach nie jestem już dzieckiem (dopiero wiele lat potem zrozumiałem, że to nie miało żadnego związku z do-

rosłością – w Holandii to oczywiste, że dzieci jeżdżą same po ulicach, o 13-latkach nie wspominając). Chwilę później sunąłem już ulicami 's-Gravendeel, podążając za układem czerwonych dróg rowerowych, w których istnienie nie mogłem wciąż uwierzyć. Sen trwał dalej.

Mijałem te schludne domeczki z oknami bez firanek, przemierzałem zaskakującą urodą, jednocześnie tak podobne do siebie uliczki. Jechałem wśród innych rowerzystów, dumny, że – choć mam dopiero 13 lat i jestem po raz pierwszy za tą prawdziwą zachodnią granicą – tak dobrze sobie radzę. Czulem totalną obcość tego miejsca, ale podążałem przed siebie z ufnością, a gładki czerwony bruk pod kołami prowadził mnie przez skrzyżowania, chronił przed autami i dawał poczucie, że właśnie tu jest moje miejsce, że jestem mile widziany i mogę jechać, gdzie tylko chcę. To było przeciwieństwo tego, co znałem z naszych ulic, alternatywny świat, który znacznie bardziej mi się podobał. Więcej niż tylko efektywna infrastruktura drogowa: symbol tych wszystkich zmian, których nadejście jako dorastający dzieciak z dorastającego kraju zaczynałem chyba podskórnie wyczuwać.

W napawaniu się wolnością zatraciłem się do tego stopnia, że aż pogubiłem drogę, i zanim ekspedycja poszukiwawcza w osobie Jeanette odnalazła mnie po kilku godzinach, najadłem się trochę strachu i wstydu.

W ten sposób właśnie zapoznałem się z Holandią: jako dzieciak zagubiony na ro-

werze w obcym, ale pociągającym świecie, który mnie tym rowerem olśnił od pierwszego wejrzenia. Od tego czasu Holandia już zawsze kojarzyła mi się z wolnością, zmianą i tym, co nowe i ekscytujące.

Myślałem o tym wszystkim, gdy 30 lat później stałem na parkingu na obrzeżach Lejdy, zakładałem sakwy na rower i zastanawiałem się, w którą stronę wyruszyć.

Gdy spojrzysz się na mapę, można dojść do wniosku, że Lejda i sąsiednie miasta stanowią zachodnie peryferia kraju. W rzeczywistości to sam środek Zielonego Serca (Groene Hart), czyli rolniczego obszaru otoczonego Randstat, pierścieniem najważniejszych miast. Według wielu Holendrów to właśnie tam jest prawdziwa Holandia, a „wszystko na wschód od Utrechtu to już zachodnie Niemcy”. Byłem więc w samym centrum holenderskości, a stąd wszystkie kierunki wydawały się równie dobre. Wszędzie płasko, wszędzie blisko cywilizacji, wszystko na wyciągnięcie ręki, bo nie może być inaczej w kraju tych rozmiarów. I wszędzie coś ciekawego. Pojedziesz na zachód – zaraz wydmy i Morze Północne. Na wschód – Utrecht. Na północny wschód – Amsterdam. Południe – Haga i Rotterdam.

Od czego zacząć? Postanowiłem, że zdecyduje wielki holenderski żywioł. Pośliniłem palec, wystawiłem nad głowę – wiało



wzdłuż linii brzegowej, w stronę stolicy. Ruszylem więc do Amsterdamu.

Nie trzeba poszukiwać charakterystycznej niderlandzkiej atmosfery – ona panuje wszędzie, a zwłaszcza w Groene Hart. Gdy tylko ruszysz z miejsca, od razu jesteś wśród rowerzystów, czapli, gęsi, krów, owiec, polderów, kanałów, tulipanów i przydrożnych topoli, z których drewna kiedyś robiło się te ich słynne drewniaki. Jak z widokówki. Intensywność tych obrazów wciąga cię natychmiast jak nurt rzeki – i nie pozostaje nic innego, jak płynąć.

Wspaniale zaczęła się ta podróż – w ciszy. Wiatr popychał, opony leciutko toczyły się po gładkiej nawierzchni, nic nie zakłócało bezwysiłkowego pedalowania przez sie-lankowy krajobraz. Tylko garmin czasem popiskiwał, gdy przeoczyłem jakiś skręt, ale nic sobie z tego nie robiłem, bo wiedziałem, że zaraz odnajdę właściwy kurs, wystarczy skorygować na następnym skrzyżowaniu, tak gęsta i przewidywalna jest sieć tych dróg. A jeśli nawet się zgubię, to w gubieniu się w Holandii mam wprawę od dziecka.

Tak sobie płynąłem, dryfując jednak świadomie w stronę morza, bo chciałem znów stanąć na szerokiej plaży, zobaczyć oceaniczne statki na redzie, a przede wszystkim zjeść śledzia, którego smak pamiętałem (czy też wydawało mi się, że pamiętam) sprzed lat. Zresztą wizytę w tym kraju wręcz wypada zacząć od wybrzeża. Holandia powstała na skutek nieustannych zmagani – i współpracy – ludzi z morzem. Często można usłyszeć coś w stylu: „Bóg stworzył świat, a Holendrzy stworzyli Holandię”. W domyśle – wydzierając ją morzu.

Zarówno jako żeglarze podbijający świat, jak i rolnicy chroniący swych upraw czy mieszczanie budujący tamy i miasta na palach Holendrzy jawią się jako ludzie nieustraszeni. Nieobawiający się ryzyka, pogody, wysiłku. Miałem wrażenie, że widzę te geny nawet w sposobie, w jaki jeżdżą mijający mnie na rowerach mężczyźni, kobiety i dzieci – na twardym przełożeniu, nie bacząc na wiatr wiejący w twarz, z włosiem rozwianym, twarzą czerwoną, koszulą rozpiętą.

W tym, jak sobie organizują życie, też jest dużo odwagi i rozmachu. Nie patyczkują się, nie szukają półśrodków. Jeśli budują tamy, to w skali nieznaney innym narodom. Jeśli uznają, że warto inwestować w komunikację rowerową, to sięgają po rozwiązania, których nikt inny na świecie nie ośmieliłby się zastosować. Jeśli swoboda obywatelska i prawa mniejszości – to w pełni, do końca, bez dywagowania, czy się na tym straci kilka procent poparcia. Jeśli śledzie, to na surowo i w całości.

I lubią być na powietrzu. Na parking rowerowy przy plaży zjeżdżali się – było jeszcze przed sezonem wakacyjnym – poważnie emeryci. Szczupli, opaleni, wysportowani, jakby od lat codziennie byli na jakiejś wycieczce. Po drodze widziałem też innych, wędrujących pieszo, konno, na rolkach. Przypomniało mi się, że Bas w ogóle nie przejmował się pogodą – zawsze była dobra, by wyjść na zewnątrz.

Mogłem jechać dalej wzdłuż ciągnącego się po horyzont szerokiego pasa wydm, ale woląłem odbić z powrotem w głąb lądu, żeby dalej oglądać ludzi i ich domy. I znów było jak we śnie, i to niemal dosłownie, bo łatwość, z jaką pokonywało się kolejne kilometry, usypiała. Głódka nawierzchnia, wiatr

w plecy, brak podjazdów, a przede wszystkim niezwykle klarowna organizacja ruchu, niewymagająca żadnego nawigacyjnego wysiłku – człowiek nienawykły, że cały świat mu sprzyja, zwłaszcza gdy jedzie na rowerze, może się poczuć nieco skonfundowany.

Podobnie rzecz się ma z aparycją holenderskich miasteczek – aż nie chce się wierzyć, że to może tak wyglądać. Poziom uporządkowania i estetyki, na jakim funkcjonują Holendrzy, jest chyba nieosiągalny dla innych nacji. Chodzi nie tylko o brak śmieci na ulicach, który mnie szokował za młodu. Holenderski porządek jest wielopoziomowy, totalny. Nic nie zakłóca harmonii obrazu. Gdzie się nie obrócisz – ślicznie, czysto, perfekcyjnie. Nie wchodzi w kadr brzydki plot, reklama czy śmietnik. Nigdzie nie łuszczy się farba, stal nie rdzewieje, brama nie skrzypi. Pojawia się pytanie: czy Holendrzy mają to wszystko tak poukładane, bo ich stać, czy przeciwnie – stać ich na wiele, bo mają tak wszystko dobrze poukładane?

Oczywiście z perspektywy przejeźdnego to wszystko szybko staje się monotonne. Wystarczyło kilka godzin, bym przestał zauważać, kiedy jedna miejscowość zmienia się w drugą, nie pamiętam żadnych charakterystycznych szczegółów z tego czy innego miejsca – tylko te szeregi małych domków. Wszystko zlało mi się w jedną ogólną impresję, w jeden obraz. Nudny czy spokojny? Depresyjny czy psychicznie stabilizujący? Kwestia interpretacji.

Nie wiem, czy długo wytrzymałbym w takim świecie wyrysowanym od linii. Wtedy, za młodu, czułem, jak do niego nie przystaję, choć tak mi się podobał. Ale przecinać go, być w ruchu, a przez to w jakimś

sensie dopełniać tę statyczność – i wtedy, i teraz – to było przepiękne.

Na tle holenderskiej architektury jeszcze dobitniej odcinają się ludzie. A ci są jak na obrazach Bruegla – liczni i barwni. Rzadko widzi się tak bogatą miksturę stylów, charakterów, zainteresowań, o kolorach skóry i znakach przynależności etnicznej czy religijnej nie wspominając. I znów nie sposób w tym opisie abstrahować od rowerów – bo tylko dzięki nim można to wszystko podziwiać. Ludzi po prostu widać, niezamkniętych w samochodach. Po tym, co wystaje z sakwy, łatwo określić, kto jedzie do pracy, kto na hokeja, a kto na lekcję skrzypiec. Jakies to bardziej ludzkie, naturalne. Ten wiezie psa w przyczepce, ta lodówkę na cargobike'u, jeszcze ktoś dwójkę dzieci w fotelikach, a trzecie w chuście. Burki, hidżaby, glany, garnitury – cały przekrój. Siłą rzeczy ludzie mają ze sobą lepszy kontakt, niż gdyby poruszali się autami, nawet jeśli się do siebie nie odzywają. Łatwiej pamiętać w takich warunkach, że wszyscy jesteście ludźmi, mamy ciała, fryzury, zmartwienia, radości i całkiem sympatyczne gęby. Może dlatego nie podpała się tu tak chętnie tęczowych flag.

Znów dylemat jajka i kury: czy Holendrzy jeżdżą na rowerach, bo dobrze im się żyje, czy dobrze im się żyje, bo jeżdżą na rowerach?

Holenderski pomysł na organizację ruchu stawia na izolowanie rowerzystów od ruchu samochodowego, czy to w mieście, czy poza nim. Chyba ani razu nie byłem zmuszony wyjechać na jezdnię, mając cały czas do dyspozycji asfaltową drogę dla rowerów. Nawigacja wprawdzie prowadziła mnie gravelowym wariantem trasy, lecz – jak się okazało – szutrowy był on tylko z nazwy. W tym gęsto zaludnionym,



całkowicie przetworzonym przez człowieka krajobrazie nie ma miejsca na drogi gruntowe. Oni prawie w ogóle nie mają też lasów. Pozostaje się przyzwyczaić, że wszędzie jest asfalt, pełne oznakowanie, lśniące białą linię, a zakręty mają zawsze 90 stopni. Trochę jak w gigantycznym miasteczku ruchu. I może trochę też jak w złotej klatce: z jednej strony dostajesz fenomenalną infrastrukturę, z drugiej – w istocie obowiązek korzystania wyłącznie z niej, choćby z braku alternatywy. Widziałem po drodze różne nieutwardzone ścieżki, ale prawie wszystkie były przeznaczone wyłącznie dla pieszych, o czym informowały odpowiednie znaki. I było jasne, że nikt nie ośmieliłby się wjechać na nie rowerem.

To właśnie Holandia – pełna swoboda i jednocześnie rygorystyczne trzymanie się reguł, które może być trudne, jeśli się jeździ na szosówce czy gravelu. W Holandii, gdy jeździsz sportowo na rowerze, nie ma dla ciebie dobrego miejsca na drodze – jesteś za wolny dla samochodów, za szybki dla zwykłych rowerzystów. Czulem to – jechałem niby szybciej niż większość na ciężkich gazzellach, sparatch i batavusach, ciągle ryzykownie wyprzedzałem, byłem ewidentnie poza rytmem. A oni i tak wyprzedzali mnie później na światłach, jadąc wolniej, ale za to ze świetnym wyczuciem cykli sygnalizacji.

To nie są warunki do jazdy na szosie, jakie znamy z Włoch, Francji, Hiszpanii... Żeby pojeździć sobie szybko, trzeba wybrać się gdzieś na północ lub wschód Holandii, gdzie ludzi i samochodów jest mniej. O, na przykład Trasą 11 Miast, czyli rowerową wersją słynnej, ponad 200-kilometrowej marszruty, którą rzesze Holendrów pokonywały kiedyś regularnie na łyżwach po zamrzniętych kanałach Fryzji.

W Haarlemie poczułem po raz pierwszy, co to znaczy jechać w większej masie rowerzystów, w zgiełku miasta. Drogi rowerowe są często dwukierunkowe, więc co chwila mijanki, dzwonienie, wyprzedzanie. Raczej rzadko jedzie się jeden za drugim, bo ludzie, zwłaszcza dzieci, jeżdżą obok siebie, rozmawiając, więc bywa naprawdę ciasno. Gdy kierunki się przecinają, wydaje się, że zaraz będzie nieszczęście, ale nie, całość funkcjonuje bezkolizyjnie, co jest fascynujące, a zarazem dowodzi, że jazda rowerem po prostu z natury generuje mniej problemów niż transport samochodowy. Wyobraźmy sobie tych wszystkich ludzi w autach.

Prawdziwe wariactwo zobaczyłem jednak w Amsterdamie. Tam prawie nie było samochodów (z rozmysłem wyrugowano je z centrum), za to mrowie rowerzystów jadących we wszystkich kierunkach w szaleńczym tempie. To była chyba najkrótsza, a zarazem najbardziej intensywna wizyta w dużym, stołecznym mieście, jaką kiedykolwiek zaliczyłem. W ogóle nie zwiedzałem, po prostu przejechałem na wskroś, zatrzymując się tylko raz na kawę. Pędziłem w tłumie amsterdamczyków, próbując naśladować ich styl jazdy, i czulem się tak, jakby mi skrzydła urosły. Pachniało wodą z kanałów, upałem, kawą i marihuaną. Ludzie jechali, każdy inny, każdy w swoją stronę, nie oglądając się na pozostałych, ale ja czulem jedność z całym tym peletonem, który był dla mnie znakiem triumfu ludzi nad samochodami, koloru i różnorodności nad betonem.

Paradoksalnie w tym stołecznym zgiełku czulem się, jakbym wziął głęboki oddech – po raz pierwszy od lat funkcjonowania w tej mentalnej ciasnocie, w którą próbuje się nas wpychać w naszym własnym kraju. Zapachniało zmianą, nadzieją. Dokładnie tak samo, gdy wtedy, w 1993 r., jechałem rowerem po ulicach 's-Gravendeel.

Nazajutrz rozmawiałem o tym, już w Utrechcie, z pewnym mężczyzną, który brał udział w otwartych warsztatach rzeźbiarskich pod gołym niebem, tuż pod katedrą św. Marcina. Zagadnąłem coś o dłutach, rozmowa się rozkręciła i przeszliśmy na tematy ogólne. Podzieliłem się z nim tymi moimi przeżyciami z Amsterdamu,

a on tylko kiwał głową, jakbym mówił o rzeczach powszechnie wiadomych. – Ta masa rowerzystów działa jak jeden organizm – powiedział. – Jak ptaki czy owady, które w wielkich stadach wykonują skoordynowane manewry, choć nikt nimi nie kieruje. Każdy pilnuje tylko koła osoby przed sobą, czasem zerka się kątem oka, jak sytuacja z tyłu. To wystarczy.

Zagadnąłem go też o ten słynny brak firanek w holenderskich oknach. – To część naszej kultury – odpowiedział. – Znak, że nie mamy nic do ukrycia.

Gdy o tym rozmawialiśmy, inny rzeźbiarz kończył wykuwać na granitowej płycie cytat z Luceberta, holenderskiego poety: „Alles van waarde is weerloos – Wszystko, co cenne, jest bezbronne”. Rzeczywiście – skoro i tak bezbronne, to po co firanki?

Myslałem o tych słowach, jadąc 80 km pod wiatr z Utrechtu do Bredy. Czy Lucebert mówił w imieniu Holendrów, czy raczej wbrew ich przekonaniom? Posunięta do ekstremum tutejsza dbałość o sferę materialną świadczyła chyba raczej o wierze, że te wszystkie zgromadzone dobra warto hołubić, pielęgnować, upatrywać w nich czegoś pewnego. Ale może to mylny trop. Któż jak nie Holendrzy – żyjący nieustannie w zagrożeniu wielką powodzią – miałby mieć do głębną świadomość nietrwałości i kruchości tego, co gromadzimy? Słowianin skonfrontowany z tą prawdą popadnie w melancolię i pójdzie się upić. Holender umyje okna. Może te wypicowane domki są dla dzielnych Holendrów jak paskowe mandale buddyjskich mnichów. Będą je latami dopieszczać, a potem nawet im twarz nie drgnie, gdy wszystko rozsypie się w proch.

Do 's-Gravendeel dojechałem ostatniego dnia. Rozpoznałem kościół, duży staw w centrum i ulicę Smidsweg. Wiedziałem, że Bas od lat nie żyje, nie liczyłem też zbytnio, że zastanę jego żonę. Gdy jednak zapukałem do drzwi, Jopie otworzyła. Mimo 84 lat była w pełni zdrowia. Najpierw ją zamurowało, potem miała lzy w oczach. W ogóle nie mogliśmy się dogadać, bo jest chyba jedyną Holenderką, która nie mówi po angielsku, ale to nie miało znaczenia. Zrobiła mi kawę, potem ktoś z rodziny przybył z translatorską pomocą.

Zawsze miałem problem ze zrozumieniem, o co chodziło Lisowi w „Małym Księciu”. Aż do teraz, gdy odkryłem, że w małej holenderskiej miejscowości, tysiąc kilometrów od miejsca, w którym żyję, w małym domku mieszka starsza pani, która płacze na mój widok. Inna „od stu tysięcy innych starszych pań”.

Wspomnienia wróciły, znów zwiedzałem ten dom, jak zawsze idealnie wysprzątnany, przypominając sobie różne szczegóły. Znów wdrapywałem się na piętro po schodkach zabójcach. A potem Jopie zaprowadziła mnie do szopki, żeby mi pokazać swój najnowszy zakup – elektrycznego batavusa, na którym codziennie wybiera się na wycieczki. Czyż ci Holendrzy nie są niemożliwi!? ●

***Borys Aleksy** – założyciel i redaktor naczelny lifestyle'owo-sportowego magazynu o kulturze kolarskiej „Szosa”

Już za kilka dni – 6 maja – startuje drugi obok Tour de France najważniejszy, a na pewno najbardziej malowniczy wyścig świata. Przeszło 100 lat barwnej i dramatycznej historii Giro d'Italia opisanej przez Colina O'Briena już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



Węgierski Bareja nad koronami drzew

Od kiedy działacze Partii Psa z Dwoma Ogonami stali się poważnymi politykami, to stali się też zdolowani.

Ziemowit Szczerek

Nie uwierzysz – pisze do mnie znajomy z Węgier. – Sołtys z Fideszu pod Debreczynem za unijną kasę zbudował kładkę nad koronami drzew. Taki niby-most w środku lasu, wysoki, żeby sobie rodziny z dziećmi w niedzielę i święta na wycieczce mogły zobaczyć las z góry.

– No i co z tego? Niech oglądają.

– Tak, ale zaraz potem wyciął ten las i sprzedał drzewo.

Cale Węgry się z tego śmiały, a wiem, bo tam byłem i rozmawiałem z mieszkańcami. Pytałem, czy się cieszą, że ich region stał się sławny na cale Węgry. Niektórzy łapali się za twarze, by zasłonić wstyd, inni rzeczowo informowali, że faktycznie: w weekendy wpada całkiem sporo osób, szczególnie z Debreczyna, żeby sobie popatrzeć na to чудо.

W Google Maps oznaczono to miejsce jako „symbol korupcji”. I tak też ustawiłem GPS. Nie wiedziałem jeszcze, że trafiałem na wydarzenie zmieniające całą sytuację. Pod nędną, nie bójmy się tego słowa, jakości i cokolwiek rachitycznym mostkiem, który raczej nie wyglądał na efekt działania 64 milionów forintów (czyli 166 tysięcy euro) rzekomo wydanych na jego powstanie (tyle wynosiło unijne dofinansowanie), kręciła się grupa robotników, którzy sadzili nowe, małe drzewka.

– No proszę! – zagajalem. – Czyli kładka za jakieś dwadzieścia lat znów będzie przebiegała nad koronami drzew! Akurat wtedy, kiedy to skrzypiące чудо się zawali!

– Ja nic nie wiem – mówił jeden z sadzących, z którym próbowałem porozumieć się łamańcem węgiersko-niemiecko-angielskim. – My Cyganie, nas tu tylko wynajęli do sadzenia. Idź do sołtysa.

Regionalni działacze Partii Psa z Dwoma Ogonami uprzedzali, że sołtys mnie za drzwi wywali, ale poszedłem. Aha, na prawdę jest taka partia. Dawniej wyłącznie prześmiewcza, ale dziś jej władze uznały, że rzeczywistość przerosła komedię, więc włączyła się w normalny obieg polityczny, a warto wspomnieć, że partia Psa z Dwoma Ogonami w programie miała m.in. życie wieczne i kierowany do wirusów i bakterii zakaz wywoływania chorób. No to idę do sołtysa, no i jednak się zgodził, sekretarka zabrała mnie do sali konferencyjnej, w której to sali wyjęła telefon komórkowy, połączyła się z sołtysiem i włączyła na głos mówiący.

– Widzę, że sadzą panu nowe drzewa pod kładką nad koronami drzew! – powiedziałem, a sekretarka tłumaczyła.

– O tak! – cieszył się.

– A dlaczego w ogóle wyciął pan drzewa pod kładką nad koronami drzew?!

– Bo to są topole, a topole trzeba co jakiś czas ścinać!

– I je pan sprzedał?

– No jeśli się trafiła okazja, żeby sprzedać, to czemu miałem nie sprzedać?

– A dlaczego nie wywiesił pan tam tabliczki, że to projekt za unijne pieniądze? Z tego, co wiem, jest taki obowiązek.

– A bo jeszcze nie dostałem tych pieniędzy! Jak dostanę, to wywieszę!

W Debreczynie spotkałem się z lokalnymi działaczami Partii Psa z Dwoma Ogonami. Wyglądali na dość zdolowanych. Od kiedy stali się poważnymi politykami, powinni bowiem zajmować się poważną polityką, a ta ni cholery nie chce stać się poważna. Poinformowałem ich, że wynajęci przez burmistrza Cyganie sadzą nowe drzewka.

Imre Toth, pseudonim Bruti, szef lokalnych, debreczyńskich struktur, rechotał. – Za dwadzieścia lat, jak już się ta cała kładka zawali, będą tam rosły piękne drzewka. To jest facet, który żyje z handlu drzewem między innymi, należy do niego kupę terenów w okolicy. Za unijne pieniądze postawił sobie też w okolicy pensjonat. Od afery z kładką nie można go znaleźć na Bookingu ani nigdzie indziej. Podobno dlatego, że nie ma sensu go wystawiać, bo jest obłożony. Też, oczywiście, ani słowa o tym, że to za unijne pieniądze. Fidesz te pieniądze lubi, ale Unię się chwalić nie lubi, bo z nią przecież walczy o przyszłość Węgier.

MSZP nagłośniła na Węgrzech fakt, że sołtys kontratakuje i że drzewa sadzi. Węgry zatrzęsły się ze śmiechu raz jeszcze, a sołtys, niepocieszony, że sprawa bynajmniej się nie zamknęła razem z młodniakami, grzmiał w mediach, że w unijnym konkursie na dofinansowanie nie było niczego o wysokości drzew, nad którymi ma przebiegać kładka.

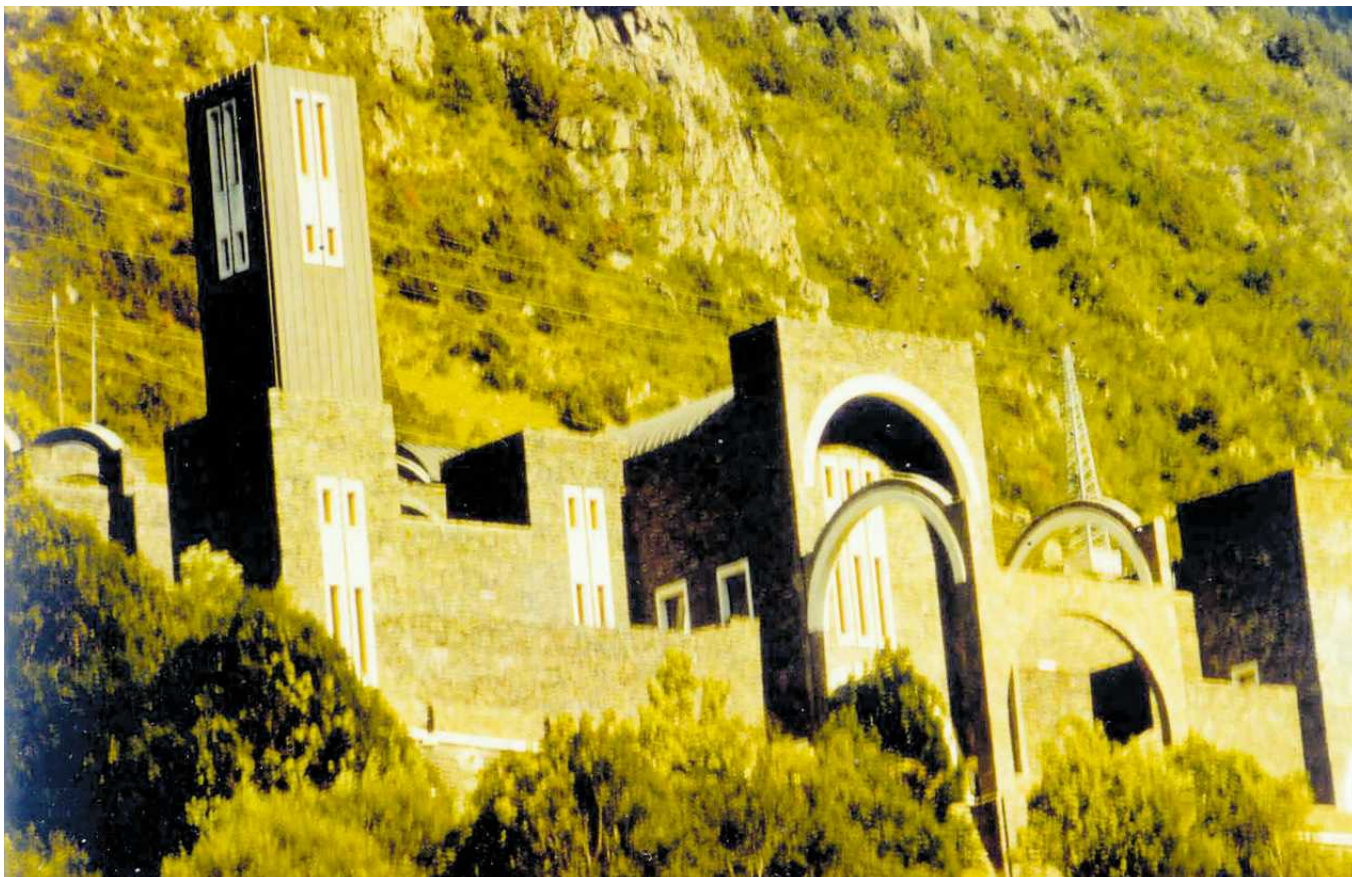
Okazało się przy okazji, że takie kładki za unijne pieniądze to od jakiegoś czasu bardzo popularna wśród węgierskich samorządowców inwestycja. Węgierscy dziennikarze z Válasz Online zrobili rekonesans takich urządzeń w samym tylko komitecie Szabolcs-Szatmár-Bereg. Z dziewięciu „kładek między koronami drzew” stoi i ślady konserwacji wykazuje tylko jedna. Reszta? Zawalone, rozebrane, grożące zawaleniem i wyłączone z użytku. ●

CO MNIE URZEKŁO

Skromne, a złote

Dla młodego architekta z kraju „kostki polskiej” to było olśnienie

WOJCIECH JAN CHMIELEWSKI*



FOT. WOJCIECH JAN CHMIELEWSKI

B

Było to ponad 40 lat temu, zaś impulsem do wspomnień – wieść o niedawnej śmierci indywidualisty katalońskiej architektury Ricarda Bofilla. Urzekła mnie architektura zespołu sakralnego Meritxell, powstałego w małym państewku w Pirenejach w drugiej połowie lat 70. Wówczas to zwiedzałem, prawie nieosiągalne wcześniej dla młodych adeptów architektury, kraje Europy Zachodniej w poszukiwaniu utraconego sensu licznie powstających krajowych dokonań w tej dziedzinie, w kończącym się już dziesięcioleciu boomu gospodarczego epoki gierkowskiej.

Nie znałem oczywiście tego sanktuarium wcześniej. Nie było to nawet możliwe przy nikłym napływie informacji o obiektach i ideach zachodniej architektury, które wówczas tak interesowały nas, młodych polskich architektów. Wraz z tym, co nabrzmiewało pod skórą w polityce i gospodarce, wyczuwaliśmy, że zbliża się nieuchronna śmierć modernizmu, może nie tak czytelna w budownictwie sakralnym, ale na pewno w budownictwie jednorodzinnych i mieszkaniowych. Lecz w uaktyw-

nionym w drugiej połowie lat 70. tanimi kredytami budownictwie jednorodzinne dominowała nadal bezideowa kostka z bloczków cementowych lub zwykłej tynkowanej cegły. Dopiero kilka lat później, po stanie wojennym, zaczęły się pojawiać tęsknoty za wolnością w postaci gargameli, ówczesnych prywatnych rezydencji. A w budownictwie sakralnym, zwłaszcza tym małoskalowym, gminnym i parafialnym, wielość realizacji nie przekładała się na jakość, może poza kilkunastoma sztandarowymi obiektami w dużych miastach. Kiedy w tym samym realnym socjalizmie u bratnich jeszcze Węgrów powstawały wspaniałe obiekty o indywidualnym wyrazie, nazwane później przez zachodnią krytykę architekturą organiczną.

Sanktuarium Meritxell powstało zaledwie dwa lata przed pamiętnym rokiem 1980 na głębokiej prowincji Europy Zachodniej, na granicy hiszpańsko-francuskiej, w głębokiej dolinie, między skalistymi szczytami Pirenejów, w miejscu znanym na mapie Europy jedynie jako atrakcyjna strefa wolnocłowa. Zupełnie przypadkowo zobaczyłem obiekt, jadąc autokarem przez maleńką miejscowość Canillo (i będąc szczęściarzem nie lada, ponieważ udało mi się załapać na wyjazd grupowy po krajach Europy Zachodniej, zorganizowany przez pracowników naukowych jednej z krakowskich uczelni).

Widok gry geometrycznych prostych brył na tle skalnego zbocza w lipcowym pełnym słońcu w obiekcie zrealizowanym przez współczesnego, jak dowiedziałem się po powrocie do kraju, wybitnego architekta katalońskiego zadziałał niemal jak objawienie. Ponieważ cały autokar nie był zainteresowany tą niezwykłością, zdołałem wykonać jedno jedyne zdjęcie, poruszone, ale oddające głęboki sens tego wszystkiego, czego poszukiwałem bez powodzenia w rodzimej architekturze od końca studiów. Niemal obsesyjne późniejsze powroty do tego wizerunku utrwalonego na kolorowym przeźroczu przez długie lata utrzymywały mnie w przekonaniu, że jest możliwa inna, prawdziwie holistyczna w treści, a zatem i przyjazna w odczuciach współczesna architektura. I w tym wypadku nawet nie miało znaczenia, że sakralna, raczej chodziło o to, jak jest zrobiona – że użyję tego skrótu myślowego architektów.

Zespół obiektów sanktuarium jest nieznanym szerszemu groniu, obecnie wręcz zapomniany. Powstał w latach 1976-78, a projektantem był Ricardo Bofill, kataloński architekt, do którego przyznają się i Hiszpanie, i Francuzi, ponieważ w obydwu krajach kształcił się, działał na różnych frontach, także politycznych, i tam pozostawił najwięcej niepowtarzalnych realizacji architektonicznych.

W 1972 roku spłonęło dotychczasowe romańskie sanktuarium,

skromna wernakularna architektura wzniesiona z miejscowego kamienia, w lokalnych średniowiecznych kanonach kompozycyjnych oraz miejscowych barwach – a potrzeby pielgrzymkowe rosły.

Bofill nie mógł zignorować lokalnej tradycji, architektury, krajobrazu i przeszłości tego regionu. Dwa główne elementy przestrzenne zespołu to most-wiadukt i samo sanktuarium. Pozostałe, równie ważne, to główne zewnętrzne schody – podejście od strony ulicy miasteczka i dwa dziedzińce na poprzecznej osi kompozycyjnej: z otwartym basenem fontanny i, po przeciwległej stronie, z niezadaszoną esplanadą i pozornymi lukami romańskimi. Nad całością dominuje wieża dzwonnicy-minaretu. Kto zna historyczną przedchrześcijańską przeszłość Katalonii, odczyta w zastosowanych po mistrzowsku środkach wyrazu architektonicznych zarówno elementy sztuki mudejar, jak i podstawowych form geometrycznych wyrosłych na źródłach romańskich.

Pierwotne wrażenie dopełnia niezwykle wstrzemięźliwy detal architektoniczny przewijający się we wszystkich elementach kompozycji przestrzennej oraz zastosowanie jedynie trzech tworzyw budowlanych – naturalnego miejscowego kamienia w konstrukcjach ściannych zewnętrznych, białego betonu w detalach otwartych luków „romańskich” i barwionego w masie tynku szlacheckiego w tonacji naturalnego miej-

scowego kamienia. Szkła prawie nie widać, choć jest obecne.

Właśnie to mnie urzekło. Szczery do absolutu koncept artystyczny i funkcjonalny, który w jednym błysku pojąłem, choć byłem ukształtowany na zupełnie odmiennych ideach. Wszystko zakłęte w architekturze i kształtach zrozumiałych nawet dla przeciętnego człowieka z odmiennej kulturowo Europy Środkowej.

A najbardziej urzekł mnie sposób myślenia, w którym architektura jest jednością z krajobrazem, wyrastając z niego, tak jakby istniała od zawsze. To stara się oddać zdjęcie zrobione tego lipcowego południa, zaledwie dwa lata po realizacji sanktuarium.

Późniejsze głębsze studia nad tego typu architekturą zwaną site specific dowodziły, że tak zresztą rozumiał tę architekturę sam Ricardo Bofill, którego kariera zatoczyła rozległą i ambitną trajektorię. Od pustyni do miasta, od krytycznego regionalizmu do klasycznego postmodernizmu. To, co pozostało w nim niezmiennie przez długie twórcze życie, to wiara, że budynki mogą wpływać pozytywnie na nasze życie, konsumentów architektury. Temu zagadnieniu poświęcił wielkie projekty mieszkań socjalnych w Hiszpanii i we Francji w latach 80. Liczne jego projekty są uznane za przykłady krytycznego regionalizmu końca XX w. i początku XXI w. i postrzegane jako reakcja zarówno na bezduszny architektoniczny modernizm, jak i frankistowską dyktaturę.

Bofill zmarł przed rokiem, w wieku 82 lat, z powodu powikłań pocovidowych. A urzeczenie jego sanktuarium i nim samym powracało jeszcze wielokrotnie, także w moich dokonaniach zawodowych, również jako nauczyciela akademickiego, kiedy mogłem młodzieży studenckiej zaprezentować typ i ideę architektury zgodnej z naszymi niezagłuszonymi globalizmem tęsknotami oraz empatyczną stroną naszego wielobarwnego otoczenia kulturowego, wpisanej w zróżnicowane środowisko naturalne i krajobrazowe.

Zespół sanktuarium Meritxell dowodzi zagubionej prawdy o nas samych: tam, gdzie dawna kultura nie jest zapomniana i pozostaje bardziej zróżnicowana, dzieją się naprawdę wielkie rzeczy. ●

***Dr Wojciech Jan Chmielewski**

– architekt, inżynier, emerytowany profesor Politechniki Krakowskiej, członek Komisji Urbanistyki i Architektury PAN, autor artykułów i książek o regionalizmach we współczesnej architekturze.

Jak wkomponować miasto czy koleję w krajobraz, opowiada Filip Springer w nowej książce. „Mein Gott, jak pięknie” już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



CO MNIE URZEKŁO

*Zeby mnie tu
pochowali,
ale z głową
nad ziemią*

Niby nadal jesteśmy u siebie, w Europie Środkowo-Wschodniej, ale jednak po tej stronie Alp i Karpat, po której świat wydaje się nieco bardziej wesoły.

Ziemowit Szczerek

Dalmacja. Zawsze trudno mi uwierzyć, że ją w ogóle tu mamy. Że w naszym regionie, w naszej środkowej Europie, w naszym ha! ha! Międzymorzu, leży jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Bo co mi tam jakaś Francja z Lazurowym Wybrzeżem, Riwiera Francuska nawet się nie umywa do Dalmacji. Co tam jakieś Włochy, niby ogród rodzinny naszej słowiańsko-lacińskiej kultury, w którym jednak, jak wiemy, nadal jesteśmy barbarzyńcami. Niby to wszystko wspólnotowe, ogólnoeuropejskie, ale sporo jeszcze wody będzie musiało w rzekach Europy upłynąć, żeby Zachód przestał się krzywić, że ubodzy krewni ze wschodu kontynentu swoje ręce niedomyte wyciągają po wspólne dziedzictwo.

Na szczęście u siebie, w tej Europie B, mamy Dalmację. I w ogóle chorwackie wybrzeże.

Miejsce, które jest tak piękne, tak boleśnie piękne, że aż od tego nadmiaru piękna wulgarnie, i człowiek w pewnym momencie orientuje się, że ogląda je jak jakiś film hard porno. Rąbanka i zbliżenia. Bo to się wydaje niemożliwe. Wczoraj jeszcze byliśmy w nasiąkniętym wieczną wilgocią i znanym aż do bólu interiorze wschodniej strony Europy, kluczyliśmy między rewitalizowanymi blokami i patrzyliśmy, jak obywatele przywykają do zbierania kup swoich psich milusińskich do plastikowych woreczków, a dziś, bez niczyjej łaski i nie wyjeżdżając ze swojej części Europy – patrzmy na krajobraz, od którego trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego.

Ale okej, od początku. Budzimy się, powiedzmy, na parkingu dla tirowców gdzieś na granicy węgiersko-chorwackiej, gdzie zawsze z jakiegoś powodu leje, a przynajmniej wtedy, gdy ja tam jestem. Budzimy się o 5 rano, bo śpimy w samochodzie po całej nocy ciśnięcia przez autostrady krajów coraz bardziej się rozklejającej Grupy Wyszehradzkiej, a że to nie sezon, to jednak jest dość zimno. Ale to dobrze, że nie sezon.

Bo w sezonie jeździć do Dalmacji to jednak swego rodzaju perwersja.

W sezonie można w Chorwacji pojechać, powiedzmy, do Zagory, oglądać suche, porośnięte kłującą trawą wzgórza, do niedawna jeszcze (a czasem i do tej pory) pełne pustych i wypalonych domów po Serbach. Albo powłóczyć się po Sławonii, posiedzieć w Vukovarze, pogapić się na Dunaj, który w tamtych stronach płynie tak kapryśnie, że geografowie polityczni nie nadążają za wytyczaniem granicy, popić piwo w knajpie i posłuchać lokalnych plotek, opowieści o bohaterach i skurwysynach ostatnich wojen oraz historycznych pretensji do tych i owych. Ale Dalmacja latem? Dziękuję.

Co innego jesienią, zimą albo wczesną wiosną. No więc tak, budzimy się w tym zmarzniętym aucie, wygrzebujemy się ze śpiwora, zajeżdżamy na najbliższą stację benzynową napić się kawy, zjeść hot doga czy burka (tu już mają!) i umyć twarz w toalecie. Może i zęby, ale bez przesady. Pogadać z przemywającymi stoliki ludźmi z obsługi stacji i poczuć, że jest się niby i u siebie, w Europie Środkowo-Wschodniej, ale jednak po tej stronie Alp i Karpat, po której świat wydaje się nieco bardziej wesoły. Z naciśnięciem na „wydaje”, oczywiście.

A potem już chorwackie radio, na przykład Radio Sraka, chorwackie wiadomości, język powoli wchodzi w żyły, przypominamy sobie wszystkie te wkuwane albo znane z jugoskich czy pojugoskich piosenek idiomy, całą tę gramatykę z tym arcywygodnym trychem operacyjnym „da”, które może znaczyć wszystko na świecie, zależy od tego, jak się go naciśnie i wywinie. I jeszcze tylko budzący się ze złorzeczeniem Zagrzeb (jebote, joj, joj) owinięty obwodnicami i tym samym, czym są owinięte wszystkie inne miasta w naszym regionie, czyli decathlonami, bauhausami i w ogóle mallami. Jeszcze tylko trochę drogi przez Europę Środkową, a potem tunele, raz ciemno, raz jasno, jakby ekran migotał, płynie muzyka z głośników, yo, – i w końcu wynurzamy się w innej rzeczywistości.

To już świat, w którym skały schodzą do morza, to świat miasteczek położonych tak skrajnie malowniczo, że człowiek ma wrażenie, iż ktoś sobie z niego jaja robi, że tworzy ten krajobraz jakaś dobrotliwa i wrażliwa na piękno AI, która już zaczęła rządzić tym naszym lepniającym światem, a my tego nie zauważyliśmy. Co chwila ludzie w autach na węgierskich, czeskich, słowackich i polskich rejestracjach przystają na poboczu i robią zdjęcia, zaszokowani. Z uśmiechami lekceważenia mijają ich przywykli do tego cudu purgerzy z Zagrzebia czy rijeczanie.

Rijeka jest zatłoczona i choć wydawać się może idealnym miastem do tego, żeby się trochę po niej powozić i porozbijać, bo tro-



chę niby środkowoeuropejska, habsburskawa, piwna, a jednak trochę włoskawa, śródziemnomorska, kawowo-winna, corsowata i pachnie jakąś nieokreśloną przygodą, to jednak coś pędzi stąd dalej. Bo już jednak czuć zapach morza za bardzo, już nos wyczuwa wyspy sterczące z pomarańczowiejącej od słońca wody. Już fiaka gra w głośnikach i pod czaszką, już „Ribari” Vinko Coce śpiewa, „prije jutra ribari se bude”, już ciągnie na południe, w jeszcze większe śródziemnomorskie porno.

Więc w dół. Na południe. I byle nie autostradą, bo to oznaczałoby powrót przez tunele, curyk do Europy Środkowej, a nam nie o to chodzi. Lepiej nadmorskimi, krętymi drogami, z widokami takimi, że oczy się nimi masturbują i wydają z siebie bolesny orgazm za orgazmem.

Beton, kamienie i plaża, pogardzana nieco przez Chorwatów nadmorska Crikvenica, która gdyby przecież leżała w Polsce, byłaby największym turystycznym obiektem wszech czasów, Senj, który był kiedyś miastem Uskoków, morskich kozaków, którzy drażnili starą Otomańską Portę na Adriatyku tak samo, jak nasi rzecznicy Zaporozcy – na Morzu Czarnym. I tu już można odpocząć. Miasto nie jest jeszcze do końca umiłowane przez rewitalizację, trochę się jeszcze sypie, więc można się tu kręcić po ulicach i wyobrazić sobie, że się jest w takiej historii alternatywnej, w której Włochy stały się komunistyczne.

Ale porno wzywa, droga wzywa, a w końcu cholera wie, czy to nie droga sama w sobie jest tu najistotniejsza. I znów te pieprzone wyspy wynurzające się z tej pieprzonej wody i jest tak pięknie, że człowiek nie wie, co ma z tym pięknem zrobić, przecież go nie zje, można więc tylko co jakiś czas szukać jakiejś dróżki wśród suchej roślinności porastającej schodzące do wody skarpy, pocisnąć w górę, żeby w końcu rozbić w jakimś miejscu namiot, zagotować herbatę na kuchence, może i nielegalnie ognisko rozpalić i coś sobie upiec, może i wyjąć z auta jakąś butelkę z – powiedzmy – whisky czy rumem, popijać po małym łyku, palić papierosy i pa-

trzeć tęsknie na to, jak słońce zachodzi nad tym pieprzonym idealnym krajobrazem, jak ten krajobraz czerwienieje, fioletowieje, różowieje, niebieszczeje i czarnieje, i umrzeć od tego wszystkiego, i marzyć o tym, żeby cię tu znaleźli i pochowali, ale z głową nad ziemią, żeby można było w nieskończoność na to wszystko patrzeć.

Rano wykopujemy się z grobu, składamy biwak, patrzmy, czy nie ma jakichś glin i z powrotem na drogę. Dalej, dalej na południe. Śmiejemy się czasem z jakichś Austriaków czy Niemców, którzy w wypasionych odkrytych beemach czy czymś takim też pędzą w tę samą stronę co my, manifestując przez całą swoją stylową swój kryzys wieku średniego. Ale czemu nie, niech manifestują, świat jest od tego piękniejszy, bo i zabawny. Po czym skręcamy i przez most, na którym autem wiatr nieco rzuca, wjeżdżamy na wyspę Pag, na której po raz kolejny leć nam urywa.

Bo Pag wygląda jak krajobraz obcej planety. Niby Księżyc, ale takiego, na którym pomiędzy szczerzącymi się wszędzie kamerdolcami i skałami sterczy kawałek suchej trawy, i o te kawałki, żdźbła rachityczne wałczą snujące się po wyspie owce.

Nie ma tu nic. To znaczy – jest, ale poza sezonem i pozamykane, można się więc snuć po Pagu godzinami i poza tymi kosmicznymi owcami nie spotkać żywej duszy. Tylko my, kamienie i owce. Morze i porno. Wiatr wieczorem. W miejscowościach tutejszych żyją poza sezonem tylko duchy. To naprawdę wygląda jak atelier filmu jakiegoś Lyncha o piekle. Zostawiłem auto i poszedłem przed siebie. W druty elektryczne zaplątał się spory ptak. Jakiś jastrząb czy coś takiego. Trup z rozłożonymi skrzydłami wisiał nad kamienną wyspą jak odwrócony krzyż. W głębi wyspy siedzą pokłady soli. Wydobywali ją podobno już Rzymianie i Illirowie, potem romańskojęzyczni mieszkańcy tych ziem. Potem przyszli słowiańskojęzyczni Chorwaci, jeszcze później – Habsburgowie, aż w końcu zapanowała tu Jugosławia. Gdy europejski porządek się posypał i Hitler zaczął montować „nową Europę”

FOT. SHUTTERSTOCK



Człowiek ma wrażenie, że ten krajobraz tworzy jakaś dobrotliwa i wrażliwa na piękno AI, która już zaczęła rządzić, a my tego nawet nie zauważyliśmy

złożoną ze „wstających z kolan” narodów, pojawili się chorwaccy faszysty – ustasze – i założyli obóz dla Żydów, Serbów i chorwackich antyfaszystów. Uwięzieni umierali z pragnienia: do jedzenia dawano im słone ryby, a wody tyle, co kot napłakał. Od krwi zabijanych skały i morze czerwieniały. Lokalni nie lubią o tym wspominać. A jeszcze mniej lubią, gdy ktoś im o tym wspomina. Pag jest do pewnego stopnia wyspą z kości trupów wysypujących się z szafy i warto o tym pamiętać, zanim pojedzie się dalej.

Na przykład do Zadaru. Tak, jeszcze przed wojną były tu Włochy. Zadar był czymś w rodzaju włoskiej Ceuty czy Melilli: odcięte od interioru miasto na brzegu przeciwnym do metropolii. Trochę tak, jakby szwedzkie Malmö było polskie. Albo Kołobrzeg – szwedzki. W czasie II wojny alianci zbombardowali go w 80 procentach, więc teraz chodzi się tam po wąskich uliczkach, jak to w śródziemnomorzu, ale pomiędzy modernistycznymi budynkami, jak od linijki. To tam uciekłem w tym roku od sylwestra. Chciałem być sam i tak daleko na południu, jak się tylko da. Być może miałem nadzieję, że w ten sposób uda mi się oszukać zimę. Zresztą do pewnego stopnia oszukałem, bo w dzień siedziałem w słońcu, z kawą, nad morzem i oddawałem się melancholijnemu poczuciu bezsensowności istnienia, które jest efektem końcowym, a może i celem większości podróży. Wieczorem, gdy tłum zaczął gęstnieć, wycofałem się do hostelu. Otworzyłem okno, paliłem i patrzyłem na miejski plac, na którym gromadzili się ludzie. Morze w oddali było atramentowe, a na ścianie jednego z ocalałych starych budynków wyświetlano kretyńskiego Świętego Mikołaja obracającego się wokół własnej osi. Leciąca nad miastem jakaś zglobalizowana kolęda. O północy huknęły fajerwerki, a na placu się zagotowało. Poczekalem, aż wszystko się trochę uspokoi, i wyszedłem. Kręciłem się pomiędzy rozweselonymi ludźmi, którzy dotarli tu, aby uciec od swoich ponurych domowych zim i przewidywalnych sylwestrów. Pomiędzy knajpami Perun i Posejdon przewalała się reprezentacja chłodniejszych

krajów przybyła tu w imieniu klimatycznej redystrybucji i starała się dobrze bawić. Nad morzem palono marihuanę. Szczekały jakieś wypacykowane pieski noszone na rękach. Plakały dzieci, nie wiadomo, po jaką cholerę zabrane w nocy do miasta. Poszedłem spać. Jeszcze niżej, w Trogirze, było ciekawiej. Stare miasto było piękną, ale atrapą. Dla turystów. To znaczy – budynki oryginalne i tak dalej, ale totalnie wypatroszone z mieszkańców. Wszędzie porobiono apartamenty pod letnika i zimą nikt tu nie mieszkał. Na pustych uliczkach wrzeszczały na siebie mewy i czasem jacyś pozasezonowi Amerykanie wśliznęli na pozasezonowych Niemców. Na bankomatach był napis, że nie ma w nich pieniędzy. Tak, to wszystko nie było dla żad-

nych Chorwatów, to na pokaz. Zresztą ilu tych Chorwatów jest, nieco ponad 4 miliony? Ledwo ich starcza na te wszystkie regiony, o których śpiewa ich najbardziej znany piosenkarz i kawał faszola, czyli Thompson. Na Zagorę, Dalmację, Sławonię, Istrię, Zagorje i tak dalej.

W takich miejscach jak Trogir widać to bardzo dobrze. Dlatego lepiej już jest wyjść z tego starego miasta i iść tam, gdzie brzydzie, ale coś się dzieje. Gdzie można zjeść tanie czewapy albo pljeskawicę z budy, kawę w papierowym kubku wypić, poczytać sfrustrowane faszystowskie hasła na murach, pooglądać to ustaszowskie U z krzyżkiem, malowane to tu, to tam, usiąść w jakiejś przydrożnej knajpie, gdzie siedzą stare dziadki i takież babki, gapią się przed siebie w tym południowym słońcu, piją kawę, zapijają wodą, a gdy światło staje się bardziej żółtopomarańczowe – zaczynają zamawiać browary i rakiję. W telewizji leci najczęściej mecz albo inny substytut sensu w życiu.

To światło błogosławi Split, który leży niedaleko i w sezonie jest tak zatłoczony, że nie da się w nim funkcjonować.

Poza sezonem jednak wszystko zaczyna nabierać sensu, i nawet uroku. Uciekłem tam w czasie pandemii, zimą: wolalem kręcić się, mimo wszystko, po opustoszałym południowym mieście niż po Warszawie czy nawet Krakowie. Ten sam pomysł miało mnóstwo ludzi z całego świata, więc Split, ze swoją długą promenadą, cudownym światłem i kawalem miasta wetkniętym w starożytny Pałac Dioklecjana, zamienił się w przyczółek zglobalizowanego świata. Niektóre knajpy już się pootwierały, mieli ogródki, więc wszystkie międzynarodowo pracowały zdalnie z laptopami nad parującymi kubkami z kawą i zrobiło się nawet dość korporacyjne. Międzynarodowo poprzyzwyczały się do swoich stolików i zajmowały je codziennie, witały się z sąsiadami jak z biurowymi kolegami, a wieczorami wystawały w grupach pod piwnymi ogródkami, paliły papierosy i plotkowały o swoim nowym życiu w Splicie. Ja razem z nimi i to było dziwne. Po chorwacku mówiło się głównie do obsługi: do ludzi za barem, do ludzi w sklepach, na targu rybnym. Wyjechałem, bo nie dawałem rady.

Drażnił mnie też wszechobecny Hajduk, splicka drużyna piłki nożnej, na całym wybrzeżu przedmiot prawie religijnego kultu, a Watykanem tej sekty jest właśnie Split. Hajduk to, Hajduk tamto, sramto i siamto. Wszędzie hajduckie hasła, żeby ludzie nie zapomnieli, komu muszą kibicować. Hajducka szachownica i wielkie litery na ścianach, czasem nawet na skałach. Jakies wielozdaniowe modlitwy do Hajduka i nawet uciekając na wyspę Hvar, nie bardzo się da od tego uwolnić.

Ale na Hvarze wszystko się zmienia. Wyspiarska Dalmacja to jednak coś innego. Zjeżdża się z promu i od razu drogi wydają się węższe, ludzie w knajpach mniej się dra, a w sklepach w ogóle wszystkiego jest mniej. Mieszkańcy Hvaru, gdy wracają ze Splitu, podniecają się, jakby wrócili z Nowego Jorku.

Tak jak Andrej, który sobie mieszkał sam na wybrzeżu, latem wynajmował turystom kilka pokoi i z tego żył przez resztę roku. Siedział w domu, chodził łowić kalmary, a wieczorami filozofował. Szczere mówiąc, osuwał się w szalerstwo. Czytał tylko Biblię. Żeby go zaktywizować do wpadania w jeszcze głębszy obłęd, opowiadałem mu, że jestem satanistą. Chyba się trochę mnie bał. Ale ja byłem całkiem zadowolony. W niewiele miejscach na świecie byłem tak zadowolony jak na Hvarze. Dlatego lubię tam wracać. Są tam, na przykład, opuszczone wsie. Nie leżą nad morzem (choć tam wszystko leży nad morzem), przynajmniej niebezpiecznie, a turyści, jak wiadomo, muszą mieć morze na podorędziu, bo inaczej nie mogą układać się na kamienistych plażach w sąsiedztwie innych turystów, dlatego nie są zbyt turystycznie atrakcyjne. Dzięki Bogu zresztą, bo mogę je skłotować na dziko.

Tak, to są całe wsie: kamienne domy, schody, poddasza. Niektóre, owszem, zabez-

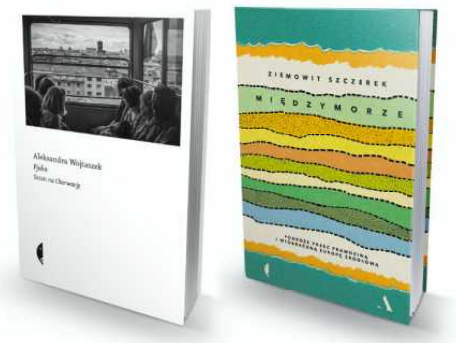
pieczone przez właścicieli, którzy już dawno wyjechali do miast. Ale niektóre – całkiem otwarte. Dobrze jest tam pojechać, gdy jeszcze nie jest tak naprawdę zimno. Albo gdy zima już odpuszcza. Wtedy można uciec tam od świata. Lubie sobie wyobrażać, że już niedługo znów wejdę do jednego z takich domów, pustego, zbudowanego na jakimś totalnym zadupiu, że rozłożę na podłodze karimatę, na karimacie – ciepły śpiwór, i że zamrę tak, w takim kokonie, z widokiem na dalekie morze i jeszcze dalsze wyspy, który rozciągają się będzie przez wybite drzwi. Można tak trwać długo. Wystarczy mieć ze sobą parę baniek gazu do przenośnej kuchenki, trochę prowiantu, kawy, wody i naładowany czytnik e-booków. I kilka powerbanków na wszelki wypadek. Może kiedyś zostaną na dłużej. Może po prostu spodoba mi się tam tak, że umrę sobie z radością i ulgą i nikt nie znajdzie mojego trupa. Przynajmniej dopóki jakiś turystyczny rewolucjonista nie wpadnie na genialną w swojej prostocie myśl, że do morza, jeśli już koniecznie jest na wakacjach potrzebne, można również podjechać, i nie kupi ruiny, w której w ukojeniu złożyłem swoje kości.

Cóż: marzenia – marzeniami, a trzeba cisnąć na południe. Dawniej trzeba było przejeżdżać przez Neum, fragment Bośni, dzięki któremu ten kraj, niekochany przez znaczną część swoich obywateli i raczej obojętny światu, ma dostęp do morza, i było to ciekawe doświadczenie. Na mgnienie oka znikala unijna ogląda Chorwacji. Zaczynała się kraina etnicznie równie chorwacka co sama Chorwacja, ale wyglądająca jak stare Balkany: knajpy, w których można palić, architektoniczny rozpieprz, niesieciowe biznesy, inne szyldy, inne firmy i wszystko w ogóle jakieś takie starsze i najtisisowe. W Neumie można było zjeść bałkańskie czerwapy, popić ajranem i pojechać dalej, wrócić do wylizanej i uporządkowanej Chorwacji i ciąć na południe. Na Dubrownik i dalej, na Czarnogórę.

Ale teraz Chińczycy za gigantyczną formę zbudowali Chorwatom most na półwysep Pelješac, który Neum omija. I już nie trzeba się zatrzymywać na granicy, pokazywać dokumentów. Nie trzeba się rozpraszać i jest majestatycznie, gigantomańsko i przeraźliwie nudno, bo most prowadzi na taką część Pelješaca, która jest prawie pusta, jeśli nie liczyć kilku osad zagubionych pomiędzy wodą, suchą ziemią a niebem, w których świat wygląda, jakby umarł i nie chciało mu się zmartwychwstawać. Tu też można się rozbić na dziko i oddawać się myślom o tym, że być może nie jest to najgorsze miejsce, by się w nim zaszyć w razie jednego z przewidywalnych końców świata. Zaszyć się w tym cudownym świetle dalmatyńskiego południa, które i bez żadnego kataklizmu wygląda, jakby cały świat wokół majestatycznie płonął. Zaszyć się i nie jechać już dalej. A już na pewno nie do Dubrownika. Bo cóż, że piękny, skoro szpilki weń wbić nie można, a kubek z „Gry o tron”, którą tam kręcono, to mogę kupić w każdym sklepie dla nerdów.

Lepiej zostać tam, w dalmatyńskich krzakach. ●

Aleksandra Wojtaszek opowiada o kraju, którego jest rówieśnicą, w książce **„Fjaka. Sezon na Chorwację”**, a Ziemowit Szczerek rozgryza krainy wetknięte między Rosję, Niemcy i Turcję w **„Międzymorzu”**. Obie opowieści – w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl.





• „Portret Anny Achmatowej”, autor: Natan Altman, rok 1914.

FOT. EAST NEWS

Lata 90. to w Rosji czas „detronizacji”.

W Achmatowej odkrywano „stalinizm”, podczas gdy stupajki i prześladowcy zmieniali się w „postaci tragiczne”

Adam Michnik poleca

„REKOJMIA JEGO CHWAŁY”. O WOLNYCH ROSJANACH

Filozof Siemion L. Frank, pisząc o Puszkynie, stwierdził: „Dzieje rosyjskich iluzji i fantazji, rosyjskich pomyłek przebadane są znacznie uważniej i gruntowniej niż dzieje rosyjskiego zdrowego rozsądku”.

Można podjąć jego myśl: dzieje rosyjskiego (a tym bardziej sowieckiego) zniewolenia zbadane są nieźle, lecz zgoła nieopisane pozostają dzieje wolności w Rosji. Deformacja homo sovieticus, antropologiczna katastrofa, jaka dokonała się w naszym kraju, jest już przedmiotem dociekań, choć jeszcze bardzo dalekich od zakończenia. O historiach ocalenia godności ludzkiej, „samoistności człowieka” w warunkach nieludzkiego reżimu mowy jeszcze nie było.

Na samym początku możliwości tego drugiego spojrzenia na zagładę, jaka się u nas dokonała, a ściślej spojrzenia od drugiej strony – poszukiwania sprawiedliwego, bez którego miasto się nie ostoja – odkrył w „Zagrodzie Matryony” i podjął w niepublikowanych oficjalnie „niewidkach” Aleksander Solżenicyń. Zaczął mówić nie tylko o ogromie zorganizowanej zbrodni, o niebывалым cierpieniu i upodleniu człowieka w czasach sowieckich, ale też o człowieku, który zachowuje ludzką postać (innymi słowy, obraz Boga w sobie) w warunkach, które to uniemożliwiają.

Podobnie też rzecz się ma z drugą katastrofą XX w.: poszukiwania Sprawiedliwych wśród Narodów Świata mieszczą się

w praktyce analizy Zagłady. To najciekawsza część dziejów minionego wieku i w ogóle ludzkich dziejów: „dzieje Miasta Bożego”, biegnące jak cienka żyła srebra w skale innych dziejów, „dziejów Babilonu”.

A zatem mój temat to dzieje wolności w czasach ciemnych („czasy ciemne” – termin Hannah Arendt).

• • •

– Innej historii nie mamy! – mawia się u nas w wiadomych przypadkach. Że coś niby począć, to wszystko nasi ludzie: Beria i Je-

Dzieje rosyjskiego zniewolenia zbadane są nieźle, lecz zgoła nieopisane pozostają dzieje wolności w Rosji

Olga Siedakowa*

żow, i pisarze, którzy z entuzjazmem potępili Pasternaka i Solżenicyń. Wszyscy żyjemy w jednej rodzinie, w jednym domu, a brudy, jak wiemy, należy prać w domu.

Zauważmy: wszyscy – a jednak nie wszyscy. Ci, których z tego domu niegdyś wypędzono, nadal nie są nasi. Przez całą naszą wspólną historię rozumie się jej urzędową wersję, w której np. zabójstwo Kirowa to wydarzenie historyczne, a zabójstwo Mandelsztama – nie. A już zwłaszcza nie mieszczą się w tej wspólnotcie dziejów,

w której „wszyscy” robią mniej więcej to samo (a co jeszcze można było robić? a kto taki nie był?), ludzie, którzy stale przeciwstawiali się systemowi. Pamięć o innych to dzisiaj pamięć, jaką trzeba odtwarzać. A po odtworzeniu pamięć ta ma dowodzić, że mamy też inną historię. Każdy ma prawo wybrać, do której historii chce należeć.

Dlaczego tej kwestii dotąd nie podnoszono? Kim są ludzie, którzy znaleźli w sobie dość sił, żeby nie być „jak wszyscy” – albo, mówiąc słowami Siergieja Michalkowa, „nie iść za większością”? (Tak i on, i inne filary reżimu w epoce pieriestrojki tłumaczyli własne poczynania. Później nie musieli już niczego tłumaczyć. Na powrót zajęli miejsce „chluby naszego kraju”).

Każdy taki człowiek okazuje się „znakiem, któremu sprzeciwić się będą”, wyzwaniem. Po dziś dzień pozostaje wyzwaniem i wyrzutem dla przytłaczającej większości rodaków. Takimi ludźmi nie mogą się chlubić (co zdawałoby się naturalne: my także mieliśmy wielkich ludzi! nie wszyscy ulegli, nie wszyscy współuczestniczyli w tym niemilosierdnym skretnieniu!): żeby się nimi chlubić, trzeba przynajmniej duchem być z nimi. A oni pozostali jak gdyby „po drugiej stronie”, nie w naszych dziejach.

„Zaraźliwą formą korupcji intelektualnej” nazwał Aleksander Markow nabyte przez człowieka czasów sowieckich odruchy wybielania siebie i reinterpretacji wszystkiego na świecie. Skłonność do wspólnej niechęci do sprawie-

dliwego opisana jest jednak już w Starym Testamencie: sprawiedliwy obnaża grzech innych – nie przez demaskację słowną, lecz po prostu przez swoją obecność. Dlatego go nie cierpią i próbują się go pozbyć.

Taki był charakter wielu „detronizacji” w latach 90. – w Achmatowej odkrywano „stalinizm”, podczas gdy stupajki i prześladowcy zmieniali się w „postać tragiczną”. Podobnie działo się z dysydentami w latach 80., czego byłam świadkiem: pocciwy mieszczech lubił mawiać, że swoimi działaniami „zarabiają na nazwisko na Zachodzie”. Nielatwy to jednak był zarobek!

Podobnie było też z każdym „normalnym” zachowaniem: chcesz przez to (np. przez odmowę usunięcia odnośnika do nazwiska, którego zabroniono wymienić) powiedzieć, że jesteś uczciwy, a my to same dranie?

Talent budzi zawiść: przywołano – raczej złość: przenicowany wstyd. Zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku rodzi się jednak chęć, by taką osobę „usunąć” z „naszego” środowiska.

● ● ●

Ci, którzy nie ulegli, to dla nas zagadnienie filozoficzne, a nawet teologiczne: kwestia natury człowieka. Przez samo swoje istnienie podważają wizję antropologiczną, którą Arendt nazwała „terrorystyczną hipotezą” człowieka. Chodzi o „hipotezę bezgranicznej plastyczności człowieka-masy”, którą totalitaryzm zastępuje ideę człowieka. Hipoteza ta polega na założeniu, że z każdego człowieka można uczynić, co się chce. A skoro można, to uczynimy. Antropologia władzy totalitarnej i jej rdzenia, tajnej policji, wywodzi się z tej „hipotezy terrorystycznej”.

Hipoteza ta, jak się okazało, jest wygodna nie tylko dla oprawców, ale też dla poszkodowanych, „ofiar historii”, jak ich określił Josif Brodski: podsuwa im ona przekonanie o rozgrzeszającym wszystko fatalizmie ludzkich działań. Jej „filozoficzna” wersja powstała zresztą przed praktyką totalitaryzmu; pamiętamy ją z lat szkolnych: „Byt określa świadomość”. Władzy wystarczyło podstawić sobie i swoje „idee” na miejsce tego mglistego bytu.

Pozwolę sobie jednak zauważyć, że wcale nie trzeba być marksistą, żeby uważać człowieka za istotę bierną i całkowicie zdeterminowaną. To raczej nieroztrąsane już serio przeświadczenie – lub nastawienie – naszych współczesnych: człowiek to wytwór okoliczności. Charakterystyczne jest ono dla postmoderny. Ci, o których tu dzisiaj mowa, świadczą jednak o czymś przeciwnym.

● ● ●

Inna przyczyna, dla której niemal nie porusza się u nas kwestii duchowego oporu, ma, rzec można, charakter obiektywny. Aktorzy tej historii byli i pozostali niewidzialni. Na widzialność by im nie zezwolono – sami zresztą starali się trzymać w cieniu i w mroku.

Nie tylko święci wyznawcy chrześcijaństwa mają swoje miejsce w niewidzialnych dziejach wolności.

(Swoją drogą dziwne wydaje się mówienie o niewidzialności świętych wyznawców, kiedy trwa proces kanonizacji nowych mę-

czenników. A jednak nie ma ich w tej historii Kościoła, z którą czuje się dzisiaj związany statystyczny wierny. Nie przyszedł on do Kościoła ich śladem – przyszedł śladem spokojnego XIX w.

W moskiewskiej cerkwi słyszałam takie kazanie: „Stało się dla nas nawykiem chodzenie na niedzielne nabożeństwo. Jakoś tego nie doceniamy. A dawniej...” – sądziłam, że kaznodzieja powie: „a dawniej mogli za to zabić”, zwłaszcza że nabożeństwo odbywało się w cerkwi, której kapłani istotnie zostali rozstrzelani. Ale on ciągnął: „A dawniej ludzie mieli specjalne ubranie, w którym chodzili na nabożeństwo, a na co dzień nigdy go nie nosili”. To „dawniej” stanowiło zapewne obyczaj chłopski w XIX w.).

Kiedy Siergiej Awierincew pisze o tym, jak wykładając o Plutarchu lub Arystotelesie, czuł, że „pozostaje w potajemnej i namiętnej zмовie z ludźmi różnych epok”, kiedy W. Achutin wspomina, że w latach szkolnych w odpowiedzi na „Wszyscy tak robia!” powtarzał w duchu: „A Sokrates tak nie robił...” – słyszymy głos pewnej wspólnoty, innej niż kościelna, lecz na równi z nią przeciwnej sowieckiemu kolektywowi i jego przywódcom: wspólnoty twórczej, myślącej kultury. To druga grupa „niewidek”, tych, którzy tworzyli nasze niewidzialne dzieje wolności.

Można ich nazwać wyznawcami godności człowieka: człowieka myślącego, człowieka słowa, człowieka utalentowanego, człowieka, który szuka piękna i sensu, człowieka samoistnego: krótko mówiąc, człowieka kultury, homo sapiens sapiens, homo humanus.

„Dla potęgi i chwały, co kiedyś nastaną,/ Dla wzniosłości ludzkiego plemienia...” [Mandelsztam] – za takie wyznanie wiary, jak świadczy los Mandelsztama i wielu uczonych, artystów czy po prostu ludzi kulturalnych, w pewnej epoce w nie mniejszej mierze niż za wiarę religijną płaciło się życiem.

Również w innych, bardziej wegetariańskich czasach [formuła Anny Achmatowej opisująca względną liberalizację reżimu po czasach stalinizmu] płaciło się za nie wysoką cenę. Ideologia była nie tylko bogoburcza, lecz także ludoburcza – do czego nie przyznawała się tak otwarcie, lecz jej projekt wychowania „nowego człowieka” i metody wychowawcze świadczy same za siebie.

Natura totalitaryzmu kształtuje się w perspektywie duchowej, dlatego stawiany mu opór można zawsze uznać za opór duchowy i swego rodzaju świadectwo wiary.

● ● ●

A zatem, po pierwsze, dzieje te były i pozostały niewidzialne. Po drugie, czy to rzeczywiście historia? Nieraz przychodziło mi na myśl, że dzieje wolności w Rosji sowieckiej nie mogą być spisane zwykłym sposobem historiografii. Najwidoczniej nie obowiązują w nich ciągłość konsekwencji. W przeciwieństwie do znanego ciągu, mającego opisywać historię ruchu rewolucyjnego w Rosji – dekabryści zbudzili Hercena, Hercen narodowolców itd. – w dziejach tych za każdym razem wszystko zaczyna się od początku.

Samo pojęcie „historii” nabiera tu swoistego sensu, bo te rozkłski

wolności nie tworzyły więzi genetycznej, ciągu rozwoju i kontynuacji, właściwej wszelkiej historii. Jedno pokolenie nie przekazywało drugiemu wyzwolicielskiego wysiłku. Ludzie mojego pokolenia, którzy w dorosłość wkraczali w latach 70., nie znali przemilczanych i zabronionych malarzy, kompozytorów, uczonych z lat 30.



Ludzie mojego pokolenia, którzy w dorosłość wkraczali w latach 70., nie znali przemilczanych i zabronionych malarzy, kompozytorów, uczonych z lat 30.

Nie znaliśmy także tych, którzy dorastali przed nami. Genialny malarz Michail Szwarzman, absolwent ASP z lat powojennych, opowiadał, jakim odkryciem dla niego i innych młodych malarzy była pierwsza znajomość z dziełami impresjonistów w Moskwie, kiedy Muzeum Sztuk Pięknych odzyskało gmach zajmowany dotąd przez Muzeum Darów dla J.W. Stalina. Poznali Cézanne’a – i to odmieniło ich życie. A zatem nigdy wcześniej nie słyszeli o tradycji „rosyjskiego cezannizmu”. Nie słyszeli też widocznie o postaci „rosyjskiego Cézanne’a” – Aleksandra Szewczenki, który być może żył jeszcze wtedy i nadal pracował.

Tak, to prawda, nie mieliśmy innej historii. Nie mieliśmy historii sztuki, w której już dawno temu czynny był Cézanne, jego metoda wzbudziła w Rosji olbrzymią falę kontynuatorów, a za tą falą poszły następne.

Byłam już osobą całkiem dorosłą, kiedy w Moskwie żyła jeszcze Anna Barkowa, mimo męczeńskiego życia silny, wolny głos w poezji. Usłyszałam jednak o niej dopiero w latach 90. w Anglii.

My również nie przekazaliśmy młodszemu własnemu doświadczeniu. Uczniowie z lat 80. (o czym wiem od moich młodszych przyjaciół) na powrót pokonywali w szkołach wciąż tę samą drogę wywołania z indoktrynacji – sami, jak gdyby po raz pierwszy. Wyjątkiem są tu niewątpliwie ludzie Kościoła: w tym środowisku dziedziennienie się dokonywało.

Ta logika widzialnego-niewidzialnego ma ciekawą osobliwość. Ujrzyć ludzi niewidzialnych niekiedy nawet dla najbliższych krewnych można było jedynie wtedy, kiedy w nas samych coś się przesiliło – i zaczęliśmy dostrzegać realność, a nie jej spreparowany wizerunek. O realności jako sile, z którą walczy totalitaryzm, pisał Adriano Dell’Asta [slawista]. To, jak sądzę, kolejny krok po analizach Arendt: ona analizowała właściwą totalitaryzmowi „terrorystyczną hipotezę” człowieka, Dell’Asta pisze o tym, co można by nazwać „terrorystyczną hipotezą” realności. Jak z człowiekiem – z realnością uczynić można wszystko.

● ● ●

Aż przykro pomyśleć o braku „kontynuacji”, w tym punktowym, dyspersyjnym, niewidzialnym przejawie duchowej samoistności człowieka. W pewnej mierze tego rodzaju doświadczenie w najjaśniejszy sposób potwierdza jednak tezę Arendt o ludzkich zasobach oporu wobec hipotezy terrorystycznej. Arendt dostrzega je w samej naturze ludzkiej, w conditio humana.

„Zanim początek staje się wydarzeniem historycznym, jest najwyższą umiejętnością człowieka; pod względem politycznym jest identyczny z ludzką wolnością”. Arendt cytuje piękną myśl św. Augustyna: „Initium ut esset homo creatus est” – „Człowiek został stworzony po to, aby był początek” („De Civitate Dei”). Kontynuuje: „Ten początek gwarantuje każde nowe narodziny; tym początkiem jest doprawdy każdy z ludzi”. I jeszcze: „Z każdym nowym porodem przychodzi na świat nowy początek, rodzi się nowy świat” [„Korzenie totalitaryzmu”, przeł. Mariola Szawiel, Daniel Grinberg, 1993].

Rzeczywiście, nasza „nieciągła historia” w najczystszej postaci demonstuje to działanie początku rozumianego nie tylko jako potencjalność, ale też jako umiejętność ludzka. Nikąd prócz głębi natury ludzkiej nie mogła się wziąć ta samoistność, innymi słowy – ten powrót do realności. Subiektywnie często przeżywany był jako sui generis zdarzenie mistyczne, iluminacja, wtajemniczenie.

Paul Ricoeur mówi o niespodziewanych powrotach skarbu „utraconego na wieki” w powszechnych dziejach człowieka: możliwości ziszczenia początku, stania się początkiem początku. Manifestacja „białych kokard” niespodziewanie zademonstrowała nam jeden z takich zadziwiających powrotów „utraconego skarbu”. W powietrzu zapachniało Początkiem. [Mowa o antyputinowskich manifestacjach w latach 2011-12, które przyjęły za znak białe kokardy czy wstążki w kłapie płaszcza].

Arendt mówi o początku i o nowym świecie, który przychodzi na świat z każdym narodzeniem. Zauważmy, że nawet wiedza o własnym narodzeniu (czyli o własnym stworzeniu) należała do treści zablokowanych przez sowiecką ideologię, podobnie jak wiedza o własnej śmiertelności. Podobnie jak wszystko, co zazwyczaj nosi miano „rzeczy ostatecznych”.

Naturalnie, każdy lojalny „człowiek radziecki” mógł zapisać datę swojego urodzenia i nie uważał siebie za nieśmiertelnego. Wyeliminowany był natomiast tajemny, realny sens narodzin – podobnie jak sens śmierci. Pamięć o śmierci była wyzwoleniem – podobnie jak pamięć o narodzeniu.

W moich latach szkolnych babcia, która po raz kolejny przyszła mnie obudzić, powiedziała kiedyś: „Czy po to cię Pan Bóg wywiódł na świat, żebyś się wylegiwała całymi godzinami?”. Jakby mnie raził piorun, starogrecka błyskawica-zdarzenie. Nie chodzi o sławetne pytanie o sens życia. Chodzi o nieodwołalną realność własnej osoby, z którą konfrontuje nas taka myśl. Być może już w tej pewności, że nas „wywiedziono na świat”, tkwiła możliwość wyzwolenia z totalitarnych manipulacji.

A zatem zasoby duchowego oporu zawierają się w samej naturze człowieka, o ile – mówiąc językiem psalmów – „nie lgnie do rzeczy martwych” (przekład Stafa). Możemy, próbując odtworzyć dzieje wolności w Rosji, pytać, co i w jaki sposób pomagało człowiekowi odnaleźć własną realność, możliwość „życia nowego”, to, co od niego mocniejsze. Władimir Bi-bichin [filozof] sugeruje, że o człowieku w pełnym znaczeniu możemy mówić wtedy, kiedy odkrywano w sobie to, co jest „silniejsze od niego, droższe niż on sam sobie”.

Całkiem niedawno podejmowaliśmy te tematy jako kwestie historyczne. Spoglądaliśmy na „to, co było” z perspektywy innych czasów. Tamte czasy, jak nam się wydawało, nie mogą już powrócić. Wydarzenia biegną coraz szybciej w stronę „anachronicznego” totalitaryzmu, stłumienia siłą wszelkiej indywidualnej wolności. Naprzód ku strasznej przeszłości, która nie wstydzi się już własnej ohydy, lecz wprost się nią szczyci (obchody w styczniu 2013 r. jubileuszu 75-lecia łagru w Solikamsku).

Pytanie o tych, którzy w minionych czasach się „nie poddali”, staje przed nami jako nasza realna współczesność, jako możliwa przyszłość. ●

przeł. Adam Pomorski



FOT. BRIDGEMAN IMAGES/EAST NEWS

*Olga Siedakowa

• ur. w 1949 r., poetka, slawistka, tłumaczka poezji europejskiej (m.in. Eliota, Rilkego, Claudela). Zaangażowana w życie Cerkwi pisze teksty teologiczne, podejmuje dialog z katolicyzmem. Po polsku ukazał się wybór jej poezji „Anioł Reims i inne wiersze” w przekładzie Adama Pomorskiego.

Esej za: „Filologia. Lekcja wolności. Antologia rosyjskich tekstów naukowych”, wybór Maria Prussak, Wydawnictwo IBL PAN. Tekst Olgi Siedakowej to jej wykład podczas międzynarodowej konferencji „Równina Rosyjska. Próba oporu duchowego”, Moskwa 2013.

● ● ●

Użyty w tytule tekstu zwrot „rękojmą jego chwały” pochodzi z brulionu poetyckiego Puszkina: „Dwa uczucia są nam dziwnie bliskie,/ a serce karmi się nimi:/ miłość rodzinnego popieliska/ miłość ojcowskich grobów.”// Z woli samego Boga/ od wieków są ostoją/ samoistności człowieka./ rękojmą jego chwały” (1830).

Wiersz ten zyskał w Rosji popularność od lat 80. XX w. wraz z pojęciem „samostojanija” (samoistności) człowieka, które w tym właśnie pojedynczym użyciu do ruszczyzny wprowadził Puszkina.

weekendówka

50



Autorem wielu haseł jest **Justyna Suchecka**

NIE PRZESTAWAJCIE TAŃCZYĆ

Dziś chcę nie tylko podzielić się naszą kulturą taneczną ze światem; mam również nadzieję, że uda mi się zaprosić wszystkich tancerzy i tancerki, którzy kochają taniec i chcieliby wyrazić swoje emocje poprzez taniec, do wspólnego tańczenia i dzielenia się naszą miłością i podziwem dla nieba i ziemi. Życie jest nieskończone, podobnie jak taniec” – napisała w specjalnym orędziu chińska tancerka i choreografka Yang Liping (tłumaczenie dla Narodowego Instytutu Muzyki i Tańca: Józef Jaskulski).

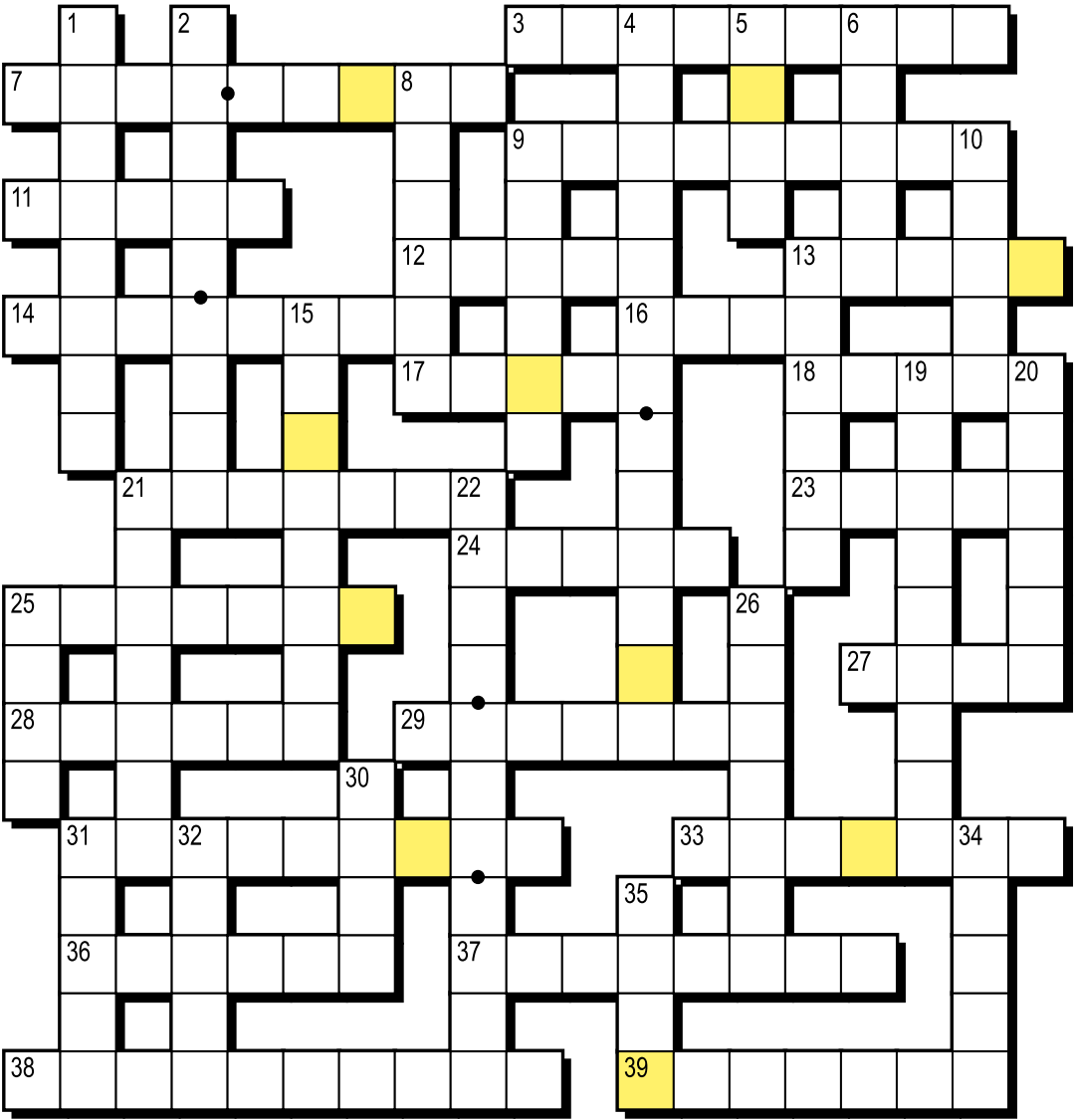
Takie orędzie przygotowuje co roku artysta związany z tańcem, a powodem ku temu jest przypadający na 29 kwietnia właśnie Międzynarodowy Dzień Tańca. Datę tę wybrał Komitet Tańca Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (Instytut powstał w Pradze w 1948 roku, a siedziba mieści się w Paryżu), bo jest to dzień urodzin Jeana-Georges’a Noverre’a, wybitnego francuskiego tancerza i choreografa, uznawanego za prekursora współczesnego baletu.

Międzynarodowy Instytut Teatralny co roku, by uczcić Dzień Tańca, organizuje uroczystą galę, ale święto obchodzone jest na całym świecie. W Polsce Narodowy Instytut Muzyki i Tańca organizuje, już po raz piąty, akcję TańczyMY, w ramach której w całym kraju odbyło się lub odbędzie (akcja ruszyła 21 kwietnia, potrwa do niedzieli) niemal 180 różnych wydarzeń. Będą to spektakle, warsztaty, pokazy, konkursy, a także wykłady.

Do pomocy przy układaniu „Weekendówki” zaprosiliśmy dziś Justynę Suchecką, kiedyś dziennikarkę „Gazety Wyborczej”, obecnie TVN 24, laureatkę Grand Pressa w kategorii „dziennikarstwo specjalistyczne”, ale też tancerkę i instruktorkę tańca. Justyna specjalizuje się w tańcach standardowych i latynoamerykańskich, prowadzi kursy w Poznaniu, Witnicy oraz w Warszawie.

Pamiętam, kiedy przed laty, dość wielu, byłem z Emmą Cieślińską, wielką przyjaciółką mojej mamy, wieloletnią choreografką i kierowniczką artystyczną Zespołu Pieśni i Tańca „Podlasie”, na spektaklu „Goździki” teatru tańca Piny Bausch. Podwójne to szczęście, bo raz – że dzięki „cioci Musi”, jak nazywamy ją w rodzinie, mogłem w ogóle tam wejść – zdobycie biletu graniczyło z cudem, a dwa, że mając u boku kogoś takiego, mogłem korzystać z jej wiedzy i rozumienia tańca. Do grona wybitnych tancerzy sam raczej nie należę – choć daję radę z lambadą! – ale takie momenty sprawiają, że czuję, co miała na myśli Katherine Dunham, amerykańska tancerka i choreografka, która w swoim orędziu z okazji Dnia Tańca (2002) napisała: „Nie przestawajcie tańczyć. Cokolwiek by się nie działo, czegokolwiek nie zaplanowałby dla świata Bóg, nigdy nie przestawajcie tańczyć”.

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 49 z 22.04:

- Poziomo:**
3) awaria 7) deszcze 10) filtry
11) fotowoltaika 13) Liga 15) kominy
16) piece 18) niskiemisyjność
20) plan 22) spaliny 23) akcja
24) las 26) ulgi 28) kryzys
29) styropian 31) nadfiolet
34) ekspert 35) krokus 36) emiter
37) spalanie 38) tankowce
- Pionowo:**
1) człowiek 2) dzwony 4) woda
5) rzeki 6) metale 8) ekologia
9) nisze 12) truciele 14) Greta
Thunberg 16) panda 17) wysypisko
19) odpady 20) parki 21) elektryki
25) Szyszko 27) kryteria 30) plastik
31) nauka 32) freon 33) lato

HASŁO: **ZIELONO MI**

TANIEC

Hasła Justyny Sucheckiej oznaczono inicjałami (J.S.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3)** para skacze w nim, jakby poruszała się nad parkietem (J.S.)
7) partner jest tu torreadorem, partnerka płachtą albo bykiem (J.S.)
9) taniec podwawelski
11) taniec uwielbiany przez Kubańczyków (J.S.)
12) trzeba do niego dwojga (J.S.)
13) ...taneczne, np. dancehall, house, hip-hop

- 14)** jak ma na imię autorka hitu „Jenny from the block”? (J.S.)
16) taniec to..., a... to zdrowie
17) „Tango...”, piosenka Marika Grechuty
18) album zespołu The xx (J.S.)
21) taniec towarzyski z drugiej połowy XIX w. (odmiana kadryla)
23) tańczony w kontuszu (J.S.)
24) wystawiane przez jurorów „Tańca z gwiazdami”
25) zespół wykonujący piosenki „Taniec pingwina na szkło”, „Nasz ostatni taniec”
27) płasy
28) lepiej, żeby nie doszło do niego na parkiecie (J.S.)

- 29)** partnerka daje mu się prowadzić (J.S.)
31) starohiszpański taniec, rozpowszechniony na dworach dawnej Europy
33) zwykle musisz mieć na niego bilet (J.S.)
36) taneczna lub poważna
37) często tańczony na weselach (J.S.)
38) taniec z okresu Wielkiej Rewolucji Francuskiej
39) tytuł płyty Quebonafide (J.S.)

Pionowo:

- 1)** ludowy taniec kubański wybrzmiewający w operze „Carmen”
2) styl w muzyce jazzowej, a także taniec oparty na rytmach samby

- 4)** amerykańska tancerka, była żoną Siergieja Jesienina
5) element figury tanecznej (J.S.)
6) „Let’s... Again” albo „Wala...”
8) przeglądasz się w nich, by zobaczyć, jak tańczysz (J.S.)
9) taniec podkaszanie z Moulin Rouge
10) skomponował poloneza do filmu „Pan Tadeusz”
13) nazwa tańca miała pochodzić od „I’m shaking my chemise” (J.S.)
15) tańczysz go na całych stopach (J.S.)
19) ...ramy (w czasie tańca)
20) piruety
21) spopularyzowana piosenką grupy Kaoma

- 22)** jego prekursorami byli m.in. Elvis Presley, i Chuck Berry (J.S.)
25) ...Halama (zm. 1996), tancerka i aktorka
26) taniec towarzyski, odmiana 15 pionowo
30) taneczny duet (J.S.)
31) ...de Janeiro (J.S.)
32) można go zatracić w chocholim tańcu
34) najbardziej romantyczny taniec towarzyski (J.S.)
35) najszybszy z turniejowych tańców latynoamerykańskich (J.S.)

Leszek Rydz

Byle do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!





KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z

App Store

POBIERZ Z

Google Play